

PER PETTERSON

Kradnąc konie

Przełożyła Iwona Zimnicka

Ut og stjæle hester



Mary Read

Trondowi T.

CZĘŚĆ I

Wczesny listopad. Godzina dziewiąta. Sikorki tłuką się o szybę. Czasami po takim zderzeniu odlatują oszołomione, kiedy indziej spadają i szamoczą się w świeżym śniegu, nim wreszcie znów uniosą się na skrzydłach. Nie wiem, co mam takiego, czego one chcą. Patrzę przez okno na las. Nad drzewami przy jeziorze widać czerwoną poświatę. Zaczyna wiać. Dostrzegam kształt wiatru na wodzie.

Mieszkam teraz tutaj, w niewielkim domku nad jeziorem, daleko na wschodzie kraju. Do jeziora wpada rzeka. To nieduża rzeczka, w której latem jest mało wody, ale wiosną i jesienią płynie rwąco i naprawdę są w niej pstrągi. Kilka przecież złowiłem. Ujście jest zaledwie kilkaset metrów stąd. Mogę je dostrzec z okna w kuchni, kiedy z brzoź opadną liście. Jak teraz, w listopadzie. Nad rzeką stoi chata; jeśli wyjdę na schody, widzę zapalone światło. Mieszka tam mężczyzna, chyba starszy ode mnie. Przynajmniej tak się wydaje. Ale może dlatego, że nie zdaję sobie sprawy, jak sam wyglądam, albo może życie obeszło się z nim surowiej niż ze mną. Tego nie da się wykluczyć. On ma psa, border collie.

Ja mam karmnik dla ptaków, na nóżce, ustawiony kawałek dalej na podwórzu. Rano, kiedy pojawia się światło, siedzę z filiżanką kawy przy kuchennym stole i patrzę, jak się zlatują, bijąc skrzydłami. Naliczyłem w karmniku osiem różnych gatunków. To więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie wcześniej mieszkałem, ale tylko sikorki wpadają na szybę. Mieszkałem w wielu miejscach. Teraz mieszkam tutaj. Kiedy zaczyna świtać, nie śpię już od kilku godzin. Zdążę napalić w piecu. Przejść się w koło, przeczytać wczorajszą gazetę, pozmywać brudne naczynia z wczoraj, nie ma ich dużo. Posłuchać BBC. Radio jest włączone prawie całą dobę. Słucham wiadomości, nie potrafię się od tego odzwyczaić, ale nie wiem już, do czego je wykorzystać. Podobno sześćdziesiąt siedem lat to niewiele, zwłaszcza w naszych czasach, i wcale nie uważam, żeby to było dużo, czuję się sprawny. Ale kiedy słucham wiadomości, to nie zajmują już one tego samego miejsca w moim życiu co kiedyś. Nie zmieniają mojego poglądu na świat, jak było wcześniej. Może to z wiadomościami jest coś nie tak, ze sposobem, w jaki są przekazywane, może jest ich za dużo. BBC World Service

nadawany bardzo rano ma tę zaletę, że wszystko brzmi inaczej, że nie pada ani słowo o Norwegii i że mogę być na bieżąco w relacjach między takimi krajami jak Jamajka, Pakistan, Indie i Birma w takiej dyscyplinie sportu jak krykiet, chociaż nigdy nie widziałem zawodów w krykiecie i pewnie nigdy nie zobaczę, jeśli to będzie zależało ode mnie. Ale zauważyłem, że „matka Anglia” stale dostaje lanie. To zawsze coś.

Mam też psa, a właściwie sukę. Na imię jej Lyra. Jakiej rasy miała być, trudno stwierdzić. To nie jest takie ważne. Byliśmy już na spacerze, z latarką, szliśmy ścieżką, którą zwykle chodzimy, wzdłuż jeziora pokrytego tuż przy brzegu milimetrową warstwą lodu aż do jesienne żółkłych martwych trzcin, śnieg padał cicho i gęsto na tle ciemnego nieba nad nami, wywołując u Lyry kichanie z radości. Teraz Lyra śpi tuż przy piecu. Śnieg przestał padać. Kiedy wstanie dzień, wszystko stopnieje. Widzę to po termometrze. Czerwony słupek wznosi się wraz ze słońcem.

Przez całe życie tęskniłem za samotnością w takim miejscu jak to. Nawet gdy było najpiękniej, co wcale nie zdarzało się rzadko. Tyle mogę powiedzieć. Że nie zdarzało się rzadko. Miałem szczęście. Ale nawet wtedy, na przykład w czyichś objęciach, gdy ktoś szeptał mi do ucha słowa, które bardzo pragnąłem usłyszeć, potrafiłem nagle zatęsknić za miejscem, gdzie byłoby po prostu całkiem cicho. Mogłem o tym nie myśleć przez całe lata, lecz to nie oznacza, że nie tęskniłem. A teraz mieszkam tu i jest prawie dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem.

Za niecałe dwa miesiące skończy się to tysiąclecie. We wsi, do której należy moja posesja, będzie zabawa i fajerwerki. Ja tam nie pójdę. Zostanę w domu z Lyrą, może wybiorę się na spacer nad wodę, sprawdzić, czy lód trzyma, wyobrażam sobie minus dziesięć stopni i księżycową noc, a potem napalę w piecu i trochę się upiję zawartością butelki, którą trzymam w szafie, na starym gramofonie puszcze płytę Billie Holiday, z jej głosem brzmiącym niemal jak szept, jak wtedy, gdy kiedyś, w latach pięćdziesiątych słyszałem ją w Colosseum w Oslo, z głosem prawie wypalonym, lecz mimo wszystko magicznym. Kiedy płyta się skończy, położę się i zasnę najmocniej jak można za życia, i obudzę się już w nowym tysiącleciu, co nie będzie miało kompletnie żadnego znaczenia. Już się na to cieszę.

Na razie poświęcam czas na doprowadzenie tego miejsca do stanu używalności. Zrobić trzeba wcale niemało, kupiłem je tanio. Szczerze mówiąc, przygotowałem się na wyłożenie znacznie większej sumy, żeby zdobyć i dom, i działkę, na szczęście konkurencja nie była duża. Teraz już rozumiem dlaczego, ale to nic nie szkodzi. I tak jestem zadowolony. Większość rzeczy staram się robić sam, chociaż mógłbym zapłacić stolarzowi, nie jestem wcale splukany, ale to by poszło za szybko. Chcę poświęcić tyle czasu, ile potrzeba. Czas jest

teraz dla mnie ważny, tak myślę. Nie chodzi mi o to, że ma płynąć szybko albo wolno, jest po prostu ważny jako czas, jako coś, w czym żyję i co wypełniam konkretnymi czynnościami i pracami, którymi mogę go podzielić, tak aby stał się dla mnie wyraźny i nie znikał, gdy go nie zauważam.

Dzisiejszej nocy coś się wydarzyło. Wróciłem do domu, położyłem się w izdebce przy kuchni, w której zbiłem pod oknem prowizoryczne łóżko, i zasnąłem; było już po dwunastej, na dworze ciemno jak w piekle i zimno. Zauważyłem to, kiedy ostatni raz wyszedłem za potrzebą za dom. Pozwalam sobie na to. Zwłaszcza że na razie jest tu tylko wygódka. I tak nikt nie widzi. Od zachodu rozciąga się gęsty las.

Obudził mnie ostry, wysoki dźwięk, powtarzający się w krótkich odstępach, potem zrobiło się cicho, a za chwilę znów się zaczęło. Usiadłem na łóżku, uchyliłem okno i wyjrzałem. W ciemności, kawałek dalej na drodze koło rzeki, dostrzegłem żółty promień latarki. Mężczyzna z latarką był bez wątpienia tym samym, który wydawał tamten dźwięk, ale nie mogłem pojąć, co to za dźwięk i w jaki sposób mógł go wydawać. Jeśli to w ogóle był mężczyzna. Snop światła chaotycznie omiótł okolicę na lewo i na prawo, jakby z rezygnacją, a ja przez moment dostrzegłem pomarszczoną twarz mojego sąsiada. W ustach trzymał coś, co wyglądało jak cygaro, zaraz znów rozległ się ten dźwięk i wtedy zrozumiałem, że to gwizdek na psa, chociaż nigdy nie widziałem takiego gwizdka. Nagle zaczął wołać: Poker, wołał, Poker, bo tak nazywa się jego pies, wracaj, piesku, krzyczał, a ja położyłem się do łóżka i zamknąłem oczy, choć wiedziałem, że już nie zasnę.

Właściwie to bardzo chciałem zasnąć. Zrobiłem się bardzo skrupulatny w pilnowaniu niezbędnych godzin snu, nie potrzebuję ich już tak dużo, ale są dla mnie ważne w zupełnie inny sposób niż kiedyś. Jedna zarwana noc kładzie się cieniem na wielu następnych dniach, wywołuje u mnie irytację i rozkojarzenie. Nie mam na to czasu. Muszę się koncentrować. Mimo to znów usiadłem na łóżku, spuściłem nogi na podłogę i po ciemku odnalazłem ubranie przewieszane przez oparcie krzesła. Aż dech mi zapało, kiedy poczułem, jakie jest zimne. Potem przeszedłem przez kuchnię do sieni, włożyłem starą marynarską kurtkę, wziąłem latarkę z półki i stanąłem na schodkach przed domem. Było ciemno jak w grobie. Z powrotem otworzyłem drzwi, wsunąłem za nie rękę i zapaliłem światło na zewnątrz. Pomogło. Pomalowana na czerwono ściana szopy rzuciła na podwórze ciepłą poświatę.

Mam szczęście, pomyślałem. Mogę wyjść w nocy do sąsiada, który szuka swojego psa, i minie zaledwie parę dni, a ja znów będę w formie. Zapaliłem latarkę i ruszyłem drogą prowadzącą z podwórza w stronę miejsca, w którym on wciąż stał na łagodnie opadającym

zbozcu i powoli poruszał latarką, omiatając promieniem światła skraj lasu, drogę, brzeg rzeki i z powrotem punkt wyjścia. Poker, wołał, Poker, potem znów dmuchnął w gwizdek, dźwięk w nocnej ciszy był nieprzyjemnie wysoki, a twarz i sylwetkę sąsiada skrywała ciemność. Nie znałem go, rozmawiałem z nim zaledwie kilka razy, kiedy mijałem jego chatę, idąc na spacer z Lyrą, na ogół bardzo wcześnie rano. I nagle ogarnęła mnie ochota, by wrócić do domu i zapomnieć o wszystkim, no bo w czym ja mogłem tu pomóc, tyle że on z pewnością już zauważył światło mojej latarki i zrobiło się na to za późno, a poza wszystkim innym było coś w tej samotnej postaci, którą ledwie dostrzegałem wśród nocy. On nie powinien być sam w taki sposób. Nie uważałem tego za właściwe.

– Halo! – zawołałem niezbyt głośno, z szacunku dla ciszy.

Odwrócił się, przez moment nic nie widziałem, bo skierował snop światła prosto na moją twarz, ale kiedy to zrozumiał, opuścił latarkę. Przez kilka sekund stałem, żeby wzrok z powrotem przywykł do ciemności, a potem podszedłem do niego i staliśmy tak razem, każdy ze swoim strumieniem światła na wysokości biodra, skierowanym na otaczającą nas okolicę, i nic nie wyglądało tak jak za dnia. Byłem przyzwyczajony do ciemności. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek się jej bałem, choć na pewno tak było, ale teraz wydaje mi się ona naturalna, bezpieczna, a przede wszystkim przewidywalna, bez względu na to, ile tak naprawdę się w niej kryje. To nic nie znaczy. W ciemności nic nie konkuruje ze sprężystością i wolnością ciała, żadna zdefiniowana wysokość, żaden skończony dystans, bo w ciemności niczego takiego nie ma. Jest tylko wielka przestrzeń, w której można się poruszać.

– Znów mi uciekł – powiedział mój sąsiad. – Poker. Moje psisko. To się czasami zdarza. Zawsze wraca, ale niełatwo zasnąć, kiedy go nie ma. Przecież w lesie są wilki. Wydaje mi się też, że nie mogę zamknąć drzwi.

Sprawił wrażenie nieco zakłopotanego. Pewnie i ja bym się tak czuł, gdyby to mój pies uciekł w taki sposób, nie wiem, co bym zrobił, jeśliby chodziło o Lyrę, nie wiem, czy wyszedłbym nocą szukać jej sam.

– Wiesz, że border collie uważane są za najinteligentniejsze psy na świecie? – spytał.

– Słyszałem.

– Poker jest bystrzejszy ode mnie i świetnie o tym wie. – Sąsiad pokręcił głową. – Obawiam się, że zaczyna nade mną dominować.

– To chyba niezbyt dobrze – zauważyłem.

– No nie.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy się sobie nie przedstawiliśmy, wyciągnąłem więc rękę, oświetliłem ją latarką, żeby zobaczyć, i powiedziałem:

– Trond Sander.

Zmieszał się. Potrzebował paru sekund na przełożenie latarki do lewej ręki, uściśnięcie mojej prawej swoją prawą i odpowiedź:

– Lars, Lars Haug. Z „g” na końcu.

– Bardzo mi miło – odparłem, a te trzy słowa w ciemności nocy zabrzmiały równie dziwnie i obco jak zwrot: „Moje kondolencje”, wypowiedziany przez mojego ojca wiele, wiele lat temu na pewnym pogrzebie w głębi lasu, i natychmiast pożałowałem, że je wymówiłem, ale Lars Haug w ogóle nie zareagował. Może uważał, że to całkiem na miejscu, że sytuacja wcale nie jest dziwniejsza niż jakakolwiek inna, w której dorośli mężczyźni przedstawiają się sobie na dworze.

Wokół nas panowała cisza. Wcześniej bywały dni i noce pełne deszczu, wiatru i nieustannego szumu sosen i świerków, ale teraz w lesie nic nie zakłócało ciszy, nie poruszał się żaden cień, a my, mój sąsiad i ja, staliśmy, wpatrując się w noc, i wtedy nagle ogarnęła mnie pewność, że coś jest za moimi plecami. Nie zdołałem powstrzymać nagłego dreszczu biegnącego wzdłuż kręgosłupa, Lars Haug również to wyczuł; skierował latarkę w jakiś punkt parę metrów za mną, odwróciłem się, a tam stał Poker, sztywny i czujny. Już wcześniej miałem okazję się przekonać, że pies potrafi odczuwać i okazywać poczucie winy, oraz że nie jest mu to, jak większości z nas, miłe, zwłaszcza gdy tak jak teraz właściciel zaczyna przemawiać do niego niemal dziecięcym tonem, niepasującym do ogorzałej, pomarszczonej twarzy człowieka, który bez wątpienia ma za sobą niejedną zimową noc spędzoną pod gołym niebem na walce z opornymi, skomplikowanymi rzeczami o wielkim ciężarze właściwym, walce pod wiatr i pod prąd, wyczułem to, kiedy podawaliśmy sobie ręce.

– Ach, gdzieś ty był, Poker, ty głupi psie, nie posłuchałeś pana, wstydź się, brzydki pies, tak nie wolno robić – mówił, przysuwając się do Pokera, a ten, położywszy uszy po sobie, zaczął cicho warczeć z głębi gardła. Lars Haug gwałtownie się zatrzymał. Opuścił latarkę, świeciła prosto w ziemię i ledwie mogłem dostrzec białe plamy na sierści psa, podczas gdy czarne całkiem zlały się z nocą. Wyglądało to dziwnie przypadkowo i niesymetrycznie. Niskie gardłowe dźwięki dochodziły z jeszcze bardziej nieokreślnego punktu. Mój sąsiad powiedział:

– Już raz kiedyś zastrzeliłem psa i przysięgłem sobie wtedy, że więcej tego nie zrobię. Ale teraz nie wiem.

Nie czuł się zbyt pewnie, łatwo to było zauważyć, nie wiedział, jaki będzie następny krok, a mnie nagle zrobiło się go strasznie żal. To uczucie wezbrało nie wiadomo skąd, z jakiegoś miejsca w ciemności, gdzie być może coś się wydarzyło w zupełnie innym czasie,

lub z czegoś w moim własnym życiu, o czym dawno już zapomniałem, to mnie zakłopotало i poczułem się nieswojo. Chrząknąłem i głosem, nad którym nie miałem pełnej kontroli, spytałem:

– Co to był za pies, ten, którego musiałeś zastrzelić?

Wydaje mi się, że nie to mnie interesowało, ale coś musiałem powiedzieć, żeby powstrzymać owo zaskakujące drzenie w piersi.

– Owczarek niemiecki. Ale nie był mój. To się wydarzyło w zagrodzie, w której dorastałem. Moja matka zauważyła go pierwsza. Pies biegł brzegiem lasu za sarnami, za dwoma śmiertelnie wystraszonymi młodymi koziołkami, które od wielu dni obserwowaliśmy z okna, jak się pasły w zaroślach wzdłuż północnej łąki. Zawsze trzymały się razem, teraz też, a ten wilczur je ścigał. Krążył wokół nich, podgryzał je w pęciny, wreszcie sarny porządnie się zmęczyły, były bez szans, i moja matka nie miała już dłużej siły na to patrzeć, zadzwoniła więc na posterunek z pytaniem, co ma robić, a oni powiedzieli: „Musi pani po prostu go zastrzelić”. „To robota dla ciebie, Lars – oświadczyła po odłożeniu słuchawki. – Myślisz, że dasz radę?” Nie miałem ochoty, tyle muszę przyznać, prawie nigdy nie dotykałem strzelby, ale tak mi było żal tych sarniąt, a przecież jej nie mogłem o to prosić, a nikogo innego nie było w domu. Mój starszy brat pływał na statku, a ojczym ścinał drzewa w lesie bogatego gospodarza, jak zwykle o tej porze roku. Wziąłem więc strzelbę i poszedłem przez pola w stronę lasu. Kiedy tam dotarłem, psa nigdzie nie było widać. Stałem i nasłuchiwałem. Była jesień, powietrze w środku dnia zupełnie przejrzyste, cicho, że prawie strasznie. Odwróciłem się i popatrzyłem przez pola w stronę domu, wiedziałem, że matka stoi w oknie i śledzi każdy mój krok. Nie mogłem się wywinąć. Znów spojrzałem na ścieżkę w lesie i nagle zobaczyłem te dwie sarny biegnące w moją stronę. Uklęknałem, podniosłem strzelbę i przyłożyłem kolbę do policzka, a te spore już koziołki były tak wystraszone, że mnie wcale nie widziały albo nie miały siły przejmować się jeszcze jednym wrogiem. W ogóle nie zmieniły kursu, tylko pędziły prosto na mnie i niemal otarły się o mój bark, słyszałem, jak dyszą, i widziałem biały błysk w ich wytrzeszczonych oczach.

Lars Haug na chwilę przerwał, uniósł latarkę i poświecił na Pokera, który wciąż nie ruszył się z miejsca tuż za mną. Ja się nie odwróciłem, ale słyszałem ciche powarkiwanie psa. To był nieprzyjemny dźwięk, a mężczyzna stojący przede mną przygryzł wargę i palcami lewej ręki niepewnym ruchem potarł czoło, zanim podjął opowiadanie:

– Trzydzieści metrów za nimi pędził wilczur. To była wielka bestia. Od razu wypaliłem. Jestem pewien, że trafiłem, ale on nie zmienił ani tempa, ani kierunku, ciało może raz mu drgnęło, nie byłem, cholera, pewien, więc strzeliłem jeszcze raz, a on wtedy osunął się

na przednie łapy, ale podniósł się i dalej biegł. Wpadłem w rozpacz i kiedy był już zaledwie kilka metrów przede mną, posłałem mu jeszcze jedną kulkę, wtedy runął na ziemię z łapami do góry i na grzbiecie przejechał aż pod czubek mojego buta. Ale jeszcze nie zdechł. Leżał ze sztywnymi łapami i patrzył prosto na mnie, nagle zrobiło mi się go żal, tyle powiem, więc się nachyliłem, żeby go ostatni raz pogłaskać, a on wtedy warknął i kłapnął za moją ręką. Porządnie się wystraszyłem, wpadłem w gniew i wymierzyłem mu jeszcze dwa strzały, prosto w łeb.

Lars Haug stał z twarzą w cieniu, latarka zwisała mu bezwładnie z dłoni i na ziemi widać było tylko nieduży krążek światła. Sosnowe igły. Drobne kamyki. Dwie szyszki. Poker stał nieruchomo, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, a ja zacząłem się zastanawiać, czy zwierzęta potrafią wstrzymać oddech.

– Cholerny świat – powiedziałem.

– Właśnie skończyłem wtedy osiemnaście lat – dodał Lars Haug. – To tak dawno temu, ale nigdy tego nie zapomnę.

– Dobrze rozumiem, że nie chcesz już nigdy więcej strzelać do psa.

– Zobaczymy. Ale teraz chyba zabiorę go do domu. Późno już. Chodź, Poker! – powiedział głosem nagle pełnym ostrości i władczości, i ruszył drogą. Poker posłusznie szedł za nim w odległości kilku metrów. Kiedy dotarli do mostu, Lars Haug się zatrzymał i zamachał latarką.

– Dziękuję za towarzystwo – rzucił w ciemności.

Ja odmachalem mu swoją latarką, odwróciłem się i poszedłem po łagodnym zboczu do domu, otworzyłem drzwi i znalazłem się w oświetlonej sieni. Z jakiegoś powodu zamknąłem za sobą drzwi na klucz, a nie robiłem tego, odkąd się tu sprowadziłem. Nie podobało mi się to, ale jednak to zrobiłem. Rozebrałem się i położyłem do łóżka pod kołdrę, patrzyłem w sufit i czekałem, aż pojawi się ciepło. Czułem się trochę głupio. Potem zamknąłem oczy. Kiedy zasnąłem, w pewnej chwili zaczął padać śnieg, jestem pewien, że przez sen wiedziałem, że pogoda się zmienia i robi się zimniej, wiedziałem też, że boję się zimy, boję się śniegu, jeśli będzie go za dużo, i że sprowadzając się tutaj, postawiłem się w sytuacji bez wyjścia. Zacząłem więc uparcie śnić o lecie i kiedy się obudziłem, wciąż miałem je w głowie. Mogłem śnić o jakimkolwiek innym lecie, ale tak nie było, śniło mi się bardzo szczególne lato, wciąż o nim myślę, siedząc tu, przy kuchennym stole, i patrząc, jak światło wstaje ponad drzewami koło jeziora. Nic nie wygląda tak, jak wyglądało w nocy, i nie mogę sobie uzmysłowić żadnego powodu, dla którego zamknąłem drzwi na klucz. Jestem śpiący, ale nie tak, jak się obawiałem. Wytrzymam do wieczora, czuję to po sobie. Wstaję od stołu trochę sztywny, to

już nie te plecy co kiedyś, a Lyra spod pieca podnosi łeb i patrzy na mnie. Znow wychodzimy? Nie, nie wychodzimy, jeszcze nie. Dość mam zajęcia z tym latem, które nagle zaczyna mnie dręczyć. Nie dręczyło mnie już od dawna.

2

Mieliśmy kraść konie. Tak powiedział, stojąc przed drzwiami chaty w letniej zagrodzie, w której tego lata mieszkałem razem z ojcem. Miałem piętnaście lat. To było w roku 1948, jednego z pierwszych dni lipca. Niemcy opuścili kraj trzy lata wcześniej, ale nie pamiętam, żebyśmy jeszcze o nich rozmawiali. W każdym razie mój ojciec o nich nie mówił. Nigdy nic nie mówił o wojnie.

Jon często stawał przed naszymi drzwiami, i rano, i wieczorem, i chciał, żebym gdzieś z nim poszedł: polować na zające, wędrować w kompletnej ciszy przez las w bladym świetle księżyca aż na wzgórze, łowić pstrągi w rzece, balansować na lśniących żółto balach, które przepływały niesione prądem tuż koło naszej chaty jeszcze długo po zakończeniu ostatniej wycinki. To było niebezpieczne, ale nigdy nie odmawiałem, nigdy też nie mówiłem ojcu, czym się zajmujemy. Z kuchennego okna widać było spory odcinek rzeki, ale to nie tam ćwiczyliśmy nasze sztuczki. Zaczynaliśmy zawsze trochę dalej, prawie kilometr, i czasami po balach szliśmy tak szybko i tak długo, że kiedy już wreszcie wydostaliśmy się na brzeg, przemoczeni i drżący, powrotna droga przez las zabierała nam godzinę.

Jon nie chciał spędzać czasu z nikim innym oprócz mnie. Miał dwóch młodszych braci, bliźniaków Larsa i Odda, ale my dwaj byliśmy w tym samym wieku. Nie wiem, z kim się kolegował przez resztę roku, kiedy ja wracałem do Oslo. Nigdy o tym nie mówił, a ja nigdy nie mówiłem nic o tym, co robię w mieście.

Nie pukał do drzwi, podchodził tylko cicho ścieżką od strony rzeki, zostawiwszy przy brzegu swoją łódkę, stawał pod drzwiami i czekał, aż zrozumiał, że on tam jest. Na ogół nie trwało to długo. Nawet bardzo rano, kiedy jeszcze spałem, ogarniał mnie nagle jakiś głęboki niepokój, jakbym musiał iść do ubikacji, walczyłem więc ze snem, żeby nie było za późno, a kiedy otwierałem oczy i uświadamiałem sobie, że wcale nie w tym rzecz, szedłem prosto do drzwi, uchylałem je, a on tam stał. Uśmiechał się lekko i mrużył oczy jak zawsze.

– Pójdiesz? – spytał. – Idziemy kraść konie.

Okazało się, że „my” to tylko on i ja, jak zwykle, i gdybym ja z nim nie poszedł, to

zostałby sam, a wtedy nie byłoby w tym nic przyjemnego. W dodatku trudno kraść konie samemu. W zasadzie to niemożliwe.

– Długo już tu stoisz?

– Dopiero przyszedłem.

Najczęściej tak mówił, a ja nie zawsze wiedziałem, czy to prawda. Stałem na progu w samych slipach i patrzyłem mu przez ramię. Nad rzeką unosił się kłęb mgły, było już jasno i trochę chłodno. Za parę minut miało się to zmienić, ale na razie czułem gęsią skórę na udach i na brzuchu. Mimo to nie ruszyłem się z miejsca, wpatrzony w rzekę, widziałem, jak lśniąca i miękka wyłania się z mgły na zakręcie nieco wyżej i płynie dalej. Znałem to na pamięć. Marzyłem o tym przez całą zimę.

– Jakie konie?

– Barkalda. Chodzą luzem na pastwisku w lesie za zagrodą.

– Wiem. Wejdz do środka, a ja się ubiorę.

– Zaczekam tutaj – odparł.

Nigdy nie wchodził do chaty, może z powodu mojego ojca. Nigdy z nim nie rozmawiał. Nigdy się z nim nie witał. Wbijał tylko oczy w ziemię, kiedy się mijali na drodze do sklepu. Mój ojciec zwykle wtedy się zatrzymywał, odwracał i patrząc za nim, pytał:

– Czy to nie był Jon?

– Owszem – odpowiadałem.

– Co mu jest?

Ojciec za każdym razem zadawał to pytanie, jakby zaniepokojony, a ja za każdym razem mówiłem:

– Nie wiem.

Rzeczywiście nie wiedziałem i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby spytać. Teraz Jon stał na schodku, będącym jedynie kamienną płytą, i wpatrywał się w rzekę, podczas gdy ja zdejmowałem ubranie z oparcia krzesła wyciosanego z jednego klocka drewna i wciągałem je na siebie najszybciej jak umiałem. Nie lubiłem, kiedy tak stał i czekał, chociaż przez cały czas miałem drzwi otwarte, żeby mnie widział.

Oczywiście, powinienem był zrozumieć, że jest coś szczególnego w tym lipcowym poranku, może coś we mgle nad rzeką i w oparach nad wzgórzem, coś w białym świetle na niebie, coś w tonie, jakim Jon powiedział to, co miał do powiedzenia, albo w sposobie, w jaki się poruszał lub stał wyprostowany na kamiennej płycie. Ale miałem zaledwie piętnaście lat i jedyną rzeczą, na jaką ja zwróciłem uwagę, było to, że Jon nie wziął strzelby, którą zawsze i

wszędzie ciągnął ze sobą, na wypadek gdyby zjawił się zając, ale to akurat chyba nie musiało dziwić, przy pościgu koni tylko by przeszkadzała. Przecież nie zamierzaliśmy do nich strzelać. Na tyle, na ile mogłem zauważyć, Jon był taki jak zwykle: spokojny, a zarazem pełen energii, z tymi swoimi zmrużonymi oczami, skupiony na tym, co mieliśmy robić, bez najmniejszej oznaki zniecierpliwienia. Ta jego cierpliwość była mi na rękę, nie stanowiło bowiem żadnej tajemnicy, że w porównaniu z nim okazywałem się niezdarą w większości naszych poczynań. On miał za sobą wieloletni trening. Jedynie w chodzeniu po balach na rzece byłem naprawdę dobry, pomagał mi rozwinięty zmysł równowagi, w opinii Jona – wrodzony talent, chociaż to nie było dokładnie to określenie, którego używał.

Ale to on nauczył mnie nie dbać o nic, pokazał, że jeśli pójdę na całość i nie będę z góry za dużo myślał o hamowaniu, to mogę mieć takie osiągnięcia, o jakich mi się nie śniło.

– Okej. Gotowi, do biegu, start – powiedziałem.

Zeszliśmy ścieżką nad rzekę. Było wcześniej. Słońce wschodziło ponad wzgórzem w wachlarzu światła i przydawało wszystkiemu wokół nas zupełnie nowych barw, cała mgła nad wodą rozplynęła się i zniknęła. Poczulem nagle ciepło przez sweter, zamknąłem oczy i szedłem dalej, ani razu nie stąpając źle, dopóki nie zorientowałem się, że dotarliśmy do brzegu. Tam znów otworzyłem oczy, przelazłem po obmytych do czysta okrągłakach i usiadłem z tyłu łódki. Jon odepchnął ją od brzegu i wskoczył do środka, ujął wiosła i zaczął nimi poruszać krótkimi, mocnymi pociągnięciami, ustawiając łódź ukosem do płynącej wody, przez chwilę pozwolił jej dryfować, a potem znów wiosłował, aż dopłynęliśmy do przeciwległego brzegu, mniej więcej pięćdziesiąt metrów niżej. Akurat na tyle daleko, by łódź pozostawała niewidoczna z chaty.

Potem wspięliśmy się na niewielki pagórek, Jon pierwszy, a ja za nim, i poszliśmy wzdłuż ogrodzonej drutem kolczastym łąki, na której pod cieniusieńkimi jak woal dywanami mgły rosła wysoka trawa. Już wkrótce, skoszona i zarzucona na stojaki, miała schnąć w słońcu i zmieniać się w siano. Chodzenie po niej przypominało brodzenie w wodzie aż po biodra, lecz bez najmniejszego oporu, niczym we śnie. Często śniła mi się woda, przyjaźniłem się z wodą.

To była łąka Barkalda, chodziliśmy tą trasą już wiele razy wcześniej, pod górę między polami do drogi w stronę sklepu, żeby kupić czasopisma, cukierki albo inne drobiazgi, na które mieliśmy pieniądze, jednoórwki, dwuórwki, a niekiedy, rzadko, pięćórwki pobrzękujące w kieszeni przy każdym kroku, albo też szliśmy w przeciwnym kierunku, do domu Jona, gdzie jego matka, gdy wchodziliśmy do środka, zawsze witała mnie wylewnie, jak gdybym był następcą tronu lub kimś w tym stylu, natomiast jego ojciec zatapiał się w

lokalnej gazecie albo wychodził do stodoły w jakiejś sprawie, nagle niecierpiącej zwłoki. Było w tym coś, czego nie mogłem zrozumieć. Ale to mi nie przeszkadzało. Dla mnie ojciec Jona mógł równie dobrze siedzieć w stodole. Nic mnie to nie obchodziło. Kiedy lato mijało, i tak wracałem do domu.

Gospodarstwo Barkalda leżało po drugiej stronie drogi, za polami, które na przemian co drugi rok obsiewał owsem i jęczmieniem, i ciągnęło się aż pod las do stodoły ustawionej pod kątem, a w lesie na dużym terenie, ogrodzonym drutem kolczastym poprowadzonym od drzewa do drzewa na dwóch wysokościach, Barkald trzymał cztery konie. To do niego należał las, wielki kawał lasu. Barkald był największym właścicielem ziemskim w okolicy. Obaj go nie znosiliśmy, ale nie jestem całkiem pewien dlaczego. Nigdy nic złego nam nie zrobił ani nie powiedział nieżyczliwego słowa. Ale miał wielkie gospodarstwo, a Jon był synem biednego chłopca. Niemal wszyscy znad rzeki w tej dolinie, położonej zaledwie kilka kilometrów od granicy ze Szwecją, mieli małe zagrody i większość wciąż żyła z tego, co zdołała wyprodukować w swoich gospodarstwach, z mleka dostarczanego do mleczarni, a w sezonie z pracy przy wyrębie. Między innymi w lesie Barkalda, a także w tym należącym do bogacza z Bærum, ciągnącym się setkami hektarów na północ i na zachód. Pieniądzy było tu niewiele, przynajmniej ja ich nie zauważałem. Może Barkald miał ich sporo, ale ojciec Jona nie miał nic, a mój z całą pewnością nie miał nic, w każdym razie ja o nich nie wiedziałem. To, skąd wykrobał tyle, by kupić zagrodę, w której mieszkaliśmy tego lata, wciąż pozostaje dla mnie tajemnicą. Szczerze mówiąc, nie zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, czym zajmuje się mój ojciec, by zarobić na utrzymanie, na życie swoje i między innymi moje, bo to często się zmieniało, ale zawsze wykorzystywał w tym celu wiele różnych rodzajów narzędzi i jakieś nieduże maszyny, a czasami to, co robił, łączyło się z długim planowaniem, myśleniem z ołówkiem w rękę i wyjazdami do wszelkich możliwych miejsc w kraju, w których ja nigdy nie byłem i których nie umiałem sobie wyobrazić, ale teraz nie figurował już na niczyjej liście płac. Często miał dużo roboty, kiedy indziej mniej, ale tak czy owak zarobił tyle, że wystarczyło, i kiedy przyjechaliśmy tu pierwszy raz rok wcześniej, chodził w koło, rozglądał się, uśmiechał chytrze, głąskał drzewa, z ręką pod brodą siadał na wielkim kamieniu na brzegu rzeki i patrzył na wodę tak, jakby wszystko wokół to sami starzy znajomi. Ale tak przecież nie mogło być.

Ze ścieżki przez łąkę skręciliśmy z Jonem na drogę, i chociaż chodziliśmy tędy już tyle razy wcześniej, teraz było inaczej. Szliśmy kraść konie i wiedzieliśmy, że to widać. Byliśmy przestępcami. Ten fakt zmieniał ludzi, zmieniał coś w ich spojrzeniu i kazał poruszać się w osobliwy sposób, którego nie dało się ukryć. A kradzież koni była najgorszym przestępstwem

ze wszystkich. Zналиśmy prawo obowiązujące na zachód od Pecos, czytaliśmy przecież kowbojskie powieści, i chociaż ktoś mógłby twierdzić, że znajdujemy się na wschód od Pecos, to było to tak daleko na wschód, że równie dobrze mogło być odwrotnie, ponieważ wszystko zależało jedynie od tego, w którą stronę chciałeś patrzeć na świat, a to prawo nie znało litości. Jeśli cię złapią, to prosta droga na gałąź z pętlą na szyi; szorstkie konopie na miękkiej skórze, koń, klepnięty w zad, znika spod twoich nóg i zaczynasz biec w powietrzu po życie, a właśnie życie mija ci w głowie jak film z coraz słabszymi zdjęciami, aż do chwili, gdy ze zdjęć znikasz ty i wszystko, co widziałeś, pojawia się mgła, a w końcu zapada ciemność. Zaledwie piętnaście lat, taka jest twoja ostatnia myśl, taki młody, i to przez jakiegoś konia, a potem na wszystko jest już za późno. Dom Barkalda stał ciężki i szary na skraju lasu, wydawał się groźniejszy niż kiedykolwiek. W oknach o tak wczesnej porze było ciemno, ale przecież Barkald mógł stać w środku i zerkać na drogę, obserwować sposób, w jaki się poruszamy, i wiedzieć.

Ale teraz nie mogliśmy już zawrócić. Na sztywnych nogach przeszliśmy kilkaset metrów szutrową drogą, dopóki dom nie zniknął za zakrętem, a potem znów zboczyliśmy na kolejną ścieżkę prowadzącą przez jeszcze jedną łąkę, również należącą do Barkalda, i weszliśmy w las. Początkowo między świerkami było ciemno, las rósł gęsto bez żadnego podszycia, ponieważ światło nigdy tu nie docierało, i tylko na ziemi ciągnął się wielkim dywanem ciemnozielony mech, po którym tak miękko się szło, czując kołysanie przy każdym kroku. Jon szedł pierwszy, ja za nim, na zdartych podszewkach tenisówek, a potem skręciliśmy, jakby zataczając koło, stale kierując się w prawo. Kiedy błysnął podwójny drut kolczasty, nagle okazało się, że jesteśmy na miejscu. Patrzyliśmy na wyrąbaną polanę, z której usunięto wszystko z wyjątkiem sosny zostawionej na nasiona i brzoź, które bez osłony drzew wokoło wydawały się dziwnie wysokie i samotne, a niektóre nie wytrzymały naporu wiatru z północy i leżały wywrócone jak długie z korzeniami sterczącymi w powietrzu. Ale między pniakami trawa rosła soczysta i gęsta, a za krzakami nieco dalej zobaczyliśmy gołe zady koni oganiających się ogonami od much i gzów. Czuliśmy zapach końskiego łajna, bagiennego mokrego mchu i słodki, mocny, przenikający wszystko aromat tego, co było większe od nas samych i większe od tego, co mogliśmy pojąć, zapach lasu, który ciągnął się i ciągnął na północ i w głąb Szwecji, i coraz dalej do Finlandii, a potem jeszcze dalej aż do Syberii, człowiek mógłby w tym lesie się zgubić i stu ludzi mogło go tygodniami przeszukiwać tyralierą bez najmniejszej szansy na odnalezienie, no, nieźle by było zgubić się tutaj, pomyślałem, ale nie wiedziałem, na ile poważna była ta myśl.

Jon zgiął się i prześlizgnął między dwoma drutami kolczastymi, ręką naciskając ten

dolny, ja natomiast położyłem się na ziemi i precyzyjnie pod spodem, obaj więc przedostaliśmy się bez najmniejszej dziury w spodniach czy swetrze. Wstaliśmy ostrożnie i ruszyliśmy przez trawę ku koniom.

– Widzisz tę brzozę? – pokazał Jon. – Wejdz na nią.

Niedaleko od koni rosła duża samotna brzoza z mocnymi gałęziami, najniższa z nich znajdowała się niecałe trzy metry nad ziemią. Ruszyłem w kierunku drzewa powoli, lecz bez wahania. Konie uniosły łby i wykręciły je w moją stronę, ale dalej stały i przeżuwały, nawet nie podnosząc kopyt. Jon okrążył je od drugiej strony. Zrzuciłem tenisówki, objąłem pień brzozy, wczepiając dłonie w popękana korę, uniosłem jedną stopę i oparłem ją o pień, potem drugą i wolno zacząłem się wspinać jak małpa, dopóki nie sięgnąłem lewą ręką gałęzi, wtedy się wychyliłem, złapałem gałąź również prawą ręką, stopy ześlizgnęły się po szorstkim pniu i przez moment wisiałem tylko na rękach, a potem się podciągnąłem i usiadłem na gałęzi, wymachując nogami. Takie rzeczy wtedy potrafiłem.

– Okej! – zawołałem cicho. – Gotowe!

Jon ukucnął niemal tuż przy koniach i przemawiał do nich ściszym głosem, a one stały zupełnie nieruchomo z łbami zwróconymi w jego stronę i z nastawionymi uszami, słuchając głosu, który był niemal szeptem. Ja w każdym razie na gałęzi nie słyszałem, co Jon mówił, ale kiedy zawołałem swoje „Okej”, on nagle się poderwał i krzyknął:

– Hej!

Wyrzucił ręce na boki, i konie poderwały się do biegu. Niezbyt szybkiego, lecz wcale nie wolnego, dwa skręciły w lewo, a dwa ruszyły prosto na moją brzozę.

– Bądź gotowy! – zawołał Jon, wyrzucając w powietrze trzy palce jak w skautowskim pozdrowieniu.

– Zawsze gotowy! – odkrzyknąłem, obróciłem się i położyłem brzuchem na gałęzi, balansując rękami dla równowagi, a nogami tnąc powietrze jak nożycami. Czuję lekkie wibracje w piersi, wywołane uderzeniami kopyt o ziemię i przenoszące się przez drzewo, ale też jakieś drżenie pochodzące z zupełnie innego miejsca, z głębi mnie, rozpoczynało się w brzuchu i przechodziło do bioder. Ale nic nie mogłem z nim zrobić i wcale o tym nie myślałem. Byłem gotowy.

A potem przybiegły konie. Słyszałem ich ciężki oddech, drzewo zaczęło mocniej drżeć, tętent kopyt wypełnił mi głowę, a gdy tylko dostrzegłem zarys pyska tego najbliższego pode mną, oderwałem się od gałęzi, ześlizgnąłem się z niej z nogami rozłożonymi na boki i wylądowałem na końskim grzbiecie trochę za blisko karku, łopatki uderzyły mnie w krocze, wywołując strumień mdłości w gardle. To się wydawało takie łatwe, kiedy Zorro robił to na

filmie, ale mnie z oczu popłynęły łzy, musiałem walczyć z wymiotami, jednocześnie z całych sił obiema rękami przytrzymując się grzywy, pochylilem się więc do przodu i mocno zacisnąłem usta. Koń jak szalony rzucał łbem, grzbietem waląc o moje krocze, i zaraz przeszedł w równy galop, drugi koń zrobił to samo i razem pognaliśmy między pniakami ściętych drzew. Usłyszałem, jak Jon woła za mną:

– Juhuuu!

Sam chciałem krzyknąć, to miał być okrzyk triumfu, ale nic mi z tego nie wyszło, gardło miałem tak pełne wymiocin, że nie mogłem oddychać, otworzyłem więc usta, pozwalając, by z nich pociekło na koński kark. Teraz czuć było lekki zapach wymiocin i mocny konia, nie słyszałem już głosu Jona. Dookoła szumiało, tętent kopyt stał się odległy, a koński grzbiet raz po raz wbijał mi się w ciało w rytmie uderzeń serca, potem zapadła wokół mnie cisza rozciągająca się ponad wszystko, i w tej ciszy usłyszałem ptaki. Słyszałem wyraźnie kosa ze szczytu świerka, i z całą pewnością słyszałem skowronka wysoko w górze, a także wiele innych ptaków, których nazw nie znałem, to było takie dziwne, jak film bez dźwięku, na który nałożono inny dźwięk, znajdowałem się w dwóch miejscach jednocześnie i nic mnie nie bolało.

– Juhuuu! – wrzasnąłem, dobrze słysząc swój głos, ale miałem wrażenie, że dochodził skądinąd, z tej wielkiej przestrzeni, w której śpiewały ptaki, jakby był krzykiem ptaka z głębi tej ciszy, i przez moment poczułem się w pełni szczęśliwy. Pierś rozszerzyła mi się jak miech akordeonu i przy każdym oddechu wydobywały się tony. Potem coś błysnęło przede mną między drzewami, to był drut kolczasty, przegalopowaliśmy przez całe pastwisko i z wielką prędkością zblizaliśmy się do ogrodzenia po drugiej stronie. Grzbiet konia znów mocno walił mnie w krocze, z całych sił wczepiłem się w grzywę, myśląc: teraz skoczmy. Ale nie skoczyliśmy. Tuż przed ogrodzeniem oba konie zawróciły w miejscu, a mnie prawa fizyki zerwały z końskiego grzbietu i wierzgającego poniosły dalej w linii prostej przez powietrze tuż ponad ogrodzeniem. Poczułem, że druciane kolce rozrywają mi rękaw swetra, rozlał się piekący ból, a potem już leżałem we wrzosach, całe powietrze uszło mi z płuc.

Na kilka sekund chyba straciłem przytomność, bo pamiętam, że kiedy otworzyłem oczy, wszystko jakby dopiero się zaczynało; nic z tego, co widziałem, nie było znajome, mózg pusty, żadnych myśli, wszystko najzupełniej czyste, a niebo przezroczyście błękitne, nie wiedziałem, jak się nazywam, i nawet nie czułem własnego ciała. Bezimienny unosiłem się w powietrzu i oglądałem świat po raz pierwszy, wydał mi się dziwnie przesycony światłem i piękny jak szkło, a potem usłyszałem parskanie i tętent kopyt, wówczas wszystko powróciło jak wirujący bumerang i z hukiem trafiło mnie w czoło, pomyślałem: cholera,

jestem sparaliżowany. Patrzyłem na swoje gołe stopy wystające z wrzosu, nie łączyła mnie z nimi żadna struna.

Wciąż leżałem nieruchomo, gdy zobaczyłem Jona zbliżającego się do ogrodzenia, na koniu, który miał pysk okręcony sznurem i dzięki temu Jon mógł nim kierować. Szarpnął sznurem i koń zatrzymał się dokładnie naprzeciwko mnie, po drugiej stronie drutu, ustawiając się niemal równolegle do niego. Jon popatrzył na mnie.

– Tak sobie leżysz? – spytał.

– Jestem sparaliżowany.

– Nie wierzę.

– No to nie – odparłem.

Znów spojrzałem na swoje stopy. A potem wstałem. Bolało, w plecach i w jednym boku, ale w środku nic się nie uszkodziło. Krew mi leciała ze skaleczenia na przedramieniu, przesączała się przez sweter, który akurat w tym miejscu miał duże rozdarcie, ale to wszystko. Oderwałem to, co zostało z rękawa, i obwiązałem tym rękę, opierając ją o udo. Porządnie piekło. Jon przez cały czas siedział na koniu z takim samym spokojem. Teraz dostrzegłem, że trzyma w ręku moje tenisówki.

– Próbujesz jeszcze raz? – spytał.

– Raczej nie. Tyłek mnie boli – odpowiedziałem, chociaż wcale nie tam bolało mnie najbardziej; Jon chyba lekko się uśmiechnął, ale nie byłem pewien, bo słońce świeciło mi w oczy. Zsunął się z konia i zdjął mu sznur z pyska, a potem jednym ruchem ręki go odesłał. Zwierzę odeszło bardzo chętnie.

Jon przedostał się przez ogrodzenie w taki sam sposób jak wcześniej: lekko, bez najmniejszego zadrapania. Podszedł do mnie i rzucił tenisówki we wrzosa.

– Możesz iść? – spytał.

– Chyba tak – odparłem. Wsunąłem stopy w buty bez zawiązywania sznurowadeł, żebym nie musiał się schylać, i poszliśmy dalej w las. Jon pierwszy, a ja powlokłem się za nim, z obolałym kroczeniem, sztywnymi plecami, ciągnąc za sobą jedną nogę, a rękę mocno przyciskając do ciała, wchodziliśmy coraz głębiej między drzewa, a ja uświadomiłem sobie, że mogę nie dać rady przejść całej drogi z powrotem. Potem jednak pomyślałem o ojcu, który tydzień wcześniej prosił, żebym skosił trawę za chatą. Wyrosła już za wysoko, wkrótce zaczęłyby się kłaskać i sztywnieć, zmieniając się w zwiędłą matę, przez którą nic nie zdołałoby się przebić. Powiedział, że mogę wziąć krótką kosę, która lepiej układa się w ręku amatora. Przyniosłem kosę z szopy i zabrałem się do koszenia, wykorzystując wszystkie swoje siły i naśladowując ruchy ojca, kiedy robił to samo. Kosilem, aż mnie oblał pot, rzeczywiście nie szło

mi najgorzej, chociaż nie miałem wprawy w używaniu takiego narzędzia jak kosa. Ale wzdłuż ściany chaty na sporym kawałku rosły gęste wysokie pokrzywy, omijałem je wielkim łukiem, a potem ojciec przyszedł z drugiej strony domu, stanął i patrzył na mnie. Z przekrzywioną głową pocierał dłonią brodę, wtedy ja się wyprostowałem i czekałem, co powie.

– Dlaczego nie kosisz pokrzyw? – spytał.

Spojrzałem na krótkie kosisko, a potem na wysokie pokrzywy.

– Bo to boli.

Popatrzył na mnie z uśmiechem i lekko pokręcił głową.

– Sam decydujesz, kiedy ma boleć – powiedział, nagle poważniejąc, i podszedł do ściany chaty, gołymi rękami złapał za parzące rośliny i całkiem spokojnie zaczął je wrywać, jedną po drugiej, rzucał na stos i nie ustąpił, dopóki nie wyrwał wszystkich. Nic w jego twarzy nie świadczyło o odczuwanym bólu, a ja, podążając ścieżką za Jonem, zawstydzilem się trochę, wyprostowałem się więc i zmieniłem rytm, zacząłem iść tak, jak zwykle bym szedł, i po paru krokach nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie szedłem tak od początku.

– Dokąd idziemy? – spytałem.

– Coś ci pokażę – odparł. – To niedaleko.

Słońce stało wysoko na niebie, między drzewami było gorąco, pachniało ciepłem, a zewsząd dochodziły odgłosy: trzepot skrzydeł, skrzypienie uginających się konarów i trzask łamiących się gałązek, krzyk jastrzębia i ostatnie tchnienie zająca, cichutkie dudnienie za każdym razem, gdy pszczoła uderzała o kwiat. Słyszałem mrówki pelzające po mchu, a ścieżka, którą szliśmy, pięła się po wzgórzu, wciągnąłem powietrze głęboko przez nos, myśląc sobie, że bez względu na to, jak ułoży się życie i jak daleko wyjadę, na zawsze zapamiętam to miejsce takim, jakie jest teraz, i będę za nim tęsknić. Kiedy się odwróciłem, spojrzałem na dolinę przez kratę z sosen i świerków, zobaczyłem rzekę wijącą się i lśniąca w dole, czerwone dachówki tartaku Barkalda nieco dalej na południe nad brzegiem rzeki i kilka drobnych gospodarstw na plamach zieleni wzdłuż wąskiej smugi wody. Znałem rodziny, które w nich mieszkały, wiedziałem, ile osób żyje w każdym domu, i chociaż nie widziałem naszej chaty na przeciwległym brzegu, to mogłem wskazać dokładnie, za którymi drzewami stoi, i zadałem sobie pytanie, czy mój ojciec jeszcze śpi, czy też może chodzi po podwórzu, zastanawiając się, gdzie ja się podziewam, ale wcale się nie boi, tylko chciałby wiedzieć, czy niedługo wrócę i czy nie powinien już zacząć przygotowywać śniadania, i nagle poczułem, jaki jestem głodny.

– To tutaj – powiedział Jon. – Tam. – Wskazał na wysoki świerk rosnący w pewnej odległości od ścieżki. Przystanęliśmy.

– Wielki – stwierdziłem.

– Nie w tym rzecz – odparł Jon. – Chodź.

Podszedł do świerka i zaczął się wspinać. Bez wysiłku, bo najniższe gałęzie były mocne i długie, zwisały się ciężko i łatwo dawały się dosięgnąć, raz, dwa, trzy i Jon znalazł się kilka metrów nad ziemią, a ja ruszyłem za nim. Wspinał się szybko, ale po mniej więcej dziesięciu metrach się zatrzymał, usiadł i czekał, aż znajdę się na tej samej wysokości, miejsca było dość, mogliśmy siedzieć obok siebie na dwóch osobnych grubych gałęziach. Jon wskazał jakiś punkt nieco dalej na swojej gałęzi, tam, gdzie się rozwidlała. Z tego rozwidlenia zwisało ptasie gniazdo, głęboka miseczka, prawie jak rożek. Widziałem już wiele gniazd, ale nigdy takiego, które byłoby równie maleńkie, uwite z taką lekkością, tak idealnie uformowane z mchu i piór. Ono nie zwisało. Unosiło się w powietrzu.

– To mysikrólik – powiedział Jon cicho. – Lęć numer dwa. – Nachylił się, sięgnął ręką do gniazda, wsunął trzy palce do zakrytego piórkami otworu i wyjął jajeczko, tak malusieńkie, że nie mogłem od niego oderwać oczu. Jon, trzymając jajeczko w koniuszkach palców, przysunął mi je do twarzy, żebym mógł mu się przyjrzeć z bliska, a mnie zakręciło się w głowie od myśli, że już za kilka tygodni ta maleńka, nieco owalna kulka zmieni się w żywego ptaka ze skrzydłami, który będzie mógł podrywać się wysoko z gałęzi, a potem opadać i mimo wszystko nigdy nie uderzać o ziemię, tylko dzięki instynktowi i własnej woli wzlatywać w górę, pokonując siłę ciężenia. Powiedziałem to na głos:

– Jasny gwint! Ale to dziwne, że coś tak małego jest w stanie ożyć i odlecieć.

Może nie wyraziłem się zbyt dobrze i moje słowa zawierały o wiele mniej niż ten lekki ulotny szum, który poczułem w sobie. Ale w tej chwili stało się coś, czego nie miałem możliwości zrozumieć, kiedy bowiem podniosłem wzrok i spojrzałem w twarz Jona, była napięta i całkiem biała. Czy sprawiło to tych kilka wypowiedzianych przeze mnie słów, czy raczej jajeczko, które trzymał, tego nigdy się nie dowiem, ale coś kazało mu się tak nagle zmienić, popatrzył mi prosto w oczy, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział, sam wyjątkowo nie mrużył oczu, źrenice miał duże i czarne. A potem otworzył dłoń i wypuścił jajeczko. Spadło wzdłuż pnia, śledziłem je wzrokiem i widziałem, jak uderza w jedną z niższych gałęzi, tłucze się i rozpada na małe jasne kawałeczki, które rozpryskują się na wszystkie strony i opadając jak płatki śniegu niemal całkowicie pozbawione ciężaru, powoli znikają. Tak przynajmniej to zapamiętałem i nie mogłem przypomnieć sobie nic, co kiedykolwiek wzbudziłoby we mnie większą rozpacz. Z powrotem podniosłem wzrok na Jona, on już zdążył się pochylić, zerwał gniazdo z rozwidlenia gałęzi i trzymając je przed sobą w wyciągniętej ręce, zgniótł w palcach na proch w odległości zaledwie kilku centymetrów od

moich oczu. Chciałem coś powiedzieć, lecz nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Twarz Jona wyglądała jak kredowobiała maska z otwartymi ustami, a z tych ust wypływały dźwięki, od których ciarki przebiegały po plecach, nigdy nie słyszałem nic podobnego, jakby gardłowe odgłosy zwierzęcia, którego nigdy nie widziałem i nie miałem ochoty oglądać. Jon znów rozwarł dłoń i spodem uderzył w pień drzewa, tarł ręką o korę, zaczęła się łuszczyć drobnymi płatkami i w końcu została tylko miazga, na którą nie mogłem patrzeć. Zamknąłem oczy i tak je trzymałem, a gdy ponownie je otworzyłem, Jon był już dość daleko na dole. Niemal ześlizgiwał się z gałęzi na gałąź, patrzyłem wprost na jego sztywne brązowe włosy, a on ani razu nie spojrzał w górę. Na ostatnich metrach po prostu się puścił i wylądował na ziemi z hukiem, który dotarł aż do mnie, a potem osunął się na kolana jak pusty worek i uderzył czołem o ziemię, siedział tak zgięty chyba przez wieczność, a ja przez całą tę wieczność wstrzymywałem oddech, nie ruszając się z miejsca. Nie rozumiałem, co się stało, ale czułem, że to moja wina. Nie wiedziałem tylko dlaczego. W końcu Jon podniósł się sztywno i ruszył ścieżką. Wypuściłem powietrze z płuc, a potem powoli znów go nabrałem, w piersi mi pisnęło, usłyszałem to wyraźnie, zabrzmiało tak, jakbym miał astmę. Znałem człowieka chorującego na astmę, mieszkał naprzeciwko nas w Oslo. Taki właśnie dźwięk wydawał, gdy oddychał. Dostałem astmy, pomyślałem, cholera, to tak się dostaje astmy. Kiedy coś się wydarzy. A potem zacząłem schodzić z drzewa, nie tak szybko jak Jon, raczej jakby każda gałąź była punktem orientacyjnym, na którym musiałem długo przytrzymać dłonie, by nie umknęła mi żadna ważna rzecz, i przez cały czas myślałem o tym, żeby oddychać.

Czy to wtedy zmieniła się pogoda? Chyba tak. Stałem na ścieżce, Jona nigdzie nie było widać, zniknął gdzieś w tamtej stronie, z której przyszliśmy, i nagle usłyszałem nad sobą szum drzew. Zobaczyłem, że wierzchołki świerków kołyszają się i uderzają o siebie, widziałem, jak wysokie sosny gną się na wietrze, a pod stopami poczułem falowanie mchu. Miałem wrażenie, że stoję na wodzie, w głowie mi się kręciło, rozejrzałem się za czymś, czego mógłbym się przytrzymać, ale wszystko się poruszało. Niebo, przed chwilą jeszcze przezroczyście błękitne, nabrało barwy stalowej szarości z chorobliwie żółtą poświatą nad wzgórzem po drugiej stronie doliny. A potem nad szczytem mocno błysnęło. Za moment huknęło tak, że poczułem to w całym ciele, temperatura nagle spadła, a ramię w tym miejscu, gdzie rozciął je drut kolczasty, przeszył ból. Zacząłem iść tak szybko, jak umiałem, na granicy biegu, ścieżką, którą przyszliśmy, w stronę pastwiska dla koni. Kiedy tam dotarłem, spojrzałem za ogrodzenie między drzewami, ale koni nie było tam teraz widać, przez chwilę chciałem iść na skróty przez pastwisko, ruszyłem jednak wzdłuż ogrodzenia, naokoło, aż do ścieżki prowadzącej na drogę. Tam skręciłem w lewo i zacząłem zbiegać w dół, przestało już

wiać, ale w lesie zapadła drżąca cisza, a nowo odkryta astma ścisnęła mi pierś.

Stałem na drodze. Pierwsze krople uderzyły mnie w czoło. Kawalek dalej przed sobą zobaczyłem plecy Jona. Na pewno nie biegł, na to był zbyt blisko, nie szedł też szybko ani nie szedł wolno. Po prostu szedł. Pomyślałem, że go zawołam i poproszę, żeby zaczekał, ale nie wiedziałem, czy starczy mi oddechu. W dodatku w tych plecach było coś takiego, co kazało mi się wstrzymać, ruszyłem więc za nim, przez całą drogę zachowując taki sam dystans, minąłem zagrodę Barkalda, której okna były teraz wyraźnie oświetlone na tle ciemnego nieba, i zastanawiałem się, czy on tam stoi, patrzy na nas z góry i wie, gdzie byliśmy. Spojrzałem w niebo z nadzieją, że może skończy się na tych paru kroplach, które poczułem, lecz nagle nad wzgórzem znów błysnęło i zagrzmiało w tej samej sekundzie. Nigdy nie bałem się burzy i teraz też nie czułem strachu, ale wiedziałem, że kiedy błyskawica i grzmot następują tak szybko po sobie, to piorun może uderzyć w pobliżu. To było niezwykle uczucie iść tak drogą, bez żadnej ochrony. A potem deszcz nadciągnął ku mnie jak ściana i nagle znalazłem się za tą ścianą, przemoczony na wskroś w ciągu kilku sekund, równie dobrze mogłem być nagi, nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Cały świat poszarzał od wody, ledwie mogłem dostrzec Jona, idącego sto metrów przede mną. Ale on nie musiał wskazywać mi drogi, wiedziałem, którądy mam iść. Skręciłem na ścieżkę biegnącą przez łąkę Barkalda, gdybym nie był już mokry, to w tej wysokiej trawie spodnie zrobiłyby się ciężkie i zaczęły się lepić do ciała. Ale teraz to nie miało już żadnego znaczenia. Pomyślałem, że Barkald będzie musiał odczekać kilka dni, żeby móc kosić, bo trawa powinna wyschnąć. Nie można kosić mokrej trawy. Zastanawiałem się, czy poprosi mojego ojca i mnie o pomoc przy sianokosach, jak rok wcześniej, zadawałem sobie też pytanie, czy Jon zabrał łódź i przepłynął przez rzekę sam, czy czeka na mnie na brzegu. Mogłem się cofnąć na drogę do sklepu, przejść przez most i wrócić drugą stroną przez las, ale to była długa, uciążliwa trasa. Albo mogłem przepłynąć rzekę. Woda z pewnością była teraz zimna, a prąd wartki. Czułem, że marznę w mokrym ubraniu i że bez niego byłoby lepiej. Zatrzymałem się na ścieżce i zacząłem ściągać sweter i koszulę. Szło mi opornie, bo lepiły się do ciała, ale wreszcie je zdjąłem i zwinąłem w tłumoczek pod pachą. Wszystko było teraz tak mokre, że niemal zabawne, a deszcz siekł w moje gołe ciało, w dziwny sposób mnie rozgrzewając. Pogładziłem skórę dłonią, prawie nic przy tym nie czując, i skórę, i palce miałem odrętwiałe, poczułem się zmęczony i senny, zapragnąłem położyć się na chwilę i zamknąć oczy. Zrobiłem jeszcze kilka kroków. Ręką zgarnąłem wodę z twarzy. Trochę kręciło mi się w głowie. Nagle znalazłem się tuż nad rzeką, a w ogóle jej nie słyszałem. Przede mną w łodzi siedział Jon. Włosy, które zwykle sterczały mu sztywnymi kępkami, teraz przemoczone przylgnęły płasko do czaszki. Patrzył na mnie

przez deszcz, wiosłując do tyłu i utrzymując rufę łodzi przy brzegu, ale nic nie mówił.

– Cześć – powiedziałem, niezgrabnie pokonując ostatnie metry po gładkich okrągłakach. Raz się potknąłem, lecz się nie przewróciłem, wsiadłem do łodzi i zająłem miejsce na tylnej ławeczce. Jon zaczął wiosłować, gdy tylko się usadowiłem, widziałem, że ciężko mu idzie, bo płynęliśmy pod prąd i posuwaliśmy się bardzo powoli. Postanowił odwieźć mnie do samego domu, chociaż na pewno był zmęczony. Sam mieszkał dalej w dole rzeki, chciałem więc powiedzieć, że nie musi tego robić, wystarczy, żeby przewiózł mnie na drugi brzeg, a ostatni kawałek przejdę piechotą. Ale nic nie powiedziałem. Nie miałem siły.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Jon mocnym ruchem wiosła obrócił łódź i tyłem dopłynął do brzegu, tak że mogłem zejść wprost na ląd. I tak zrobiłem, wyszedłem na brzeg, stanąłem i popatrzyłem na niego.

– Trzymaj się – powiedziałem. – Do zobaczenia jutro.

Ale on nie odpowiedział. Wyciągnął wiosła z wody, pozwalając prądowi unosić łódź, i tylko spoglądał na mnie zmrużonymi oczami, a ja już wtedy wiedziałem, że tego spojrzenia nigdy nie zapomnę.

Przyjechaliśmy tu dwa tygodnie wcześniej, mój ojciec i ja, pociągiem z Oslo, a potem autobusem z Elverum, wlokącym się godzina za godziną. Autobus zatrzymywał się według systemu, którego nigdy nie mogłem zrozumieć, ale w każdym razie często, chwilami zasypiałem w upale na rozgrzanym siedzeniu, a kiedy się budziłem i wyglądałem przez okno, miałem wrażenie, że nie posunęliśmy się naprzód nawet o milimetr, ponieważ miałem przed oczami to samo, co widziałem, zanim zasnąłem: wijącą się szutrową drogę z polami po obu stronach, zagrody z pomalowanymi na biało domami i czerwonymi stodołami, niektóre małe, inne nieco większe, krowy za ogrodzeniami z kolczastego drutu, leżące tuż przy drodze na trawie i przeżuwające z oczami półprzymkniętymi w słońcu, prawie wszystkie brązowe, tylko niektóre w białe łaty na brązowym albo czarnym tle, a dalej za gospodarstwami las z niebieskimi cieniami ciągnący się pod nieodmiennie to samo wzgórze.

Ta podróż trwała mniej więcej cały dzień, a najdziwniejsze, że nie wydawała mi się nudna. Z przyjemnością wyglądałem przez okno, aż powieki robiły się ciężkie i ciepłe, wtedy zasypiałem i znów się budziłem, wyglądałem przez okno po raz chyba tysięczny, odwracałem się i patrzyłem na ojca, który przez całą drogę siedział z nosem w książce o jakichś sprawach technicznych, o budowie domów albo o maszynach czy silnikach, miał fioła na tym punkcie. Wtedy on podnosił wzrok, spoglądał na mnie, kiwał głową i uśmiechał się, ja odpowiadałem mu uśmiechem, a on z powrotem wsadzał nos w książkę. Zasypiałem i śniły mi się jakieś ciepłe, miękkie rzeczy, a po raz ostatni obudziłem się dlatego, że ojciec szarpał mnie za ramię.

– Wstawaj, szefie – powiedział, a ja otworzyłem oczy i rozejrzałem się dokoła.

Autobus stał z wyłączonym silnikiem w cieniu wielkiego dębu przed sklepem. Zobaczyłem ścieżkę prowadzącą na most przez rzekę, która szumiąc, akurat w tym miejscu płynęła wąskim bystrzem, niskie słońce migotało na wierzchołkach fal. Wsiadaliśmy jako ostatni, to był końcowy przystanek. Dalej nie dawało się jechać, resztę drogi musieliśmy pokonać piechotą, a ja pomyślałem, że to typowe dla mojego ojca – zabrać mnie tak daleko,

jak tylko się da, ale żeby wciąż to miejsce nazywało się Norwegią, lecz nie zadawałem żadnych pytań, dlaczego właśnie tutaj, bo on wystawiał mnie jakby na próbę, a ja nie miałem nic przeciwko temu. Ufałem mojemu ojcu.

Zabraliśmy nasze plecaki i sprzęt z podestu na tyle autobusu i ruszyliśmy w stronę mostu. Na jego środku stanęliśmy, zapatrzeni w rwącą, niemal zieloną wodę, mocno ściskając w rękach bambusowe wędki, uderzyliśmy nimi w niedawno zrobioną balustradę z drewna, splunęliśmy do rzeki, a mój ojciec powiedział:

– Jeszcze ci pokażę, Jakobie!

Każdą rybę nazywał Jakobem, czy to na słonym Oslofjorden w domu, gdy, do połowy wychylony przez burtę, z twarzą rozciągniętą w uśmiechu, żartobliwie wygrażał ręką ponad głębią: „Jeszcze ci pokażę, Jakobie, zaraz cię złapiemy”, czy tu, nad rzeką płynącą półkolem zza granicy ze Szwecją, przepływającą przez tę wioskę i kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe zwracającą do Szwecji. Pamiętam, że rok wcześniej wpatrywałem się w wirującą wodę i zastanawiałem, czy nie da się w jakiś sposób zobaczyć, poczuć lub posmakować, że ta woda właściwie jest szwedzka i na tę stronę granicy została tylko wypożyczona. Ale byłem wtedy znacznie młodszy i tak mało wiedziałem o świecie, no i ta myśl tylko przeleciała mi przez głowę. Staliśmy na moście, mój ojciec i ja, patrzyliśmy na siebie, uśmiechaliśmy się i przynajmniej ja czułem radosną nadzieję rozlewającą się w brzuchu.

– Jak tam? – spytał ojciec.

– Świetnie – odpowiedziałem i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Szedłem teraz w deszczu ścieżką znad rzeki. Za moimi plecami Jon płynął łódką z prądem. Ciekaw byłem, czy nie rozmawia ze sobą na głos, jak mnie często się zdarzało, kiedy zostawałem sam. Głośno komentowałem, co właśnie zrobiłem, rozważałem za i przeciw, a kończyłem stwierdzeniem, że nie miałem wyboru. Ale on na pewno tak się nie zachowywał.

Przemarzałem do szpiku kości, dzwoniłem zębami. Pod pachą niosłem sweter i koszulę, ale było już za późno, by je znowu wkładać. Niebo pociemniało bardziej niż nocą. Ojciec zapalił w chacie lampę parafinową, z okien było żółte, ciepłe światło, a z komina unosiły się kłęby szarego dymu, które deszcz natychmiast wciskał z powrotem w dach, i woda przemieszana z dymem spływała po płytach łupku jak szare błoto. Dziwnie to wyglądało.

Drzwi były uchylone. Podeszedłem aż na schodek i poczułem zapach smażonego bekonu sączący się przez jasną szparę. Zatrzymałem się pod niewielkim okapem. Pierwszy raz od dłuższego czasu deszcz nie siekł mnie w głowę. Postąłem tam przez kilka minut, a potem otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Ojciec przy czarnym żeliwnym piecyku

szkował śniadanie. Stałem w sieni przed progiem, woda ociekała ze mnie na chodnik z gałganków. Ojciec mnie nie słyszał. Nie wiedziałem, która jest godzina, ale byłem pewien, że czekał ze śniadaniem do ostatniej chwili. Na kraciastą koszulę włożył stary dziurawy sweter, w którym lubił chodzić, kiedy nie musiał iść do pracy. Był zarośnięty, nie golił się, odkąd tu przyjechaliśmy. Zarośnięty i swobodny, powtarzał zwykle, gładząc się po brodzie. Lubiałem tego mężczyznę. Kaszlnąłem, on się odwrócił i popatrzył na mnie, przekrzywiając głowę. Czekałem, co powie.

– O rany, ale zmokłeś!

Kiwnąłem głową.

– No – odparłem, szcękając zębami.

– Stój tam. – Zsunął patelnię na brzeg płyty, poszedł do sypialni i wrócił z wielkim ręcznikiem. – Ściągaj spodnie i buty – powiedział.

Zrobiłem tak, jak kazał. Nie było to łatwe. Stałem nagi na chodniku. Czułem się, jakbym znów był małym chłopcem.

– Podejdź do piecyka.

Podszedłem. Ojciec dołożył do ognia dwa polana i zamknął małe drzwiczki. Przez otwór doprowadzający powietrze zobaczyłem, jak buchają płomienie, od czarnego żeliwa były fale gorąca, przyprawiające niemal o ból. Ojciec narzucił na mnie ręcznik i zaczął mnie rozcierać, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Miałem wrażenie, jakbym stawał w ogniu, tak jak się dzieje, gdy Indianie pocierają o siebie dwa patyki, żeby rozpałić ognisko. Byłem sztywnym, suchym patykiem, a potem zmieniłem się w rozżarzoną masę.

– Przytrzymaj przez chwilę – powiedział.

Przytrzymałem mocno ręcznik na ramionach, a on znów poszedł do sypialni i przyniósł mi czyste spodnie, gruby sweter i skarpety. Ubierałem się bardzo wolno.

– Głodny jesteś? – spytał.

– Tak – odparłem, a potem długo już nic więcej nie mówiłem. Usiadłem przy stole. Ojciec podał smażone jajka na bekonie i chleb, który sam upiekł w starym piecu, kroił grube pajdy i smarował margaryną. Pochłaniałem wszystko, co przede mną postawił, a on usiadł i też jadł. Słuchaliśmy deszczu bębniącego w dach, padał na rzekę i na łódź Jona, na drogę do sklepu i na łąki Barkalda, padał na las i na konie na pastwisku, na wszystkie ptasie gniazda na każdym drzewie, na łosie i na zające, na wszystkie dachy w całej wsi, ale tu, w chacie, było ciepło i sucho. W piecyku trzeszczało, a ja jadłem, dopóki nie opróżniłem talerza, mój ojciec też jadł z półuśmiechem na ustach, jakby to był zwyczajny poranek, choć przecież wcale taki nie był, nagle poczułem się senny, pochyliłem się nad stołem, oparłem głowę na rękach i

zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, leżałem pod kołdrą na dole piętrowego łóżka, czyli miejscu do spania mojego ojca. Byłem w ubraniu. Słońce świeciło przez okno z nieba za chatą, wiedziałem więc, że jest już dawno po dwunastej. Odsunąłem kołdrę na bok, obróciłem się w łóżku i postawiłem stopy na podłodze. Czuję, że jestem w dobrej formie. Jeden bok miałem obolały, ale tym się nie przejąłem. Przeszedłem do izby. Drzwi były otwarte na oścież, na podwórzu świeciło słońce. Trawa lśniła wilgocią, a metr nad ziemią unosił się w upale wełnisty dywan oparów. W oknie brzęczała mucha. Przed szafką w rogu stał mój ojciec, wyjmował z plecaka zakupy i ustawiał je na półkach. W czasie gdy spałem, przeszedł całą długą drogę do sklepu i z powrotem.

Zauważył mnie od razu, przerwał rozpakowywanie i stanął z jakąś torbą w ręku. Było bardzo cicho, a on był bardzo poważny.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Świetnie – odparłem. – Czuję się świetnie.

– To dobrze – powiedział, potem umilkł, a w końcu spytał: – Dzisiaj rano, kiedy wychodziłeś, byłeś razem z Jonem?

– Tak.

– Co robiliście?

– Poszliśmy kraść konie.

– Co ty wygadujesz? – Ojciec wyglądał wręcz na wzburzonego. – Jakie konie?

– Barkalda. Nie zamierzaliśmy ich kraść naprawdę. Chcieliśmy tylko na nich pojeździć. Ale mówimy, że idziemy je kraść, żeby było ciekawiej – uśmiechnąłem się ostrożnie, ale on nie odpowiedział mi uśmiechem.

– Niezbyt dobrze mi poszło – dodałem. – Koń mnie zrzucił, przeleciałem przez ogrodzenie z drutu. – Wyciągnąłem rękę z wyraźnie widocznym skaleczeniem, ale ojciec patrzył mi prosto w twarz.

– A jak się czuł Jon?

– Jon? Normalnie. Tylko pod koniec... Chciał mi pokazać jajeczka w gnieździe mysikrólika wysoko na świerku i nagle zgniótł całe gniazdo. O tak! – Wyciągnąłem rękę i wykonałem dłonią gest, jakbym coś miażdżył; wtedy mój ojciec schował ostatnią torbę do szafki, cały czas na mnie patrząc i kiwając głową, zamknął drzwiczki i pogładził się po zarośniętej brodzie, a ja dodałem:

– A potem uciekł i przyszła burza.

Ojciec zaniósł plecak pod drzwi i stanął tam, wyglądając na podwórze, odwrócony do

mnie plecami. Podrapał się w kark, potem się odwrócił, usiadł przy stole i spytał:

– Chcesz wiedzieć, o czym wszyscy mówią w sklepie?

Nie byłem szczególnie ciekawy, co ludzie gadają, ale wiedziałem, że on i tak mi powie.

– Chcę.

Dzień wcześniej Jon zabrał swoją strzelbę i jak zwykle poszedł polować na zające. Nie mogłem zrozumieć, skąd mu się wziął taki fioł na punkcie strzelania do zające, ale to się stało jego specjalnością i był w tym dobry, trafiał jednego na dwa strzały. Całkiem niezłe jak na takie małe i szybkie zwierzę. Nie wiedziałem, czy jego rodzina zjada wszystkie te zające. To mogło być trochę zbyt monotonne. W każdym razie wrócił do domu z dwoma zającami związanymi za uszy sznurkiem, uśmiechnięty promiennie jak słońce, bo tego ranka strzelił dwa razy i dwa razy trafił. Rzadka rzecz, nawet jak na niego. Wszedł do domu, rozglądając się za rodzicami, żeby pokazać im zdobycz, ale jego matka wybrała się tego dnia do Innbygda z wizytą do znajomych, a ojciec był w lesie. Jon w pośpiechu o tym zapomniał, kiedy wychodził i nie sprawdził, kto został w domu, a to przecież on miał pilnować bliźniaków. Odstawił strzelbę w sieni, zające powiesił na haku i przebiegł przez dom, szukając braci, nigdzie ich jednak nie było, popędził więc z powrotem na podwórze, okrążył szopę i stodołę, ale nie mógł ich znaleźć. Wpadł w panikę. Puścił się biegiem nad rzekę, brodził po wodzie przy pomoście, wpatrując się w brzeg w górze i w dole, lecz zobaczył jedynie wiewiórkę na świerku.

– Przeklęty rudzielec – syknął. Pochylił się nad wodą i zanurzył w niej ręce, jakby chciał rozgarnąć ją na boki, żeby lepiej widzieć, ale to przecież nie miało sensu, bo woda sięgała mu ledwie do kolan i była całkiem przezroczysta. Wyprostował się, nabrał powietrza, usiłując się skupić, i wtedy z domu usłyszał wystrzał.

Strzelba. Zapomniał zabezpieczyć strzelbę, nie wyjął ostatniego naboju, co zawsze robił po powrocie do domu. Ta broń była jedyną wartościową rzeczą, jaką posiadał, bardzo jej więc pilnował, czyścił ją i utrzymywał w porządku, jakby to było jego dziecko, dbał o nią, odkąd dostał ją od ojca na dwunaste urodziny przy wtórze surowych pouczeń o tym, do czego wolno jej używać, a szczególnie, do czego nie wolno. Zawsze ją zabezpieczał, wyjmował nabój i odwieszał na stałe miejsce w komórce wysoko na haku. Ale tym razem po prostu postawił ją w sieni, bo nagle uświadomił sobie to, o czym zapomniał: że to on odpowiada za bliźnięta, które zostały same w domu. Miały dopiero dziesięć lat.

Z pluskiem wyskoczył z rzeki, pobiegł kawałek wzdłuż brzegu i dalej do domu już w

linii prostej, ta droga nagle się wydłużyła, nogawki spodni miał mokre aż do kolan i przez to ciężkie, w butach chlupotało, przy każdym kroku rozlegało się młaśnięcie, od którego robiło mu się niedobrze. W połowie drogi zobaczył ojca biegnącego z lasu po drugiej stronie zagrody. Nigdy w życiu nie widział wcześniej, żeby jego ojciec biegł. Widok tego wielkiego, ciężkiego mężczyzny pędzącego z lasu na podwórze długimi dudniącymi krokami, z rękami niezgrabnie uniesionymi na wysokość barków, jakby biegł pod prąd przez wodę, był tak przerażający, że Jon zatrzymał się i, jak stał, usiadł na trawie. Bez względu na to, co się wydarzyło, i tak już było za późno, ojciec miał pierwszy dotrzeć do domu, a Jon czuł, że nie chce oglądać tego, co się stało.

A stało się to, że bliźniacy przez cały ranek bawili się w piwnicy starymi ubraniami i znoszonymi butami. W końcu ze śmiechem wbiegli na górę po schodach i potykając się, wypadli przez drzwi do piwnicy do sieni, a tam zobaczyli zające, które wisiały na haku, i strzelbę opartą o ścianę. Ta strzelba należała do Jona, doskonale o tym wiedzieli, a Jon, starszy brat, był ich bohaterem, i jeśli mieli takich samych idoli jak ja w tym wieku, to on był ich Davym Crockettem, Jelenią Stopą i Huckleberrym Finnem w jednej osobie. Wszystko, co robił Jon, dawało się naśladować w zabawie.

Lars pierwszy dopadł strzelby i zaczął nią wywijać, wołając:

– Patrz teraz na mnie!

I wypalił. Huk i odrzut kolby były tak silne, że przewrócił się z krzykiem na podłogę, przecież on w nic nie celował, chciał tylko potrzymać tę cudowną strzelbę i być Jonem, i mógł trafić w skrzynię na drewno albo w to małe okienko wychodzące na schodek przed drzwiami, albo w zawieszoną na kołku fotografię dziadka z długą brodą w ramce pomalowanej lśniąca złotą farbą, albo w gołą żarówkę bez abażuru, której nigdy nie gaszono, by ktoś poruszający się na zewnątrz w ciemności dostrzegł światło w oknie i nie zabłądził.

Ale nie trafił w żadną z tych rzeczy, tylko w Odda, z bliska, prosto w serce. I gdyby się to wydarzyło w powieści kowbojskiej, to na chropowatych stronach można by przeczytać, że imię Odda było wyryte właśnie na tej kuli lub zapisane w gwiazdach albo na jednej z kart grubej księgi przeznaczenia. Że nic, co ktokolwiek by zrobił lub powiedział, nie doprowadziłoby do zmiany kierunku linii zbiegających się właśnie w tym dramatycznym momencie. Że to siły inne niż te, którymi władają ludzie, skierowały lufę strzelby akurat w tę stronę. Tak jednak nie było i Jon o tym wiedział, gdy leżał skulony w trawie i patrzył, jak ojciec wychodzi z domu, niosąc na rękach jego brata, a jedyną książką, w której zapisano imię Odda i z której nie dało się go wykreślić, była księga parafialna.

Mój ojciec nie mógł mi opowiedzieć całej tej historii, a już na pewno nie z tymi wszystkimi szczegółami. Jednakże właśnie tak zachowałem to w pamięci i nie wiem, czy zacząłem tę opowieść kolorować od razu, czy dopiero z upływem lat. Ale o zimnych faktach nie dało się dyskutować, to, co się stało, stało się i tak, a mój ojciec spoglądał na mnie pytająco przez stół, jakbym to ja mógł powiedzieć coś mądrego, ponieważ być może znałem osoby dramatu lepiej niż on, lecz ja miałem przed oczami jedynie białą twarz Jona i deszcz padający na rozkołysaną wodę w rzece, kiedy odpychał łódź od brzegu i pozwolił jej dryfować z prądem w stronę domu, w którym mieszkał, i w stronę tych, którzy tam na niego czekali.

– To i tak jeszcze nie było najgorsze – powiedział mój ojciec.

Wczesnie rano na dzień przed tym, jak Lars zastrzelił Odda, swojego brata bliźniaka, ich matkę podrzucił do Innbygda samochód dostarczający towar do sklepu. Nazajutrz, tego dnia, kiedy wszystko się stało, ich ojciec miał po nią pojechać wozem. Mieli klacz rasy døle o imieniu Bramina, piętnastoletnią skarogniadą z białą gwiazdką i białymi skarpetkami. Moim zdaniem, była piękna, chociaż raczej nie należała do lekkonogich, a Jon twierdził, że Bramina cierpi na katar sienny, dlatego tak ciężko oddycha, co było chyba dość wyjątkowe jak na konia. Droga do Innbygda i z powrotem zabierała jej prawie cały dzień.

Ojciec stanął na podwórzu z martwym synem w ramionach. W trawie leżał jego najstarszy syn, nieruchomo, jakby też nie żył. Ojciec wiedział, że musi jechać. Obiecał, że przyjedzie. Nie miał innego wyboru. A jeśli chciał zdążyć, musiał wyruszyć już teraz. Zawrócił i wszedł z powrotem do domu. W korytarzu stał Lars, nieruchomy i cichy, ojciec go zobaczył, lecz nie był w stanie myśleć więcej niż o jednej ważnej rzeczy naraz, poszedł więc do sypialni, ułożył Odda na małżeńskim łóżu, wyjął koc i nakrył nim drobne ciało. Zmienił zakrwawioną koszulę, zmienił spodnie i poszedł zaprząć Braminę. Kątem oka dostrzegł, że Jon wstał i wolno ruszył w stronę stajni. Kiedy koń stał już zaprzężony do wozu, Jon doszedł na miejsce. Jego ojciec obrócił się, złapał go za ramię, za mocno, pomyślał chwilę później, ale chłopak nie pisnął ani słowa.

– Przypilnuj Larsa, kiedy mnie nie będzie. Z tym dasz sobie radę – powiedział, patrząc na schodek, na który wyszedł Lars i mrużył oczy w ostrym blasku słońca. Ojciec przeciągnął dłońią po twarzy, na moment opuścił powieki, potem chrząknął, usiadł na koźle, cmoknął na konia i wóz zaczął się toczyć. Przez bramę zjechał na główną drogę, minął sklep i ruszył w długą podróż do Innbygda.

Jon zabrał Larsa do łodzi i popłynął w dół rzeki na ryby, nic innego nie przyszło mu do

głowy, nie wracali przez kilka godzin. Nigdy nie zdołałem sobie wyobrazić, o czym rozmawiali. Może w ogóle nie rozmawiali. Może stali tylko na brzegu każdy ze swoją wędką i łowili ryby, zarzucali i ściągali, zarzucali i znów ściągali, w sporej odległości od siebie, a wokół nich był tylko las i wielka cisza. To potrafię sobie wyobrazić.

Po powrocie zanieśli swój skromny połów do stodoły i tam usiedli, żeby czekać. Ani razu nie weszli do domu. Późnym wieczorem usłyszeli kopyta Braminy na żwirze i wóz toczący się drogą. Popatrzyli na siebie. Chętnie jeszcze trochę by tu posiedzieli. W końcu Jon wstał i Lars też wstał, wzięli się za ręce po raz pierwszy od zupełnej maleńkości bliźniaków, wyszli na podwórze i zobaczyli wóz nadjeżdżający w ich stronę drogą, a potem zatrzymujący się na podwórzu, słyszeli astmatyczny oddech Braminy i pełne pociechy słowa ojca skierowane do konia, łagodne słowa, miękkie słowa, takie, jakich nigdy nie słyszeli z jego ust wypowiedzianych do człowieka.

Matka siedziała na koźle w niebieskiej sukience w żółte kwiatki z torebką na kolanach, uśmiechnęła się do nich i powiedziała:

– No, jestem z powrotem w domu. Jak dobrze.

Wstała, postawiła nogę na kole i zeskoczyła na ziemię.

– Gdzie Odd? – spytała.

Jon popatrzył na ojca, ale ten na niego nie spojrzał, wpatrywał się tylko w ścianę stodoły i przeżuwał, jak gdyby usta miał pełne tytoniu. Nie powiedział jej. Przez całą tę długą drogę przez las tylko we dwoje on jej nic nie powiedział.

Pogrzeb odbył się trzy dni później. Mój ojciec spytał, czy mamy iść, a ja powiedziałem, że tak. To był mój pierwszy pogrzeb. Jednego z braci mojej matki zastrzelili Niemcy, kiedy próbował uciec z posterunku policji gdzieś na południu kraju w 1943, ale mnie wtedy przy tym nie było i nie wiem nawet, czy urządzono jakiś pogrzeb.

Są dwie rzeczy, które naprawdę pamiętam z pogrzebu Odda. Po pierwsze, że mój ojciec i ojciec Jona ani razu nie spojrzeli sobie w oczy. A przecież mój ojciec podał mu rękę i powiedział: „Moje kondolencje”, te słowa zabrzmiały całkowicie obco i nikt inny tego dnia ich nie użył, ale i tak na siebie nie patrzyli.

Po drugie, pamiętam Larsa. Kiedy wyszliśmy z kościoła i staliśmy nad otwartym grobem, robił się coraz bardziej niespokojny, a gdy pastor dotarł do połowy ceremonii i małą trumienkę miano spuścić do grobu na linach przymocowanych do uchwytów, nie zdołał dłużej wytrzymać, wyrwał się matce między nagrobki, prawie aż za cmentarz, i zaczął biegać w kółko pod kamiennym murem. Krążył ze spuszczoną głową i ze wzrokiem wbitym w ziemię, a im dłużej to robił, tym wolniej przemawiał pastor; początkowo odwrócili się jedynie

nieliczni spośród gromady w czerni, ale z każdą chwilą było ich więcej, a w końcu już wszyscy patrzyli na Larsa zamiast na trumnę z jego bratem. To trwało aż do chwili, gdy jeden z sąsiadów spokojnie przeszedł po trawie, stanął na okręgu, po którym biegał Lars, złapał go, gdy ten go mijał, i podniósł do góry. Nogi Larsa dalej biegły, lecz on sam nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Popatrzyłem na Jona, a on spojrzał na mnie, lekko pokręciłem głową, ale nie dał mi żadnego znaku w odpowiedzi, tylko patrzył mi prosto w oczy, nawet nie mrugając. I pamiętam swoją myśl, że już nigdy nie pójdziemy razem kraść koni, ta świadomość zasmuciła mnie bardziej niż to, co działo się na cmentarzu. Właśnie to pamiętam. A więc jednak pamiętam trzy rzeczy.

Na parceli, którą mój ojciec kupił razem z letnią zagrodą, rósł las. Głównie świerki, ale i trochę sosen, a tu i ówdzie smukła brzoza wciśnięta między ciemniejsze pnie; ciągnął się aż od rzeki, gdzie do tej sosny rosnącej z samego brzegu między kamieniami, prawie przewieszanej nad płynącą wodą, przybito tajemniczy drewniany krzyż. Dalej las rozciągał się, kreśląc niemal pełne koło, wokół podwórza, chaty z szopą i łąki na tyłach, aż do wąskiej drogi, przy której nasza działka się kończyła. Ta droga nie była właściwie niczym więcej niż wysypaną żwirem ścieżką wśród świerkowych pni, poprzecinaną korzeniami, i prowadziła wzdłuż wschodniego brzegu rzeki aż do drewnianego mostu, gdzie skręcała na drugą stronę, ku „centrum” przy sklepie i kościele. To właśnie nią musieliśmy iść, kiedy przyjeżdżaliśmy autobusem pod koniec czerwca lub gdy jakiś idiota zostawił łódź na niewłaściwym brzegu, wschodnim lub zachodnim, w zależności od tego, na którym sami się znajdowaliśmy. Tym idiotą z reguły bywałem ja. Zazwyczaj chodziliśmy przez łąkę Barkalda, wzdłuż ogrodzenia, i przepływaliśmy przez rzekę.

Przez nieco ponad dwie godziny przed południem naszą chatę ocieniał gęsty las rosnący od południowej strony, i może właśnie dlatego mój ojciec postanowił wyciąć to paskudztwo. Z pewnością potrzebował pieniędzy, ale jakoś nie zauważyłem, by sytuacja była aż tak krytyczna, i sądziłem raczej, że skoro w ogóle przyjechaliśmy nad rzekę, w dodatku drugi raz z rzędu, to dlatego, że potrzebował czasu i spokoju na zaplanowanie innego życia niż to, które miał za sobą, i musiał zrobić to w jakimś innym miejscu, z innym widokiem niż ten w Oslo. Ten rok to rozstaje, tak powiedział. To, że zabrał mnie ze sobą, nadawało mi status niebędący udziałem mojej siostry, ponieważ ona zostawała w mieście razem z matką, chociaż była ode mnie o trzy lata starsza.

– Wcale nie chcę z wami jechać. Musiałabym ciągle zmywać, kiedy wy będziecie chodzić na ryby. Nie jestem taka głupia – powiedziała i akurat tym razem miała rację, a ja pomyślałem, że rozumiem, o co chodzi mojemu ojcu, bo nie raz słyszałem, jak powtarzał, że nie jest w stanie myśleć, kiedy w pobliżu są kobiety. Sam nigdy nie miałem tego problemu.

Przeciwnie.

Później doszedłem do wniosku, że on być może nie miał na myśli wszystkich kobiet.

Ten przeklęty cień, powtarzał, przecież są letnie wakacje, do diabła, i klął tak, jak czasami wtedy, gdy mojej matki nie było w pobliżu. Ona dorastała w mieście, w którym, jak twierdziła, wszyscy stale przeklinali, i nie miała już ochoty dłużej tego wysłuchiwać. Osobiście uważałem, że dobrze jest na trochę uwolnić się od słońca w godzinach największego skwaru, kiedy las nieruchomiał w jaskrawym świetle i wydzielał aromaty, od których robiłem się senny i tak rozleniwiony, że potrafiłem zasnąć w środku dnia.

Bez względu na to, jaki był tego powód, ojciec podjął decyzję. Większość lasu należało wyciąć, bale zaciągnąć do rzeki, żeby spłynęły z prądem do tartaku w Szwecji. Ta ostatnia rzecz mnie zastanawiała, ponieważ Barkald miał tartak odległy zaledwie o kilometr, ale to był tylko gospodarski tartak, może za mały na przyjęcie takiej ilości drewna, jaką my zamierzaliśmy dostarczyć. Tak czy owak, Szwedzi nie chcieli kupować drewna na miejscu, jak było w zwyczaju, i płacili tylko za to, co dotrze do tartaku. Za spław również nie brali odpowiedzialności. Zwłaszcza w lipcu, jak mówili.

– Może powinniśmy wycinać po trochu – podsunąłem. – Trochę teraz, a trochę w przyszłym roku.

– To ja decyduję o tym, kiedy będziemy ścinać moje drzewa – odparł ojciec.

Nie chodziło mi o to, że to nie on ma decydować, ale postanowiłem tego nie drażnić. Dla mnie ta sprawa nie miała żadnego znaczenia. Więcej myślałem o tym, czy pozwoli mi uczestniczyć w wyrębie i kto jeszcze będzie nam pomagał, bo to ciężka praca i z pewnością niebezpieczna, jeśli się na niej nie zna, a o ile dobrze wiedziałem, mój ojciec nigdy dotychczas nie zajmował się wyrębem lasu. Nie myliłem się zresztą, dzisiaj to rozumiem, ale on zawsze miał w sobie taką pewność, że mógł zabrać się właściwie do wszystkiego i wierzyć, że pójdzie dobrze.

Ale najpierw trzeba było skosić łąki. Od tamtej burzy deszcz więcej nie padał, w ciągu dwóch krótkich dni trawa wyschła, i pewnego ranka na naszym podwórzu stanął Barkald, z wyszcotkowanymi włosami, rękami w kieszeniach i spytał, czy nie bylibyśmy skłonni przez kilka dni popracować widłami do siana. Według jego słów cały zeszłoroczny pokos by się zmarnował, gdyby nie pomoc mojego ojca i moja, a zwłaszcza moja, jak wynikało z jego pochlebstw, ale byłem już dostatecznie duży, by zrozumieć, że chodzi mu wyłącznie o darmową siłę roboczą podczas sianokosów. Chociaż oczywiście na pochwały zasłużyliśmy, bo pracowaliśmy ciężko.

Ojciec pogładził się po zarośniętej brodzie, na moment zmrużył oczy do słońca, a potem zerknął na mnie z ukosa, bo staliśmy razem na progu.

– Jak myślisz, Trondzie T.? – spytał. Na drugie imię dostałem Tobias, ale nigdy go nie używałem, a „T” pojawiało się tylko wówczas, gdy mój ojciec udawał powagę, i było dla mnie sygnałem, że teraz jest czas na wygłupy.

– No – powiedziałem. – To chyba nie jest całkiem niemożliwe.

– Ale sami mamy trochę rzeczy do zrobienia – dodał ojciec.

– Jasne – przyświadczyłem. – Mamy parę spraw do załatwienia, to prawda, ale może dałoby się wycisnąć ze dwa dni, to nie jest wykluczone.

– Wykluczone nie jest, ale trudne – stwierdził ojciec.

– No właśnie, trudne, to trzeba przyznać. Ale jakiś handel wymienny pewnie by pomógł.

– Masz rację – ojciec spojrział teraz na mnie z zainteresowaniem. – Rzeczywiście jakaś wymiana byłaby nie do pogardzenia.

– Przydałby nam się na przykład koń z rzędem – zaproponowałem. – Na kilka dni w przysłym tygodniu, albo jeszcze w następnym.

– Otóż i to – ojciec uśmiechnął się szeroko. – Właśnie tak, co do joty. Co ty na to, Barkald?

Barkald stał na podwórzu ze zdezorientowaną miną, słuchając naszej pokrętej rozmowy, i dał się złapać w pułapkę; przegarnął ręką włosy i powiedział:

– No jasne, to na pewno da się zrobić. Moglibyście wziąć Brunę.

A ja widziałem, że miał ochotę spytać, na co nam właściwie ten koń, ale czuł się trochę wyprowadzony w pole, jakby zbity z pantałyku, i za wszelką cenę nie chciał się wygłupić.

Oświadczył, że zamierza kosić następnego dnia, kiedy rosa wstanie, i że mamy się stawić na północnej łące, a potem uniósł na pożegnanie dłoń, wyraźnie ucieszony, że może odejść, zszedł nad rzekę i wsiadł do swojej łodzi, a mój ojciec ujął się pod boki, popatrzył na mnie i stwierdził:

– To było wręcz genialne. Jak na to wpadłeś?

Nie miał nawet pojęcia, jak starannie przemyślałem całą tę sprawę z drewnem, a ponieważ nie słyszałem, żeby wspominał o jakimkolwiek koniu, postanowiłem z tym wypalić, bo wiedziałem, że gołymi rękami nie zdołamy zaciągnąć bali nad wodę. Ale nic mu nie odpowiedziałem, wzruszyłem tylko z uśmiechem ramionami. Ojciec złapał mnie za włosy i delikatnie potrząsnął moją głową.

– Nie jesteś głupi – orzekł, a ja się z nim zgodziłem. Zawsze uważałem, że nie jestem głupi.

Od pogrzebu Odda upłynęły cztery dni, a ja od tamtej pory nie widziałem Jona. Dziwnie się czułem. Budziłem się rano, nasłuchując jego kroków na podwórzu i na schodku, zgrzytu wiosel w dulkach i lekkiego stuknięcia, gdy łódź przybijała do kamieni na brzegu rzeki. Ale każdego ranka panowała cisza, słychać było tylko śpiew ptaków, wiatr w koronach drzew i podzwanianie, kiedy krowy z letnich zagród położonych na północ i południe od nas pędzono na wzgórze za chatą, żeby tam przez cały dzień pasły się na zielonych zboczach, dopóki dójki nie wyjdą na pastwiska i śpiewem nie zapędzą ich do domu o piątej. Leżałem w łóżku przy otwartym oknie, słuchałem, jak ten metaliczny delikatny dźwięk zmienia się wraz z ukształtowaniem terenu, i myślałem o tym, że nie chciałbym być w żadnym innym miejscu niż ta chata, razem z moim ojcem, bez względu na to, co się stało, i za każdym razem, kiedy wstawałem, a Jona nie było pod drzwiami, czułem lekki powiew ulgi. Wstydziałem się wtedy, przypominało to trochę drapanie w gardle i czasami musiało upłynąć kilka godzin, zanim to uczucie całkowicie minęło.

Nie widziałem go również nad rzeką, nie widziałem go z wędką na brzegu, ani w łodzi płynącej z prądem czy pod prąd, ojciec nie pytał mnie, czy byliśmy gdzieś razem, a ja nie pytałem ojca, czy go widział. Tak było. Teraz też tylko zjedliśmy śniadanie, włożyliśmy robocze ubrania, zeszliśmy do starej łodzi kupionej razem z chatą i przepłynęliśmy na drugi brzeg.

Słońce świeciło. Siedziałem na tylnej ławeczce z oczami zamkniętymi na światło i na znajomą twarz ojca, wiosłującego spokojnymi ruchami, i zastanawiałem się nad tym, jak to jest stracić życie tak wcześnie. Stracić życie, jak gdyby się trzymało w dłoni jajeczko i puściło je, a ono upadłoby na ziemię i się stłukło, i wiedziałem, że nie można wtedy poczuć absolutnie nic. Umarłeś to umarłeś. Ale co się czuje, jeśli w króciuteńkim ułamku sekundy tuż przed tym zrozumie się, że to już koniec? Była tam wąska szczelina, niczym ledwie uchylone drzwi, w którą starałem się wcisnąć, bo chciałem się tam dostać, z tej szczeliny sączyło się na moje powieki złociste światło słońca, i nagle się przez nią prześlizgnąłem, byłem tam z całą pewnością przez moment i wcale się nie wystraszyłem, tylko zasmuciłem i zdziwiłem panującą dookoła ciszą. Kiedy otworzyłem oczy, to uczucie we mnie pozostało. Popatrzyłem przez wodę na drugi brzeg i zobaczyłem, że wciąż tam jest. Popatrzyłem na twarz mojego ojca, jakby gdzieś z daleka, mrugnąłem kilka razy, wziąłem głęboki oddech i może lekko zdrząłem, bo ojciec uśmiechnął się zaciekawiony i spytał:

– Wszystko w porządku, szefie?

– Jasne – odparłem po chwili. Ale gdy przybijaliśmy do brzegu, gdy cumowaliśmy łódź i gdy szliśmy wzdłuż ogrodzenia przez łąkę, czułem gdzieś w sobie jakąś maleńką drobinę, całkiem żółtą plamkę, i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zdołam się jej pozbyć.

Kiedy dotarliśmy na północną łąkę, byli już tam ludzie. Sam Barkald stał przy kosiarce z lejcami w dłoni i właśnie miał na nią wsiąść. Konia poznałem, wciąż bolało mnie krocze po naszej wspólnej jeździe; stało tam też dwóch mężczyzn z wioski i nieznajoma kobieta, która nie wyglądała na wieśniaczkę, ale może była krewną gospodarzy, a pani Barkald rozmawiała z matką Jona. Obie miały włosy zebrane w niestaranne koki, sprane, przylegające do ciała sukienki z bawełny w kwiatki i gołe nogi w półbutach, a w rękach trzymały grabie ze styliskami dwa razy wyższymi od nich. Już na drodze słyszeliśmy ich głosy niesione w przedpołudniowym powietrzu, matka Jona na łące wyglądała inaczej niż w ciasnym domu, rzucało się to w oczy tak bardzo, że zauważyłem to od razu, i bez wątpienia mój ojciec również zwrócił na to uwagę. Prawie niechętnie odwróciliśmy głowy i wymieniliśmy spojrzenia, sprawdzając, co zauważył ten drugi. Poczzerwieniałem na twarzy, spięty, a zarazem nieprzyjemnie nieswój, ale nie wiedziałem, czy to z powodu własnych zaskakujących myśli, czy też dlatego, że zobaczyłem, że mój ojciec pomyślał to samo. Kiedy spostrzegł, że się rumienię, roześmiał się cicho, lecz bez cienia pogardy, to trzeba mu przyznać. Po prostu się śmiał. Niemal z entuzjazmem.

Podeszliśmy przez trawę do kosiarki, przywitaliśmy się z Barkaldem i jego żoną, a matka Jona podała nam rękę i podziękowała za przyjsie na pogrzeb Odda. Była poważna, ale nie przybita. Ładnie opalona, miała niebieską sukienkę i niebieskie, błyszczące, choć trochę zapuchnięte oczy, i była zaledwie o kilka lat młodsza od mojej matki. Wprost biło od niej światło, miałem wrażenie, że pierwszy raz widzę ją tak wyraźnie, i zastanawiałem się, czy to z powodu tego, co się stało, czy coś takiego może sprawić, by człowiek zaczął świecić sam z siebie. Musiałem wpatrywać się w ziemię, a później w łąkę, żeby uniknąć jej spojrzenia. W końcu podeszedłem do stosu pali, gdzie stały narzędzia, i wyciągnąłem widły do siana, oparłem się o nie, nie patrząc już na nic i czekając, aż Barkald weźmie się do roboty. Ojciec chwilę postął i pogadał, a potem też podeszedł, podniósł widły leżące na trawie między dwoma zwojami drutu na kołowrotkach, wbił je w ziemię i czekał tak jak ja, unikaliśmy patrzenia na siebie, wreszcie Barkald, usadowiony już na kosiarce, cmoknął na konia, opuścił noże i ruszył.

Łąka została podzielona na cztery części, bo tyle płotków do suszenia siana mieliśmy

ustawić, a Barkald zaczął kosić trawę w prostej linii przez środek pierwszej części. Kilka metrów od skraju łąki młotem wbiliśmy ukosem w ziemię mocny kołek, obwiązaliśmy jego koniec drutem z jednego ze zwojów i dobrze umocowaliśmy, a potem do mnie należało podniesienie kołowrotka za dwa wyświecone uchwyty i rozwijanie cały czas naprężonego drutu, musiałem przy tym iść tyłem po linii skoszonej przez Barkalda. To była ciężka praca, już po kilku metrach zaczęły mnie boleć nadgarstki, bolały też barki, ponieważ musiałem robić trzy rzeczy jednocześnie, trzymając w rękach ciężki kołowrotek, a mięśnie jeszcze mi się nie rozgrzały. W miarę jak drut się rozwijał, kołowrotek stawał się coraz lżejszy, ale ja zrobiłem się wtedy jeszcze bardziej zmęczony i nagle każde fizyczne działanie zaczęło mi stawiać taki opór, że poczułem wściekłość i pomyślałem, cholera, nikt nie może zobaczyć, że taki ze mnie delikatniś z miasta, pod żadnym pozorem nie wolno mi tego pokazać, kiedy matka Jona patrzy na mnie tym swoim oślepiającym niebieskim spojrzeniem. To ja sam decydowałem, kiedy ma boleć i czy ma to być widać, czy nie, wcisnąłem więc ból głęboko w ciało, by usunąć go z mojej twarzy, i uniesionymi rękami kręciłem kołowrotkiem, a drut się rozwijał, dopóki nie dotarłem do końca łąki, tam, na niskiej, świeżo ściętej trawie położyłem kołowrotek z napiętym drutem najspokojniej, jak umiałem, i równie spokojnie wyprostowałem się, wsunąłem ręce w kieszenie i opuściłem ramiona. Miałem wrażenie, że w kark wbijają mi się noże, gdy wolno podchodziłem do innych. Kiedy mijałem ojca, jakby od niechcenia podniósł rękę, pogładził mnie po plecach i powiedział cicho:

– Dobrze poszło.

I to wystarczyło. Ból zniknął, a ja byłem już gotowy do następnego zadania.

Barkald uporał się z pierwszą częścią łąki i skosił już pierwszy pas z następnej, stał teraz koło konia i palił, czekając, aż my zrobimy resztę. To on był szefem, a według mojego ojca należał do typu, który najlepiej pracuje na siedząco, a odpoczywa na stojąco, pod warunkiem że to nie trwa zbyt długo, bo wtedy znów musi usiąść. Jeśli w ogóle ma po czym odpoczywać. Nie byłem tego taki pewien. Powożenie tym koniem nie mogło być zbyt męczące. Koń robił to już tyle razy wcześniej, że umiał poruszać się na ślepo, nudził się i chciał iść dalej, ale teraz mu nie pozwolono, bo Barkald był systematyczny i nie zamierzał skosić całej łąki naraz. Najpierw jedno, potem drugie, chociaż słońce świeciło na bezchmurnym niebie, obiecując, że to się nie zmieni. Dzień zaszedł już tak daleko, że czuliśmy, jak koszule robią się na plecach mokre od potu, i za każdym razem, gdy podnosiliśmy coś ciężkiego, z czoła zaczynało nam płynąć. Promienie słońca padały prostopadle z południa, w całej dolinie prawie nie było cienia, rzeka wiła się, połyskując, słyszeliśmy, jak szumi na bystrzu pod mostem koło sklepu. Podniosłem naręczę pali i

zaczęłam je rozkładać w odpowiednich odstępach wzdłuż drutu, potem z pustymi rękami wróciłem po kolejne, a mój ojciec wraz z jednym z mężczyzn ze wsi odmierzała odległość i wielkim szpikulcem robili dołki co dwa metry wzdłuż linii, raz po jednej, raz po drugiej stronie drutu, w sumie trzydzieści dwa, ojciec teraz był już w samym podkoszulku bez rękawów, odcinającym się białą od ciemnych włosów i opalonej twarzy, jasne białe ramiona, wielki szpikulec unoszony w górę, a potem ciężko opuszczany w dół, ze ssaniem zagłębiający się w wilgotną ziemię, mój ojciec jak maszyna, mój ojciec szczęśliwy, a matka Jona szła za nimi i umieszczała pale w dołkach wzdłuż całej linii aż do punktu, gdzie leżał kołowrotek z nawiniętym drutem i gdzie miał zostać wbity kolejny kołek, żeby napiąć drut, a ja nie potrafiłem na nich nie patrzeć.

Raz matka Jona zatrzymała się, odłożyła pal na trawę, odeszła kilka kroków na bok i stanęła odwrócona do nas plecami, wpatrzona w rzekę, jej ramiona drżały. Mój ojciec wyprostował się wtedy i odpoczywał, czekając z rękami zaciśniętymi na szpikulcu, w końcu ona odwróciła jasną, moką twarz, ojciec uśmiechnął się, skinął jej głową, aż włosy opadły mu na czoło, i znów podniósł szpikulec, matka Jona uśmiechnęła się z powagą, podeszła, sięgnęła po pal i wbiła go w dołek, podkręcając, żeby się trzymał. Pracowali dalej w takim samym rytmie jak przedtem.

Ani Jon, ani jego ojciec się nie zjawili, chociaż byłem pewien, że przyjdą, bo rok wcześniej byli z nami, ale może musieli zająć się własnymi sprawami albo po prostu nie mieli siły. To, że ona miała siłę, właściwie mnie dziwiło, ale przypatrzawszy się jej przez pewien czas, potem przestałem już o tym myśleć. Może mój ojciec poprosi wszystkich troje o pomoc przy ścinaniu drzew. To nie było wykluczone, bo ojciec Jona miał spore doświadczenie, lecz jednocześnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak to będzie, jeśli dalej nic się nie zmieni, skoro nie mogli na siebie patrzeć.

Kiedy wszystkie pale stały już w falującym rzędzie ciągnącym się przez łąkę, trzeba było na wysokości ud napiąć drut między nimi, robiąc pętlę raz od prawej, raz od lewej strony, tak by znalazł się idealnie pośrodku. Tę pracę wzięli na siebie dwaj mężczyźni z wioski, jeden wysoki, a drugi niski, co najwyraźniej stanowiło dobrą kombinację, bo robili to nie pierwszy raz, szybko i skutecznie, i w końcu drut, naprężony jak struna gitary aż do ostatniego pala, został przywiązany i umocowany do kołka białego przez Barkalda na przeciwległym końcu. My, pozostali, chwyciliśmy grabie, w odpowiednich odstępach rozstawiliśmy się w wachlarz i zaczęliśmy zgrabiać trawę ze wszystkich stron ku płotkowi; naraz jasne się stało, dlaczego styliska są takie długie. Dzięki nim nasze ruchy miały taki duży promień, że pokrywaliśmy cały skoszony pas, nawet źdźbło nie zostawało, ale grabie,

przesuwające się w rękach tysięcy razy, niszczyły dłonie, musieliśmy więc włożyć rękawiczki, żeby uniknąć odcisków, odparzeń i pęcherzy już po godzinie. Zaczęliśmy zarzucać trawę na pierwszy drut, jedni przy użyciu wideł, z zachowaniem równowagi i wielką precyzją, inni posługując się rękami, tak jak mój ojciec i ja, nieposiadający takiej wprawy. Ale tak też było dobrze, nasze nagie ramiona powoli zaczęły się zielenić od wewnątrz, drut się zappełnił, rozpięliśmy więc nowy i ten też wkrótce był pełny, a po nim jeszcze jeden, aż w końcu zappełniliśmy pięć drutów jeden nad drugim, a górna, nieco cieńsza warstwa trawy zwisała po obu stronach niczym skośny daszek, by podczas deszczu woda po prostu z niej spływała. Płotek mógł tak stać całymi miesiącami, a sianu pod osłoną wierzchnich źdźbeł nic by to nie zaszkodziło. Według Barkalda, ten sposób był niemal równie dobry jak przechowywanie siana w suchej stodole, jeśli oczywiście wszystko zrobiło się prawidłowo, a o ile ja mogłem się zorientować, tu nigdzie nie popełniono błędu. Płotek z sianem wyglądał tak, jakby stał tam od zawsze, przecinając oświetlony słońcem krajobraz, z długim cieniem ciągnącym się za nim, wędrował śladem każdego wzniesienia na łące i w końcu zmienił się tylko w kształt, praformę, chociaż wtedy nie miałem tego słowa w głowie, i radość sprawiało mi już samo patrzeć na niego. Czuję tak i dzisiaj na widok płotka z sianem na zdjęciu w jakiejś książce, ale taki obraz już należy do przeszłości. W tej części kraju nikt już nie zbiera siana w ten sposób; dzisiaj wystarczy jeden człowiek na traktorze, suszenie na ziemi, przewracarka, maszyna belująca i plastikowobiałe okrągłe paczki z cuchnącą kiszonką. Radość więc zmienia się w poczucie minionego czasu, w bardzo odległe wspomnienia i w nagłą świadomość, że jest się starym.

Nie poznałem go na początku, gdy się kilka razy widzieliśmy, ledwie mówiłem mu dzień dobry, przechodząc z Lyrą, bo moje myśli nie szły tym torem. Dlaczego zresztą miałbym zaprzętać sobie nim głowę, kiedy on stał przy swojej chacie i układał drewno w sągi pod okapem, a ja mijałem go, idąc drogą i myśląc o zupełnie innych sprawach. Nawet gdy podał mi swoje nazwisko, niczego sobie nie uświadomiłem. Ale dziś w nocy, kiedy wróciłem do domu i się położyłem, zacząłem się zastanawiać. Było coś w tym mężczyźnie i w jego twarzy, co dostrzegłem w migotliwym świetle latarek. I teraz nagle nabrałem pewności. Lars to Lars, chociaż gdy go widziałem ostatnio, miał dziesięć lat, a teraz przekroczył już sześćdziesiątkę; gdybym coś takiego znalazł w powieści, tylko bym się zirytował. Sporo przecież czytałem, zwłaszcza w ostatnich latach, ale i wcześniej, oczywiście, i rozmyślałem o tym, co przeczytałem, a takie zbiegi okoliczności w literaturze pięknej, w każdym razie we współczesnych powieściach, sprawiają wrażenie sztucznych i trudno mi w nie uwierzyć. Może podobna historia przeszłaby u Dickensa, ale Dickens to przecież długa ballada o świecie, którego już nie ma, w której pod koniec wszystko musi się zgodzić jak w równaniu, zachwiana raz równowaga musi się wyprostować, aby bogowie mogli się uśmiechnąć. Może to stanowić pociechę albo protest przeciwko światu, który wypadł z zawiasów, ale tak już nie jest, mój świat już nie jest taki, nigdy zresztą nie miałem zbyt dobrego mniemania o ludziach przekonanych, że naszym życiem steruje przeznaczenie. Tylko narzekają, umywają ręce i domagają się współczucia. Moim zdaniem, sami tworzymy nasze życie, ja w każdym razie sam je sobie stworzyłem, na tyle, na ile jest ono tego warte, i biorę za to pełną odpowiedzialność. Ale ze wszystkich miejsc, do których mogłem się przeprowadzić, musiałem trafić właśnie tutaj.

Nie żeby ten fakt coś zmieniał. Nie zmienia moich planów wobec tego domu, nie zmienia poczucia, że mieszkam tutaj, wszystko jest jak przedtem, ponadto jestem pewien, że on mnie nie rozpoznał, i zamierzam tak to utrzymać. Ale to jest oczywiste. I jakieś znaczenie jednak ma.

Mój plan związany z tym miejscem jest całkiem prosty. Ma to być ostatnie miejsce, w którym będę mieszkać. Jak długo to potrwa, nie zamierzam się zastanawiać. Trzeba mierzyć się z każdym dniem po kolei, najważniejsza teraz jest odpowiedź na pytanie, w jaki sposób zdołam przetrwać zimę, jeśli spadnie dużo śniegu. Droga do chaty Larsa to dwieście metrów, a do szosy jeszcze kolejnych pięćdziesiąt. Z takim kręgosłupem jak mój niemożliwe jest odśnieżenie tego odcinka ręcznie. Pewnie nie byłbym w stanie zrobić tego nawet ze zdrowym kręgosłupem. Nie miałbym już czasu na nic innego.

Ważne jest odśnieżanie i ważny jest dobry akumulator w samochodzie, jeśli chwyci duży mróz. Do centrum wsi ze sklepem spółdzielni jest sześć kilometrów. Ważny jest też odpowiedni zapas drewna na opał. W domu są dwa grzejniki panelowe, ale już stare i pewnie zużywają więcej prądu, niż dają ciepła. Mógłbym kupić ze dwa nowoczesne kaloryfery olejowe na kółkach, takie, które można włączyć wprost do gniazdka i ciągać po podłodze według potrzeby, ale uznałem, że ciepło muszę zapewnić sobie sam. Na szczęście, gdy tu przyjechałem, w szopie leżał wielki stos starych brzożowych polan, ale to absolutnie nie wystarczy, w dodatku drewno jest takie suche, że szybko się spala, więc kilka dni temu ściałem niedawno kupioną piłą spalinową martwy świerk i teraz zamierzam pociąć go na klocki, które porąbię na odpowiedniej wielkości polana i ułożę na tym starym drewnie, zanim będzie za późno. Brzozy już i tak dużo zużyłem.

Piła spalinowa to Jonsered. Nie dlatego, bym uważał Jonsered za najlepszą markę, ale tutejsi mieszkańcy używają wyłącznie jonseredów, a człowiek w warsztacie we wsi, od którego ją kupiłem, powiedział, że niczego innego się nie tykają, jeśli zgłoszę się z zepsutym łańcuchem i będę chciał, żeby go naprawili. Piła nie jest nowa, ale niedawno konserwowana i ma całkiem nowy łańcuch, a ten człowiek sprawiał wrażenie bardzo zdecydowanego. Tak więc tutaj rządzi Jonsered. I Volvo. Nigdy w życiu nie widziałem tylu volvo w jednym miejscu, od najnowszych luksusowych modeli po stare amazony, więcej tych ostatnich niż pierwszych, pv też zauważyłem, przed pocztą, w 1999 roku. To powinno mi coś powiedzieć o tym miejscu, ale nie jestem pewien co, oprócz tego, że stąd niedaleko do Szwecji po tańsze części. Może tak po prostu jest.

Wsiadam do samochodu, jadę drogą w dół na drugą stronę rzeki, mijam chatę Larsa i lasem docieram na szosę, przez cały czas widząc jezioro mrugające z prawej strony między drzewami aż do chwili, gdy nagle zostawiam je za sobą, potem jeszcze pokonuję otwartą równinę z żółtymi ścierniskami pól po obu stronach. Nad polami krążą wielkie stada wron. W świetle słońca są bezdźwięczne. Na drugim końcu równiny leży tartak nad rzeką, większą niż

ta, którą widzę z mojego domu, ale ta też wpływa do tego samego jeziora. Kiedyś splawiano nią drewno, dlatego tartak stoi w tym właśnie miejscu, ale to już dawne czasy, teraz tartak mógłby znajdować się wszędzie, bo cały transport drewna odbywa się dzisiaj drogami, a spotkanie z jednym z tych ciężko załadowanych samochodów z przyczepą na zakręcie wąskiej wiejskiej drogi to nie żart. Oni jeżdżą jak Grecy i zamiast hamulców używają klaksonu. Zaledwie kilka tygodni temu musiałem zjechać do rowu, olbrzymi pociąg drogowy minął mnie z hukiem, zajmując spory kawał mojego pasa, więc po prostu skręciłem i chyba na moment przymknąłem oczy, bo myślałem, że już umieram, a to tylko szkiełko prawego kierunkowskazu stukło się o pieniek. Ale długo siedziałem z czołem wciśniętym w kierownicę. Właśnie zrobiło się ciemno, silnik zgasł, lecz światła się paliły, a kiedy uniosłem głowę z kierownicy, w świetle reflektorów zobaczyłem przechodzącego przez drogę rysia, zaledwie piętnaście metrów od samochodu. Nigdy wcześniej nie widziałem rysia, ale nie miałem wątpliwości, co widzę. Wieczór dookoła był cichy, a ryś nie obejrzał się ani w lewo, ani w prawo. Po prostu przeszedł. Miętko, oszczędnie, świadom tylko siebie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak mocno czułem, że żyję, jak wówczas, gdy wyprowadziłem samochód z powrotem na drogę i pojechałem dalej. Wszystko, co było mną, napięło się i drżało tuż pod skórą.

Następnego dnia opowiedziałem o rysiu w sklepie. To był na pewno pies, stwierdzili. Nikt mi nie uwierzył. Nikt, z kim rozmawiałem tego dnia, nigdy nie widział rysia, więc dlaczego ja, mieszkający tu od niespełna miesiąca, miałbym zostać pobłogosławiony czymś takim? Gdybym był jednym z nich, być może myślałbym tak samo, ale ja widziałem to, co widziałem, i obraz wielkiego kota wciąż noszę gdzieś w sobie, potrafię go wywołać, kiedy zechcę, i mam nadzieję, że pewnego dnia, albo równie dobrze w nocy, znów go zobaczę. Byłoby przyjemnie.

Parkuję przed stacją Statoil. Chodzi mi o ten kierunkowskaz. Wciąż jeszcze nie udało mi się założyć nowej osłony ani nawet zmienić żarówki, i jeżdżę bez niego. Ale wieczorami zaczyna się na to robić trochę za ciemno, w dodatku nie wolno jeździć bez kierunkowskazu. Wchodzę więc na stację i rozmawiam z mężczyzną w warsztacie. On wygląda przez okienko w opuszczanych drzwiach i mówi, że żarówkę wymieni od razu, a szklaną osłonę zamówi na szrocie.

– Nie ma sensu wydawać pieniędzy na nową część do starego samochodu – stwierdza. I pewnie ma rację, samochód to dziesięcioletni nissan combi. Mógłbym pewnie kupić nowsze auto, mam na to pieniądze, ale wraz z kupnem domu nadszarpnęłoby to moje zasoby na tyle, że zagłosowałem przeciw. Właściwie planowałem coś z napędem na cztery koła, to by tutaj

pasowało, lecz doszedłem do wniosku, że napęd na cztery koła to trochę oszustwo, a trochę nuworyszostwo, więc stanęło na tym samochodzie, z tylnym napędem, jak we wszystkich innych, którymi jeździłem. Już byłem u tego mechanika z kilkoma problemami, między innymi z zużytym alternatorem, a on za każdym razem powtarza to samo i zamawia części na tym samym szrocie. Kosztują zaledwie ułamek tego, co nowe, i moim zdaniem dodatkowo on jeszcze za mało bierze. Ale pracując, pogwizduje i radio w warsztacie ma nastawione na „Zawsze wiadomości”, więc jego polityka cenowa jest najwyraźniej w pełni świadoma. Jest tak życzliwy i otwarty, że wprawia mnie w zakłopotanie. Spodziewałem się, prawdę mówiąc, pewnego oporu, szczególnie że nie jeżdżę volvo. Może on też jest przyjezdny.

Zostawiam samochód przy stacji benzynowej, mijam kościół i przechodzę przez skrzyżowanie do sklepu. To nie jest tutaj normalne. Zauważyłem, że wszyscy wsiadają do samochodów i jadą, bez względu na to, dokąd się wybierają i jak to daleko. Od spółdzielni dzieli mnie sto metrów, ale jestem jedyną osobą, która idzie wzdłuż parkingu. Czuję się wyeksponowany i cieszę się, kiedy wreszcie znajduję się za drzwiami.

Witam się z ludźmi w sklepie, już się tu do mnie przyzwyczaili i zrozumieli, że pojawiłem się, by tutaj zostać, że nie zaliczam się do gromady właścicieli domków letniskowych, którzy każdego lata i na Wielkanoc przyjeżdżają wielkimi samochodami, żeby łowić ryby w ciągu dnia, a wieczorami grać w pokera i popijać whisky z wodą sodową. Trochę czasu minęło, nim w końcu zaczęli mnie wypytywać, nieśmiało, w kolejce do kasy, i teraz wszyscy już wiedzą, kim jestem i gdzie mieszkam. Wiedzą, gdzie pracowałem, ile mam lat, wiedzą, że moja żona zginęła trzy lata temu w wypadku, który sam ledwie przeżyłem, że nie była moją pierwszą żoną i że mam dwoje dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa, a one z kolei mają własne dzieci. O wszystkich takich sprawach pozwoliłem im się dowiedzieć, tak samo jak o tym, że kiedy moja żona umarła, to nic mi się już nie chciało, przeszedłem na emeryturę i zacząłem się rozglądać za jakimś zupełnie nowym miejscem, i że gdy znalazłem ten dom, w którym teraz mieszkam, byłem bardzo zadowolony. To im się spodobało, chociaż wszyscy powtarzają, że gdybym spytał kogokolwiek miejscowego, to każdy by mi powiedział, w jakim stanie jest dom, i że wiele osób miało na niego ochotę ze względu na takie ładne położenie, ale nikt nie miał siły na tyle roboty niezbędnej, by doprowadzić go do stanu pozwalającego na zamieszkanie. Dobrze, że o tym nie wiedziałem, odpowiadam, inaczej bym go nie kupił i nie przekonał się, że jednak da się tam mieszkać, jeśli nie stawia się od razu zbyt wysokich wymagań, tylko robi wszystko pomału. Mnie to odpowiada, mówię, mam czas, nigdzie się nie wybieram.

Ludzie lubią, kiedy coś im opowiadasz, w odpowiednich dawkach, oszczędnie,

poufałym tonem, i wydaje im się, że cię znają, ale tak nie jest, owszem, wiedzą coś o tobie, bo poznają fakty, ale nie znają uczuć, żadnych twoich opinii, nie mają pojęcia, w jaki sposób to, co ci się przydarzyło, i to, na co się zdecydowałaś, uczyniło cię tym, kim jesteś. Wypełniają twoją opowieść własnymi uczuciami, opiniami i przypuszczeniami, komponują nowe życie, które ma bardzo mało wspólnego z twoim, a tym samym jesteś bezpieczny. Nikt cię nie dotknie, jeśli sam tego nie zechcesz. Wystarczy być uprzejmym, uśmiechać się i unikać paranoicznych pomysłów, bo oni i tak będą o tobie rozmawiać bez względu na to, jakiego wybryku się dopuścisz, tego nie da się uniknąć, sam też byś tak robił.

Niewiele przyszedłem kupić, tylko chleb i coś do chleba, takie zakupy nie zabierają dużo czasu. Zdziwiał mnie, jak puste zrobiły się moje koszyki, od kiedy jestem sam, mam takie małe potrzeby. Płacę w nagłym przyływie bezsensownego smutku i czuję wbite we mnie oczy kobiety przy kasie, kiedy szukam pieniędzy, wdowiec, ona tak właśnie to widzi; oni nic nie rozumieją, może to i dobrze.

– Bardzo proszę – mówi kasjerka jedwabście miękko i cicho, wydając mi resztę, a ja odpowiadam:

– Bardzo dziękuję.

I jestem, do cholery, bliski płaczu, prędko więc wychodzę z zakupami w torbie i wracam na stację benzynową. Myślę sobie, że mam szczęście. Oni nic nie rozumieją.

Zmienił mi żarówkę w kierunkowskazie. Kładę torbę na siedzeniu pasażera i między pompami przechodzę do sklepu. Za ladą stoi jego żona, uśmiecha się.

– Witam – mówi.

– Dzień dobry – odpowiadam. – Chciałem zapłacić za tę żarówkę. Ile kosztuje?

– Drobiazg. To może zaczekać. Ma pan ochotę na filiżankę kawy? Olav zrobił sobie pięć minut przerwy. – Kciukiem wskazuje na otwarte drzwi do pomieszczenia za sklepem. Trudno odmówić. Dość niepewnie podchodzę do drzwi i zaglądam do środka. Mechanik, który ma na imię Olav, siedzi na krześle przed ekranem komputera pełnym długich szeregów świecących liczb. O ile dobrze widzę, żadna z nich nie jest czerwona. W jednej ręce trzyma filiżankę parującej kawy, a w drugiej batonik Kvikk Lunsj. Jest z pewnością młodszy ode mnie o dwadzieścia lat, ale już dawno przestała mnie zaskakiwać świadomość, że całkiem dorośli mężczyźni są dużo młodszy ode mnie.

– Proszę usiąść, odpocząć trochę – mówi i nalewa kawy do plastikowego kubka, stawia go na stole przy wolnym krześle, zaprasza gestem i ciężko się opiera, siadając wygodniej. Jeśli wstaje tak wcześnie jak ja, a wydaje mi się, że tak może być, to pracuje już

długo i z pewnością jest zmęczony. Siadam.

– No i jak tam się wiedzie na Wierzchołku? – pyta. – Już się pan tam odnalazł?

Moja działka nazywa się Wierzchołek, ponieważ roztacza się z niej widok na jezioro.

– Sam byłem tam dwa razy – mówi mechanik. – Na prezentacji. Zastanawiałem się, czy nie złożyć oferty. To dobre miejsce do naprawiania samochodów, ale dom wymagał tyle pracy, że zrezygnowałem. Lubię robotę przy śrubkach, nie przy drewnie. Ale może z panem jest odwrotnie?

Obaj patrzymy na moje dłonie, nie wyglądają na ręce rzemieślnika.

– Nie bardzo – odpowiadam. – Ani w jednym, ani w drugim nie jestem zbyt dobry, ale jeśli nie będę się spieszył, to doprowadzę ten dom do porządku. Możliwe, że z czasem będę potrzebował jakiejś pomocy.

Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale zawsze robię tak: za każdym razem, gdy mam wykonać jakąś praktyczną czynność, wykraczającą poza codzienną konieczność, zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak zrobiłby to mój ojciec albo jak naprawdę to robił, jeśli to widziałem, a potem go naśladowuję, dopóki nie wpadnę we właściwy rytm i nie objawi mi się sposób wykonania. Postępowałem tak, odkąd pamiętam, jak gdyby tajemnica tkwiła w ustawieniu ciała, w pewnej wyjściowej równowadze, trochę tak jak w trafieniu w belkę przy skoku w dal i w spokojnym obliczeniu na moment wcześniej, jak dużo czy jak mało jeszcze trzeba, no i w wewnętrznej mechanice, którą zawiera każda czynność, najpierw jedna rzecz, potem druga, w kontekście, który tkwi w każdej pracy, to trochę tak, jak gdyby praca już istniała w postaci gotowej formy, a ciało swoimi ruchami musiało odciągnąć na bok zasłonę, aby wszystko mogło zostać odczytane przez tego, kto to ogląda. Tym, który ogląda, jestem ja, a ten, którego sobie wyobrażam i którego ruchy odczytuję, to niespełna czterdziestoletni mężczyzna, jakim był mój ojciec, gdy ja, mając piętnaście lat, widziałem go po raz ostatni i kiedy zniknął z mojego życia na zawsze. Dla mnie nigdy nie stał się starszy.

Akurat to jest dość trudne do wyjaśnienia życzliwemu mechanikowi, mówię więc jedynie:

– Miałem ojca obdarzonego dużymi zdolnościami technicznymi. Wiele się od niego nauczyłem.

– Ojcowie są fajni – odpowiada. – Mój był nauczycielem. W Oslo. Nauczyłem się od niego czytać książki, poza tym niewiele. Technicznych zdolności nie miał, tego nie można o nim powiedzieć. Ale był dobrym człowiekiem. Zawsze mogliśmy ze sobą porozmawiać. Umarł dwa tygodnie temu.

– Nie wiedziałem – mówię. – Przykro mi.

– Skąd mógł pan wiedzieć? Długo chorował. Pewnie dobrze, że to się już skończyło. Ale brak mi go, i tyle.

Siedzi nieruchomo, a ja widzę, że tęskni za swoim ojcem, całkiem po prostu i zwyczajnie. Chciałbym, żeby to było takie proste, żeby zatęsknić za ojcem i koniec.

Wstaję.

– No, pójdę już – mówię. – Muszę coś zrobić w domu, nie mogę się poddawać. Niedługo zima.

– Pewnie – odpowiada z uśmiechem mechanik. – Proszę dać znać, jeśli będzie pan czegoś potrzebować. Jesteśmy tutaj.

– Rzeczywiście chciałem o coś spytać. Chodzi mi o drogę do mojego domu, jest dosyć długa. Kiedy spadnie śnieg, trudno mi będzie odśnieżać ją ręcznie. A traktora nie mam.

– Jasne. Może pan zadzwonić do niego. – Mechanik Olav na żółtej samoprzylepnej karteczce zapisuje nazwisko i numer. – To pana najbliższy sąsiad z traktorem. Odśnieża własną drogę, to może odśnieżyć i pańską. Ma gospodarstwo, więc rano nigdzie nie jeździ, tylko drogą w dół i w górę. Przypuszczam, że się zgodzi, ale pewnie coś będzie chciał za fatygę, może z pięćdziesiąt koron za każdy raz.

– To rozsądna cena, chętnie zapłacę. Bardzo dziękuję za pomoc i za kawę.

W sklepie płacę jeszcze za żarówkę, żona mechanika uśmiecha się i życzy mi wszystkiego dobrego, a ja wychodzę, wsiadam do samochodu i jadę do domu. Żółta karteczka przyklejona do portfela sprawiła, że najbliższa przyszłość wydaje mi się znacznie mniej skomplikowana. Czuję się dobrze, wręcz lekko, i dziwię się: nic więcej nie było trzeba? Teraz zima może już sobie przychodzić.

Wróciwszy do Wierzchołka, parkuję samochód przed moim podwórzowym drzewem, prastarą, niemal zupełnie dziurawą brzozą, która wywróci się, jeśli wkrótce czegoś z nią nie zrobię, zanoszę do kuchni torbę z zakupami, nalewam wody na kawę i włączam ekspres. Potem przynoszę z szopy piłę, mały okrągły pilnik i parę słuchawek, które dostałem jako dodatek do piły. Z garażu biorę benzynę i olej, wszystko to stawiam na płycie przed drzwiami w słońcu, które nawet teraz, kiedy stoi najwyżej, daje zaledwie odrobinę ciepła, a potem znów wracam do domu, wydaję termos i stoję przy blacie, czekając, aż ekspres zakończy pracę. Napełniam termos parującą kawą, przebieram się w ciepłe robocze ubranie, znów wychodzę, siadam na schodku i zaczynam pilnikiem ostrzyć piłę tak wolno i systematycznie, jak potrafię, aż wreszcie ostrze każdego zębka w łańcuchu łśni. Nie wiem, gdzie się tego nauczyłem. Prawdopodobnie widziałem to na filmie, na jakimś dokumencie o wielkich lasach albo na filmie fabularnym, który rozgrywa się wśród drwali. Oglądając filmy, można się wiele

nauczyć, jeśli ma się dobrą pamięć, można zobaczyć, jak ludzie robią różne rzeczy i jak zawsze je robili, ale we współczesnych filmach praca nie zajmuje zbyt wiele miejsca, są tylko idee. Kiepskie idee i coś, co nazywają humorem, wszystko teraz musi być zabawne. A ja nienawidzę rozrywki, nie mam na to czasu.

W każdym razie nie nauczyłem się ostrzyć piły łańcuchowej od ojca, nie widziałem, jak on to robi, i nie mogę go naśladować, bez względu na to, jak długo grzebię w pamięci. W roku 1948 jednoosobowa piła spalinowa nie dotarła jeszcze do norweskich lasów, wtedy istniały tylko ciężkie maszyny, do których przeniesienia potrzeba było pięciu ludzi albo konia, i nikogo nie było na nie stać. Kiedy więc mój ojciec tamtego lata dawno temu postanowił wyciąć las należący do letniej zagrody, zrobiono to tak, jak zawsze się to robiło w tych okolicach: kilku mężczyzn śmigających ręcznymi piłami i wywijających siekierami do ogałężania, zupełnie czyste powietrze, którym się oddychało, doświadczony koń i ciąганie drewna na brzeg rzeki, układanie go w sągi, by czekało i schło, znak właściciela wyryty na każdym balu, a gdy wszystkie drzewa przeznaczone do wycinki leżały w sągach okorowane najstaranniej, jak się dało, dwaj mężczyźni z bosakami przetaczali bale i zaciągali je do wody, echem niosły się okrzyki pożegnania słane nad rzekę, zawierające słowa tak stare, że nikt już nie pamiętał, co znaczą, płaski plusk i powolny ruch kłody, dopóki nie nabrała szybkości porwana prądem, i miłej podróży!

Wstaję z kamiennego schodka z naostrzoną piłą w ręku, kładę ją na boku, odkręcam dwie pokrywki, uzupełniam benzynę i dolewam oleju, a potem starannie zamykam zbiorniki z powrotem. Gwiżdżę na Lyrę, która natychmiast przybiega, przerwawszy jakieś poważne wykopaliska za domem, i z termosem pod pachą idę na skraj lasu, tam, gdzie w mchu leży uschnięty świerk, długi, ciężki i prawie biały, bez śladu kory, która wcześniej okrywała cały pień. Po dwóch szybkich próbach udaje mi się uruchomić piłę, reguluję naciąg i pozwalam łańcuchowi przez chwilę obracać się w powietrzu, w lesie rozlega się wizg, wkładam więc słuchawki i zatapiam piłę w drewnie. Trociny sypią się na spodnie, całe ciało mi drży.

Zapach świeżo ściętego drzewa. Rozchodził się od drogi do rzeki, wypełniał powietrze, unosił się nad wodą i wdzierał wszędzie, oszalałając mnie i powodując zawroty głowy. Byłem w samym środku. Pachniałem żywicą, pachniało nią moje ubranie i pachniały włosy, skóra pachniała żywicą, kiedy leżałem w łóżku i kiedy spałem w nocy. Zasypiałem z tym zapachem i budziłem się z nim, czułem go przez cały dzień. Byłem lasem. Biegałem z siekierą, brodząc po kolana w świerkowych gałęziach i ścinałem je tak, jak pokazał mi ojciec, tuż przy pniu, żeby nic nie wystawało i nie zawadzało ośnikowi ani nie zaczepiało się i nie zraniło w stopy kogoś, kto być może będzie musiał biegać po balach, gdy splawiane drewno splącze się i spiętrzy na rzece. Wywijiałem siekierą na prawo i lewo, porwany rytmem. To była ciężka praca, jakby wszystko z każdej strony stawiało mi opór, nic nie ustępowało samo z siebie, ale mnie to nie przeszkadzało, byłem zmęczony, nie czując zmęczenia, i nie ustawałem. Inni musieli mnie powstrzymywać, łapali mnie za ramiona albo popychali na pień, żebym usiadł i chwilę odpoczął, ale ja brudziłem tylko tyłek żywicą, w nogach mnie swędziało, podrywałem się więc z pniaka z szorstkim odgłosem i chwytalem za siekierę. Słońce świeciło, a mój ojciec się śmiał. Zachowywałem się jak pijany.

Był z nami ojciec Jona, a czasami też jego matka, jej całkiem jasne włosy odcinały się od ciemnozielonych iglastych gałęzi, kiedy szła z łodzi z jedzeniem w koszyku, a także mężczyzna o imieniu Franz, przez „z”. Miał potężne przedramiona z gwiazdą wytatuowaną na samym dole lewego, mieszkał w niedużym domku tuż przy moście i codziennie przez cały rok patrzył, jak rzeka płynie, wiedział wszystko, co można wiedzieć o tym, co się dzieje na wodzie. No i był też mój ojciec i ja, i Bruna. Jon się nie zjawił, powiedzieli, że kilka dni po pogrzebie pojechał do Innbyгда autobusem, ale co miał tam robić, nie mówili, a ja nie pytałem, zastanawiałem się jedynie, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

Zaczynaliśmy rano tuż po siódmej i pracowaliśmy do wieczora, padaliśmy na łóżka, spaliśmy jak zabici, dopóki nie zbudziło nas światło, i zaczynaliśmy od nowa. Przez jakiś czas wyglądało na to, że drzewa nigdy się nie skończą, bo można iść ścieżką i myśleć, że to, co cię

otacza, to przyjemny lassek, ale kiedy każdy świerk trzeba ściąć ręczną piłą i zaczynasz liczyć, to szybko można stracić odwagę i zacząć myśleć, że to się nigdy nie skończy. Ale kiedy już się do tego zabierzesz na dobre i wszyscy wpadną we właściwy rytm, początek i koniec przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie, tam i wtedy się nie liczą, ważne jest jedynie, aby wszystko połączyło się w jeden własny puls, który tętni sam z siebie, masz przerwę we właściwym czasie i znów pracujesz, jesz tyle, ile trzeba, ale nigdy za dużo, i pijesz tyle, ile trzeba, ale nigdy za dużo, i dobrze śpisz, gdy przyjdzie na to czas, w nocy osiem godzin i przynajmniej jedną godzinę w dzień.

Ja spałem w ciągu dnia i mój ojciec spał, ojciec Jona i Franz spali, tylko matka Jona nie spała. Kiedy przychodziła pora naszej przerwy, kładliśmy się we wrzosie każdy pod swoim drzewem i zamykaliśmy oczy, a ona szła do łodzi, wiosłowała do domu, do Larsa, żeby się nim zająć, a kiedy się budziliśmy, z reguły już była z powrotem albo słyszeliśmy odgłosy wiosel na rzece i wiedzieliśmy, że już płynie. Często przywoziła ze sobą potrzebne nam rzeczy, jakieś narzędzia albo kolejną porcję jedzenia w koszyku, coś, co upiekła, i co sprawiało radość nam wszystkim; nie pojmowałem, skąd bierze siły, bo przecież pracowała równie ciężko jak mężczyzna. I za każdym razem, kiedy nadchodziła, widziałem, że mój ojciec leży z półprzymkniętymi oczami i zerka na nią, sam też to robiłem, nie mogłem się powstrzymać, a ponieważ my na nią zerkaliśmy, patrzył na nią również ojciec Jona, ale w inny sposób, niż zauważyłem u niego wcześniej, i chyba nic w tym dziwnego. Nie wydaje mi się jednak, byśmy widzieli to samo, bo to, co on widział, wprawiało go w zakłopotanie i najwyraźniej w zdziwienie. To, co ja widziałem, wzbudzało we mnie ochotę, żeby ściąć najwyższy świerk, patrzeć, jak się przechyla, jak pada z szumem i hukiem niosącym się echem przez dolinę, by ogałęzić go samodzielnie w rekordowym tempie, okorować samemu, nie robiąc przerwy, chociaż to była najcięższa robota, i zaciągnąć nad rzekę gołymi rękami, siłą własnego kręgosłupa, bez pomocy konia czy człowieka, wrzucić go do wody za sprawą tych mocy, które nagle w sobie czułem, a woda plusnęłaby na wysokość dachu kamienicy w Oslo.

O tym, co myślał mój ojciec, nie wiedziałem nic, lecz i on bardziej się wyęczał, gdy matka Jona była w pobliżu, a była często, w miarę upływu dni obaj więc zaczęliśmy odczuwać porządne zmęczenie. On jednak żartował i śmiał się, wobec tego ja go naśladowałem. Obaj mieliśmy świetne humory, nie bardzo wiedząc dlaczego, a przynajmniej ja nie wiedziałem, Franz też miał dobry humor, naprężył mięśnie i wywijając siekierą, grzmiącym głosem sypał wokół siebie skrzydlatymi słowami, jednym za drugim, nawet wtedy, gdy raz zapomniał o ostrożności i ledwie zdążył uskoczyć spod walącego się drzewa,

którego gałąź strąciła mu czapkę z głowy. Wypuścił wtedy siekierę z dłoni, zaczął się kręcić z rękami rozłożonymi na boki jak tancerz i głośno się śmiejąc, zawołał:

– Zbratałem się z losem i z wyciągniętymi rękami przyjmuję to, co jest mi dane!

A ja wyobraziłem sobie, jak Franz stoi pod padającym świerkiem, ciężkim i nabrzmiałym odurzającymi sokami, i zatrzymuje go gołymi rękami, a z czerwonej gwiazdy na przedramieniu płynie żywa czerwona krew. Mój ojciec podrapał się we włosy i pokręcił głową, ale od uśmiechu nie mógł się powstrzymać.

– Twój ojciec ryzykuje – stwierdził Franz podczas jakiejś przerwy. Siedziałem na kamieniu nad rzeką, masowałem obolałe barki i patrzyłem na wodę, kiedy on nagle stanął obok mnie i powiedział: – Twój ojciec ryzykuje, skoro chce ścinać drzewa w środku lata i od razu spławiać je rzeką. Są pełne soków, pewnie zauważyłeś.

Zauważyłem, inaczej być nie mogło, bo przez to praca była cięższa, każdy bal ważył blisko dwa razy więcej, niż ważyłby o innej porze roku, i stara Bruna nie dawała rady pociągnąć na raz tyle, ile uciągnęłaby kiedy indziej.

– Drewno może zatonać. Poziom wody nie jest imponujący, no i jeszcze opada. Nic więcej nie powiem. Skoro on chce to robić teraz, to robimy. Mnie wszystko jedno. To twój ojciec jest szefem.

I faktycznie nim był. Właściwie wcześniej nie widziałem go w takiej sytuacji, z dorosłymi mężczyznami, kiedy razem należało wykonać jakąś pracę; rzeczywiście miał autorytet, nakazujący innym czekać na to, co powie, czego sobie życzy, a oni słuchali jego słów, jak gdyby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, chociaż sami zapewne wiedzieli lepiej i z całą pewnością mieli większe doświadczenie. Do tej pory nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś jeszcze może postrzegać go tak jak ja i to akceptować, że tu chodzi o coś innego, coś więcej niż tylko stosunki między ojcem i synem.

Nad rzeką sąg bali rósł coraz wyżej, aż w końcu nie byliśmy już w stanie dokładać nowych na górę i zaczęliśmy kolejny. Bruna schodziła z najwyższych części naszego lasu i skręcała na polanę przy rzece, gdzie pracowaliśmy, podzwaniały łańcuchy, słońce migotało w wodzie, klacz była ciemna, rozgrzana i pokryta wielkimi plamami potu, pachniała ostro, tak jak potrafi tylko koń i nic innego, co kiedykolwiek czułem w mieście. Uważałem ten zapach za przyjemny i kiedy Bruna po wysiłku stawała nieruchomo ze spuszczonego łbem, potrafiłem przyłożyć czoło do jej boku, czuć szorowanie sztywnej sierści o skórę i tylko go wdychać; Bruną nikt nie musiał kierować ani nawet jej prowadzić, bo już po paru turach dobrze

wiedziała, jak ma być. Ale ojciec Jona i tak z nią chodził, trzymając luźno lejce, a nad rzeką stał mój ojciec, gotowy, z bosakiem długim jak lanca na obrazku przedstawiającym turniej z czasów rycerskiej Anglii. Razem wciągali bale jak najwyżej, początkowo było to łatwe, potem zrobiło się trudne, a potem jeszcze trudniejsze, ale oni nie ustępowali i z czasem zaczęło być widać, że ze sobą rywalizują. Kiedy jeden powoli się poddawał i dochodził do wniosku, że już wyżej nie sięgną, drugi nie chciał dać za wygraną.

– Dalej! – wołał ojciec Jona.

Każdy wbijał hak w swój koniec bala i mój ojciec krzychał:

– Szarp!

– Ciągnij, do diabła! – odkrzykiwał ojciec Jona, ledwie panując nad głosem, a ja nagle zrozumiałem, że on rzuca wyzwanie autorytetowi mojego ojca, szarpali więc dalej, ciągnęli i przekręcali, aż pot z nich płynął, koszule powoli ciemniały na plecach, a na czole, szyi i ramionach występowały żyły, niebieskie i grube jak rzeki na mapie świata, Rio Grande, Brahmaputra, Jangcy. W końcu stało się to już zupełnie niemożliwe, wyżej wspiąć się nie mogli, nie miało to zresztą żadnego sensu, należało po prostu zacząć budować nową stertę, tak czy owak ostatnią, bo pracowaliśmy już od tygodnia i wreszcie widać było koniec wyrębu, a żółte i okorowane drewno, które ułożyliśmy wzdłuż brzegu, wyglądało według mnie tak imponująco, że wprost nie mieściło mi się w głowie, że brałem w tym udział. Ale oni się nie poddawali, chcieli dołożyć kolejny bal, potem jeszcze następny, a przynajmniej jeden z nich tego chciał, a to, kim był ten jeden, najwyraźniej się zmieniało. Wtaczali je po dwóch poprzecznych balach opartych o sąg, tak stromych, że powinni używać liny umocowanej gdzieś na górze, stać na szczycie, zarzucać na bal dwie pętle i podciągać, mniej więcej jak krążek linowy, żeby ciężar przy podnoszeniu zmniejszał się o połowę. Franz pokazał mi, jak powinni to robić. Ale oni tak nie chcieli, używali tylko bosaków po obu stronach bala, to, co robili, stało się teraz tak trudne, że zaczęło być niebezpieczne, bo brakowało oparcia dla stóp i prawie niemożliwe było wykonanie czegoś w jednym rytmie.

Właściwie miała być przerwa. Usłyszałem, jak Franz woła z udawaną rozpaczą w głosie:

– Kawy! Już! Bo umieram!

Krzychał gdzieś z góry przy samej drodze, ja stałem z obolałymi rękami i wpatrywałem się w dwóch dorosłych mężczyzn, którzy nie dawali za wygraną, głośno stękali w upale i nie chcieli zrezygnować, matka Jona również zeszła już drogą do łodzi, żeby popłynąć do Larsa, ale zatrzymała się, stanęła przy mnie i obserwowała.

Czułem, że tam stoi, rozgrzana i niebieska jak sprana sukienka, a ponieważ nie zeszła

prosto do łodzi jak zwykle, nie wsiadła do niej i nie włożyła wiosel w dulki, byłem pewien, że coś się stanie, że to jakiś znak, pomyślałem, że powinienem krzyknąć do ojca, poprosić, żeby przerwał to wariactwo, w które się uwikłał. Ale nie byłem do końca pewny, czy jemu się to spodoba, chociaż nierzadko słuchał moich opinii i brał je pod uwagę, jeśli proponowałem coś rozsądnego, a często tak bywało. Odwróciłem się i popatrzyłem na matkę Jona, która teraz nie miała nic wspólnego z Jonem, a może właśnie miała, lecz stała się dwiema różnymi osobami, byliśmy równego wzrostu i po tygodniach w palącym słońcu mieliśmy tak samo jasne włosy, ale jej twarz, jeszcze przed chwilą otwarta, niemal naga, teraz się zamknęła, jedynie oczy nabrały wyrazu rozmarzenia, jak gdyby była gdzieś indziej i nie patrzyła na to samo co ja, tylko na coś dalej, coś większego, o czym ja nie miałem pojęcia, lecz zrozumiałem, że ona również nie powie nic, by powstrzymać tych dwóch, że dla niej mogli posunąć się do końca i rozstrzygnąć raz na zawsze coś, o czym ja nie wiedziałem, i że być może właśnie tego chciała. To było trochę przerażające. Lecz zamiast pozwolić się odepchnąć, dałem się w to wciągnąć, no bo gdzie się miałem podziać? Sam nie miałem dokąd pójść, zrobiłem więc krok i stanąłem tuż przy niej, biodrem dotykając jej biodra. Wydaje mi się, że ona nawet tego nie zauważyła, ale ja poczułem niemal porażenie prądem, wyczuli to również tamci dwaj na stercie drewna, popatrzyli na nas z góry i na moment wypadli z ról, a wtedy ja zrobiłem coś, co zaskoczyło mnie samego. Objąłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie, jedyną osobą, z którą dotychczas tak zrobiłem, była moja matka. Ale to nie była moja matka. To była matka Jona, pachnąca słońcem i żywicą, zapewne tak jak ja, ale też i czymś jeszcze, od czego zakręciło mi się w głowie, podobnie jak las sprawiał, że kręciło mi się w głowie, i przywodził do płaczu. Nie chciałem, żeby ona była czyjąkolwiek matką, ani żywej osoby, ani martwej. A najdziwniejsze, że ona się nie odsunęła, tylko pozwoliła mojej ręce tak leżeć i lekko oparła się o mój bark, nie rozumiałem, czego ona chce, nie rozumiałem, czego sam chcę, ale objąłem ją jeszcze mocniej, śmiertelnie przerażony i szczęśliwy, być może stało się tak jedynie dlatego, że znalazłem się najbliżej z ramieniem, którego potrzebowała, albo dlatego, że byłem czyimś synem, i po raz pierwszy w życiu nie chciałem być czyimkolwiek synem. Nie chciałem być synem swojej matki, która została w Oslo, ani mężczyzny, który stał na stercie drewna i był tak zaskoczony tym, co widzi, że wyprostował się i o mało nie wypuścił bosaka z rąk, chociaż właśnie ciągnęli bal, i to wystarczyło. Ojciec Jona, który sprawiał wrażenie równie zaskoczonego, starał się utrzymać chwyt, ale mu się nie udało, bal obrócił się jak śmigło, trafił go w stopy i stoczył się krzywo przez brzeg, a ja usłyszałem, jak ojcu Jona noga pęka niczym sucha gałązka, zanim poleciał w przód z boku sterty i z hukiem wylądował na ziemi, uderzając w nią barkiem. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że nie zauważyłem, kiedy

się skończyło. Tylko patrzyłem. Mój ojciec stał sam na szczycie stosu, stracił równowagę, wymachiwał bosakiem trzymany w jednej ręce, za nim płynęła rzeka, a błękitne niebo niemal całkiem zbieleło z gorąca. Ojciec Jona leżał na ziemi i paskudnie stękał, a jego żona, którą jeszcze przed momentem obejmowałem tak twardo i miękko zarazem, obudziła się ze snu, w który zapadła, oderwała się ode mnie i podbiegła do sągu. Osunęła się na ziemię, pochyliła nad swoim mężem, położyła sobie jego głowę na kolanach, ale nic nie mówiła, tylko kręciła własną głowę, jak gdyby on po raz siedemset pięćdziesiąty okazał się niegrzecznym chłopcem, a ona się poddawała, w każdym razie tak to wyglądało z miejsca, w którym stałem. I po raz pierwszy poczułem przypływ goryczy wobec ojca za to, że zniszczył najbardziej idealny moment w moim dotychczasowym życiu, nagle ta gorycz wypełniła mnie całego, na granicy wściekłości, ręce zaczęły mi się trząść i zrobiło mi się zimno w samym środku letniego dnia, nie pamiętam nawet, czy było mi żal ojca Jona, którego wyraźnie bolała złamana noga i bark. Nagle zaczął wyc, dorosły mężczyzna zanosił się bezradnym wyciem, ponieważ go bolało, a z pewnością również dlatego, że tak niedawno stracił jednego z synów, drugi syn wyjechał, może na zawsze, skąd mógł to wiedzieć, a teraz jeszcze dlatego, że wszystko wydawało się takie beznadziejne. Bez trudu to zrozumiałem. Ale chyba nie było mi go żal nawet wtedy, ponieważ własne przeżycia mało mnie nie rozsadziły, jego żona tylko kręciła głowę, a za sobą słyszałem ciężkie kroki Franza nadchodzącego ścieżką. Nawet Bruna rzucała łbem i szarpała hołoblami. Pomyślałem, że od tej pory nic już nie będzie jak dawniej.

Od wielu dni panował duszny upał, a ten dzień był szczególnie uciążliwy. Coś, jak się to mówi, wisiało w powietrzu nasyconym wilgocią, pot spływał obficie niż zwykle, a po południu zaczęło się chmurzyć, chociaż temperatura wcale nie spadała. Przed wieczorem niebo całkiem poczerniało. Do tej pory jednak przetransportowaliśmy już ojca Jona łodzią na drugi brzeg rzeki i dalej do lekarza w Innbygda jednym z dwóch samochodów we wsi, oczywiście, tym należącym do Barkalda, który sam usiadł za kierownicą i wybrał się w tę długą drogę. Matka Jona musiała zostać w domu z Larsem, nie mógł być sam przez tak długi czas, a ja pomyślałem, że pewnie czuje się samotna, jest jej smutno i trudno, gdy czeka tylko z synem i nie ma nikogo dorosłego, z kim mogłaby porozmawiać. To, że ci dwaj w samochodzie mieliby sobie coś szczególnego do powiedzenia, trudno mi było sobie wyobrazić.

Kiedy pojawiła się pierwsza błyskawica, siedzieliśmy z ojcem we dwóch przy stole w chacie i wyglądaliśmy przez okno. Właśnie zjedliśmy, w ogóle się do siebie nie odzywając; właściwie powinno być jeszcze całkiem jasno, bo przecież wciąż był lipiec, ale zapadła

ciemność jak w październikowy wieczór i nagle błysnęło, bez wyęzania wzroku zobaczyliśmy drzewa, które jeszcze zostały po wyrębie, sterty drewna, wodę w rzece i drugi brzeg. Wkrótce potem nastąpił grzmot, od którego zatrzęsa się cała chata.

– Jasna cholera! – zakląłem.

Ojciec odwrócił się od okna i popatrzył na mnie z dezaprobatą.

– Co powiedziałaś? – spytał.

– Jasna cholera – powtórzyłem.

Pokręcił głową i westchnął.

– No cóż, powinieneś myśleć trochę o konfirmacji – powiedział. – Zastanów się nad tym.

Zaczęło padać, najpierw lekko, ale już po kilku minutach tak waliło w dach, że nie słysząc było własnych myśli. Ojciec odchylił głowę i spojrzał w górę, jak gdyby przez sufit mógł zobaczyć wodę, belki i łupek na dachu, i jakby miał nadzieję, że któraś z kropli trafi go w czoło, w każdym razie zamknął oczy. Chyba obydwu nam dobrze by zrobiło oblanie twarzy zimną wodą po tym dniu. On musiał pomyśleć to samo, bo wstał od stołu i spytał:

– Masz ochotę na prysznic?

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłem. I nagle zaczęło się nam spieszyć, wyskoczyliśmy na środek i zaczęliśmy w pędzie ściągać z siebie ubrania, rozrzucać je na wszystkie strony, a ojciec nagi podbiegł do umywalni i zanurzył mydło w wiadrze z wodą. Wyglądał tak samo dziwnie jak ja, żylasty i opalony od głowy do pępka, a kredowobiały od pępka w dół, nacierał mydłem wszystkie dostępne miejsca na całym ciele, które wkrótce pokryło się pianistymi wirami, potem rzucił mydło mnie i ja też namydliłem się tak szybko, jak tylko byłem w stanie.

– Ścigamy się, kto pierwszy na dworze! – zawołał ojciec, rzucając się do drzwi.

Podbiegłem jak amerykański futbolista, żeby przeciąć mu drogę i wytrącić z równowagi, on chciał mnie przytrzymać za ramię, ale okazałem się zbyt śliski od mydła, żeby zdołał mnie złapać. Zaczął się śmiać i zawołał:

– Ty cholerny węgorszu!

Jemu wolno było tak powiedzieć, bo on konfirmację odbył już wiele lat temu. Ruszyliśmy równocześnie i razem przeciskaliśmy się przez drzwi, ciało przy ciele, każdy chciał być pierwszy, ale zatrzymaliśmy się na schodku pod okapem i obserwowaliśmy, jak dookoła nas woda wali w ziemię. Było to imponujące, niemal przerażające i przez chwilę tylko staliśmy, wpatrzeni. W końcu ojciec demonstracyjnie głośno zaczerpnął powietrza i zawołał:

– Teraz albo nigdy!

Wyskoczył na środek podwórza i zaczął tańczyć nagusieńki z rękami uniesionymi w górę, a woda lała mu się z ramion. Wybiegłem za nim na ulewę, stanąłem tam, gdzie on, zacząłem skakać, tańczyć i śpiewać *Norwegia w czerwieni, bieli i błękicie*, on wtedy też przyłączył się do pieśni, w ciągu ułamka sekundy woda spłukała z naszych ciał mydło, podobnie jak i ciepło, skóra nam lśniła i błyszczała jak u dwóch fok i pewnie też byliśmy tak samo chłodni w dotyku.

– Zimno mi! – krzyknąłem.

– Mnie też! – zawołał ojciec. – Ale wytrzymamy jeszcze trochę!

– Dobra! – odkrzyknąłem, uderzyłem się płaską dłonią w brzuch, a potem zacząłem bębnić o uda, by podnieść temperaturę skóry, która straciła czucie, aż w końcu przyszło mi do głowy, żeby stanąć na rękach, bo to wychodziło mi całkiem niezłe, i zawołałem: „Dalej”, do ojca, nachyliłem się i podniosłem nogi w powietrze, a wtedy on musiał zrobić to samo. I chodziliśmy tak na rękach po mokrej trawie, deszcz siekł nas w pośladki zimnem tak lodowatym, że po krótkim czasie musiałem z powrotem stanąć na nogi, chyba nikt nigdy nie miał tak czystych tyłków jak my, gdy wbiegliśmy z powrotem do chaty i zaczęliśmy się wycierać dwoma wielkimi ręcznikami, masując skórę szorstkim płótnem, żeby odzyskać ciepło i czucie; ojciec przekrzywił głowę, popatrzył na mnie i powiedział:

– Jesteś już dorosły.

– Nie całkiem – odparłem, wiedziałem bowiem, że wokół mnie dzieją się rzeczy, których nie rozumiem, ale że do ich zrozumienia zostało mi już niewiele, że jestem bardzo blisko.

– Rzeczywiście, może jeszcze nie całkiem – przyznał.

Przeczesał palcami mokre włosy i z ręcznikiem na biodrach podszedł do żeliwnego piecyka, podarł starą gazetę, zwinął ją w kulę, którą wsunął do komory, wokół papieru ułożył trzy polana i podpalił. Potem zamknął drzwiczki piecyka, ale te od popielnika zostawił otwarte, żeby był ciąg, stare, wysuszone na wiór drewno zaczęło trzaskać od razu. Ojciec stanął tuż przy piecyku z uniesionymi rękami i na wpół pochylony nad czarną żeliwną płytą chłonał rozchodzące się powoli ciepło brzuchem i piersią. Ja nie ruszałem się z miejsca. Patrzyłem na jego plecy. Wiedziałem, że on chce coś powiedzieć. Był moim ojcem, dobrze go znałem.

– To, co się dzisiaj wydarzyło – odezwał się, wciąż odwrócony tyłem – było zupełnie niepotrzebne. Musiało wreszcie źle się skończyć. Już dawno powinienem był to powstrzymać, to leżało w mojej mocy, a nie w jego, rozumiesz? Jesteśmy dorosłymi mężczyznami. To ja

ponoszę winę za to, co się stało.

Nic nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, czy przez dorosłych mężczyzn rozumie siebie i mnie, czy też siebie i ojca Jona, przypuszczałem, że raczej to ostatnie.

– To było niewybaczalne.

Miał rację, tyle pojmowałem, ale nie podobało mi się, że bez najmniejszych protestów bierze winę na siebie, uważałem, że można na ten temat dyskutować, a jeśli on był winny, to i ja także, i chociaż odpowiedzialność za takie rzeczy nie należała do przyjemnych, to pomijając mnie, umniejszył moją osobę. Poczułem nawracającą gorycz, ale tym razem łagodniejszą. Ojciec odwrócił się od pieca, a z jego twarzy mogłem wyczytać, że wie, o czym myślę, lecz że nie ma żadnego pomysłu na komentarz, który by nam ulżył. To było zbyt skomplikowane, nie miałem siły dłużej o tym myśleć, nie tego wieczoru. Czułem, że plecy mi się garbią, a oczy same się zamykają, zacząłem więc rozcierać jedną dłoń drugą, zwiniętą w pięść.

– Zmęczony jesteś? – spytał ojciec.

– Tak – odparłem. I rzeczywiście byłem zmęczony. Miałem zmęczone ciało, zmęczoną głowę i zmęczoną skórę, i pragnąłem już tylko położyć się do łóżka i spać, spać tak długo, aż dalsze spanie staje się niemożliwe.

Wyciągnął rękę i zmierzwił mi włosy, a potem z półki nad piecem wziął pudełko zapalek i zapalił parafinową lampę na stole, zdmuchnął zapałkę, otworzył drzwiczki piecyka i wrzucił ją w płomień. W żółtym świetle lampy nasze brązowo-białe ciała wyglądały być może jeszcze dziwniej. Ojciec uśmiechnął się i powiedział:

– Idź się połóż pierwszy. Ja zaraz przyjdę.

Ale nie przyszedł. Kiedy się obudziłem w nocy, czując, że muszę iść do ubikacji, nigdzie go nie znalazłem. Zaspany przeszedłem przez pokój, tam go nie było, otworzyłem drzwi na podwórze i wyjrzałem, deszcz przestał padać, ale na podwórzu też go nie było, a kiedy wróciłem, spostrzegłem, że jego łóżko jest zaścielone i po wojskowemu wygładzone, zupełnie tak samo, jak wyglądało rano.

Uschnięty świerk jest ogałężony i pocięty piłą spalinową na klocki odpowiedniej długości, mniej więcej takie jak połowa pieńka do rąbania, przewiozłem je po trzy na tacze i rzuciłem na stos na płacyku przy drewni; teraz leżą ułożone w dwuwymiarową piramidę niemal dwumetrowej wysokości przy ścianie pod okapem. Jutro zacznę je rąbać. Na razie poszło dobrze, jestem z siebie zadowolony, ale dzisiaj kręgosłup już więcej nie wytrzyma. W dodatku jest już po piątej, słońce zaszło po tamtej stronie, gdzie musi być zachód, a właściwie południowy zachód, zmierzch nadciąga od skraju lasu, a jeszcze niedawno tam pracowałem, nadeszła więc odpowiednia pora, by przerwać. Ściereczką wycieram piłę prawie do czysta z lepkich trocin, resztek benzyny i oleju i kładę ją w przewiewnym miejscu na stołku w drewni, zamykam drzwi i z pustym termosem pod pachą idę przez podwórze. Potem siadam na progu, ściągam wilgotne buty i wysypuję trociny z obu cholewek, czyszczę też dół nogawek spodni. Otrzeputuję skarpetki, uderzam w nie mocno rękawicami roboczymi, a ostatnie resztki wydlubuję palcami. Powstaje z nich na ziemi całkiem spory kopczyk. Lyra przygląda mi się ze świerkową szyszką w pysku, która przypomina niezapalone cygaro, takie z rodzaju tych grubych, chce, bym jej rzucił szyszkę, żeby mogła aportować, ale jeśli raz już zaczniemy tę zabawę, ona nie będzie chciała jej przerwać, a ja nie mam na to siły.

– *Sorry* – mówię. – Może kiedy indziej. – Klepię ją po żółtym łbie, głaszczę po karku i lekko ciągnę za uszy, co ona bardzo lubi, wypuszcza więc szyszkę i siada na wycieraczce.

Stawiam buty tuż przed drzwiami, piętami równo przy ścianie, i w samych skarpetkach przechodzę przez sień do kuchni. Płuczę termos w gorącej wodzie z kranu i odstawiam na blat, żeby wysechł do późniejszego wykorzystania. Dopiero dwa tygodnie temu zainstalowałem bojler na gorącą wodę. Wcześniej nigdy czegoś takiego tu nie było, jedynie zlew na ścianie, a nad nim kran z zimną wodą. Zadzwoiłem do hydraulika, który dobrze znał ten dom, a on powiedział, że muszę dokopać się dwa metry do rury z wodą na zewnątrz tej ściany, tak żeby mógł zmienić kąt rury i jej kierunek wejścia do kuchni pod fundamentem. I musiałem zrobić to cholernie szybko, zanim ziemia zamarznie. Hydraulik sam nie chciał

kopać, powiedział, że nie jest od pracy fizycznej. Ja nie miałem nic przeciwko temu, ale robota była ciężka, żwir i kamienie do samego dołu. Niektóre okazały się bardzo duże. Wyszło na to, że mieszkam na grzbiecie moreny.

Teraz mam zlewozmywak jak wszyscy. Przeglądam się w lustrze, które nad nim wisi. Twarz nie różni się od tej, której bym się spodziewał przy ukończonych sześćdziesięciu siedmiu latach. Chyba dotrzymuję sobie rytmu. Czy mi się to podoba, to zupełnie inna kwestia. Ale to bez znaczenia. Niewielu osobom się pokazuję, a lustro mam tylko to jedno. Szczerze mówiąc, nie mam nic przeciwko tej twarzy. Akceptuję ją, rozpoznaję siebie. Więcej żądać nie mogę.

Radio jest włączone, mówią o nadchodzącym jubileuszu tysiąclecia. Straszą trudnościami, jakie z całą pewnością nastąpią przy przechodzeniu z bezpiecznych 97, 98 i 99 na 00 we wszystkich systemach komputerowych, nikt nie wie, co się może stać, lecz trzeba się zabezpieczyć przed ewentualnymi katastrofalnymi skutkami, a przemysł norweski jest zdumiewająco ospały w przedsięwzięciu odpowiednich kroków. Nie mam o tym zielonego pojęcia i w ogóle mnie to nie interesuje. Pewny jestem jedynie, że masa firm konsultingowych, które o tym, co się stanie, wiedzą równie mało, chce po prostu zarobić. I z pewnością zarobią, albo już zarobiły.

Wyjmuję najmniejszy garnek, myję kilka ziemniaków, wkładam je do garnka, nalewam wody i stawiam na kuchence. Czuję, że jestem głodny, praca przy piłowaniu świerka pobudziła apetyt. Już od kilku dni nie miałem prawdziwej ochoty na jedzenie. Ziemniaki kupiłem w sklepie, w przyszłym roku będę miał własne, ze starego warzywnika za szopą. Całkiem zarósł i trzeba go przekopać, ale z tym sobie poradzę. Wystarczy poświęcić na to tyle czasu, ile trzeba.

Ważne jest, aby nie rezygnować z obiadu, kiedy jest się samemu. Łatwo o to, bo gotowanie dla jednej osoby jest takie nudne. Powinny być ziemniaki, sos i warzywa, serwetka, czysta szklanka i zapalona świeczka na stole, żadnego siadania na krześle w roboczym ubraniu. W czasie gdy ziemniaki się gotują, idę więc do sypialni i zmieniam spodnie, wkładam czystą białą koszulę, wracam do kuchni, na stole kładę obrus, dopiero potem wrzucam na patelnię masło i smażę rybę, którą sam złowiłem w jeziorze.

Na dworze zaczęła się niebieska godzina. Wszystko się przybliża, szopa, skraj lasu, jezioro za drzewami, jak gdyby zabarwione powietrze wiązało świat i nic nie istniało już w nim samodzielnie. Przyjemnie tak o tym myśleć, ale nie jestem za bardzo przekonany, czy to prawda. Lepiej niczym się nie wiązać, ale w tym momencie niebieski świat przynosi pociechę, i chociaż nie wiem, czy jej pragnę i czy jej potrzebuję, to mimo wszystko ją

przyjmuję. Siadam przy stole z miłym uczuciem i zaczynam jeść.

I nagle rozlega się pukanie do drzwi. Samo pukanie nie jest takie dziwne, ponieważ nie mam dzwonka, ale moich drzwi nie dotykał nikt, odkąd tu zamieszkałem, a tych kilka razy, gdy ktoś mnie odwiedzał, wcześniej słyszałem samochód i stawałem na schodach, by go powitać. Teraz nie słyszałem samochodu, nie zauważyłem też świateł. Wstaję odrobinę zirytowany od posiłku, który właśnie zacząłem, wychodzę do sieni i otwieram. Na schodach stoi Lars, za nim na podwórzu siedzi Poker, posłuszny i spokojny. Światło na zewnątrz wydaje się niemal sztuczne, prawie jak na filmach, które widziałem, niebieskie, zaaranżowane, źródło światła nie jest widoczne, ale każdą rzecz widać bardzo wyraźnie, a jednocześnie jakby przez ten sam filtr albo jakby wszystko było zrobione z tej samej materii. Nawet pies jest niebieski, nie porusza się, wygląda niczym ulepiony z glinki.

– Dobry wieczór – mówię, chociaż właściwie wciąż jest popołudnie, ale przy takim świetle nie można powiedzieć nic innego. Lars sprawia wrażenie zakłopotanego, gdy tak stoi, albo może rzecz jest w czym innym, w czymś w jego twarzy, podobnie jest z psem; łączy ich jakaś sztywność w ciele, żaden nie patrzy wprost na mnie, czekają i z czymś się wstrzymują, w końcu Lars odpowiada:

– Dobry wieczór.

I milknie, nie mówi nic więcej, nie tłumaczy, po co przyszedł, a ja nie wiem, co powiedzieć, żeby pomóc mu się odezwać.

– Właśnie siadłem do obiadu – zaczynam. – Ale nic nie szkodzi, proszę. – Otwieram drzwi na oścież, wykonując zapraszający gest ręką, pewien, że on odmówi, że sprawa, z którą przyszedł, zostanie załatwiona w progu, jeśli tylko uda mu się uformować te słowa, z którymi tak się męczy. Ale on podejmuje decyzję i robi ostatni krok w stronę drzwi, odwraca się do Pokera i mówi:

– Ty zostań tutaj! – wskazuje na schody, a Poker wchodzi po stopniach i siada, ja odsuwam się o krok i wpuszczam Larsa do sieni. Pierwszy idę do kuchni i stoję przy stole, na którym świece migoczą w przeciągu, gdy Lars wchodzi za mną i zamyka drzwi.

– Jeśli jesteś głodny, to jedzenia wystarczy dla dwóch – mówię; poniekąd to prawda, stale gotuję za dużo, przeceniam własny apetyt i drugą porcję zawsze dostaje Lyra, wie o tym i bardzo się cieszy, kiedy siadam do posiłku. Leży wtedy przy piecu, uważnie śledząc mnie wzrokiem, i czeka. Teraz podniosła się ze swojego miejsca, merda ogonem i obwąchuje spodnie Larsa. Przydałoby im się pranie, oboje jesteśmy co do tego zgodni.

– Siadaj – mówię i nie czekając na odpowiedź, przynoszę talerz z narożnej szafki, kładę sztućce, serwetkę, stawiam szklankę. Nalewam piwa do jego szklanki i do swojej.

Jeszcze odrobina śniegu za szybą, a wyglądałoby to jak Wigilia. Lars rzeczywiście siada i widzę, że zażenowany zerka na moją czystą białą koszulę. Mnie nie przeszkadza jego ubranie, ale rozumiem, że bez względu na to, co zamierzał mi powiedzieć, ja mu tego nie ułatwiłem. Siadam i proszę, żeby się częstował, nakłada sobie kawałek ryby, dwa ziemniaki i trochę sosu, a ja boję się spojrzeć na Lyrę, bo mniej więcej tyle właśnie by dostała. Zaczynamy jeść.

– Bardzo smaczna – mówi Lars. – Sam ją złowiłeś?

– Oczywiście – odpowiadam. – Na dole, przy ujściu rzeki.

– Tam czasami bywa dużo ryb. Szczególnie okoni. Ale trafiają się i szczupaki, tuż przy trzcinach, a niekiedy pstrąg, jak się ma szczęście.

Kiwam głową, jem całkiem spokojnie i czekam, aż on przystąpi do rzeczy. Nie żeby mi zależało, Lars może tu przychodzić i jeść ze mną obiad niekoniecznie dlatego, że ma jakąś sprawę. Ale w końcu wypija duży łyk piwa, ociera usta serwetką, kładzie ręce na kolanach, chrząka i wyrzuca z siebie:

– Wiem, kim jesteś.

Przestaję żuć. Widzę swoją twarz taką, jaką przed chwilą oglądałem w lustrze, on wie, kto to jest? Tylko ja to wiem. A może przypomniał sobie gazety sprzed trzech lat, duże zdjęcie, na którym stoję na środku drogi w lodowatym deszczu, widać krew i wodę spływającą mi z włosów i czoła na koszulę i krawat, i ten gładki jak lustro speszony wyraz oczu patrzących w obiektyw, a tuż za mną ledwie widoczne niebieskie audi z tyłem uniesionym w górę, a przodem opuszczonym w głąb urwiska. Ciemna, mokra skalna ściana, karetka z otwartymi tylnymi drzwiami i nosze z moją żoną wsuwane do środka, radiowóz policyjny z włączonym niebieskim światłem, niebieski pled na moich ramionach i ciężarówka wielka jak czołg w poprzek żółtej środkowej linii, i deszcz, deszcz na zimnym lśniącym asfalcie, w którym wszystko odbija się podwójnie, tak jak ja widziałem podwójnie w następnych tygodniach. Wszystkie gazety zamieściły to zdjęcie. Idealnie skomponowane przez pracującego jako wolny strzelec fotografa, który siedział w jednym z samochodów w korku, jaki utworzył się w ciągu pół godziny po wypadku. Jechał akurat na jakieś nudne zlecenie, a zamiast tego dostał nagrodę za zdjęcie zrobione w deszczu. Niskie szare niebo, roztrzaskana bariera, białe owce na wzgórzu w tle. Wszystko to w jednej odślonie migawki. Spójrz tutaj! – zawołał.

Ale Larsowi nie o to chodzi. Być może widział jedno z tych zdjęć, niewykluczone, ale on nie to ma na myśli. Rozpoznał mnie, tak jak ja rozpoznałem jego. Minęło już ponad pięćdziesiąt lat, byliśmy wtedy zaledwie dziećmi, on miał dziesięć lat, a ja wciąż piętnaście i wciąż bałem się wszystkiego, co działo się wokół mnie, wszystkiego, czego nie rozumiałem,

choć wiedziałem, że jestem blisko, że gdybym wyciągnął rękę na tyle, na ile bym potrafił, być może dotarłbym aż do końca i poczuł, co to jest. W każdym razie takie miałem wrażenie, pamiętam, że z ubraniem w rękę wybiegłem z sypialni w tę letnią noc w 1948, ogarnięty nagłą paniką, ponieważ uświadomiłem sobie, że to, co mówi mój ojciec, i to, jak jest w rzeczywistości, niekoniecznie musi sobie odpowiadać, świat przez to się rozplynął i trudno go było uchwycić. Otworzyła się jakaś ciemność, przez którą nie mogłem spojrzeć na drugi brzeg, a gdzieś wśród nocy, mniej więcej kilometr w dół rzeki, być może Lars leżał sam w swoim łóżku i próbował uchwycić swój świat, ale strzał, którego wciąż nie umiał pojąć, i nie wiedział, skąd padł, wciąż wypełniał każdy metr sześcienny powietrza w tym domku, sprawiając, że kiedy ludzie do niego mówili, wszystko jedno co, on nie słyszał już nic innego niż tamten huk. I miała to być jedyna rzecz, jaką słyszał jeszcze przez długi, długi czas.

Teraz Lars siedzi naprzeciwko mnie przy stole, ponad pięćdziesiąt lat później, i wie, kim jestem, a ja nie mam na to odpowiedzi. To przecież nie jest oskarżenie, chociaż z jakiegoś powodu może się nim trochę wydawać, nie jest to też pytanie, więc właściwie nie muszę odpowiadać. Ale jeśli nic nie powiem, to będzie bardzo cicho i trudno.

– No tak – mówię, patrząc wprost na niego. – Ja też wiem, kim ty jesteś.

Lars kiwa głową.

– Tak właśnie myślałem. – Kiwa głową jeszcze raz, sięga po sztucce i wraca do jedzenia, widzę, że jest usatysfakcjonowany. Właśnie to chciał powiedzieć. Nic więcej, nic poza tym. Tylko to, i jeszcze chciał potwierdzenia, które usłyszał.

Do końca posiłku czuję się nieco zakłopotany, uwikłany w sytuację, którą nie ja sam stworzyłem. Jemy, nie zamieniając zbyt wielu słów, tylko wychylamy się i wyglądamy przez okno na podwórze, na którym szybko i cicho zapada ciemność, kiwamy do siebie głowami, zgodni, że obecna pora roku jest właśnie tym, czym jest; ale się szybko ściemnia, no tak, i tak dalej, jak gdyby to była jakaś nowina. Ale Lars sprawia wrażenie zadowolonego, zjada do końca wszystko, co ma na talerzu, i mówi prawie wesoło:

– Dziękuję za gościnę. Miło zjeść porządny obiad.

Jest już gotowy do wyjścia, a kiedy naprawdę wychodzi, idzie lekkim krokiem drogą bez latarki, mnie natomiast jest ciężiej, a Poker wlecze się za nim w stronę mostu i niewielkiej chaty, wolno pochłaniany przez wieczór.

Stoję przez jakiś czas na progu i słucham kroków na żwirze, dopóki i one nie zanikną, a potem jeszcze chwilę, aż wreszcie z ciemności dochodzi lekkie trzaśnięcie, kiedy Lars zamyka drzwi, i widzę, jak w oknie chaty nad rzeką zapala się światło. Odwracam się i rozglądam na wszystkie strony, ale światło u Larsa jest jedyne, jakie mogę dostrzec. Zrywa

się wiatr, lecz ja wciąż nie ruszam się z miejsca i wpatruję się w ciemność, wiatr się wzmacnia, z lasu dobiega szum, zimno tak stać w samej koszuli, nagle robi mi się tak lodowato, że zaczynam szczełkać zębami, i w końcu muszę się poddać, wchodzę do środka i zamykam drzwi.

Sprzątam ze stołu w kuchni, dwa talerze na obrusie po raz pierwszy w tym roku. Czuję się jak po inwazji, tak właśnie jest, i to nie byle kogo.

Tak właśnie jest. Biorę miseczkę Lyry do spizarki, sypię do niej suchą karmę i z powrotem stawiam przy kuchence na drewno. Lyra patrzy na mnie, nie tego się spodziewała, obwąchuje jedzenie i bardzo powolutku zaczyna jeść, każdy kęs przełyka z demonstracyjnym trudem, odwraca łeb i znów długo na mnie patrzy tymi oczami, wzdycha i dalej je tak, jakby opróżniała puchar z trucizną. Rozpieszczone psisko.

Zostawiam Lyrę przy misce, wchodzę do sypialni, zdejmuję białą koszulę, odwieszam ją, wciągam przez głowę kraciatą codzienną koszulę i sweter, w sieni zdejmuję z kołka i wkładam ciepłą marynarską kurtkę. Odnajduję latarkę, gwiżdżę na Lyrę, wychodzę na próg w kapciach i tam wkładam buty. Wieje już teraz nieźle. Idziemy w dół drogą. Lyra pierwsza, ja kilka metrów za nią. Ledwie dostrzegam jej jasną sierść, ale dopóki ją widzę, wskazuje mi kierunek, więc nie zapalam latarki, pozwalam oczom chłonać mrok, przestaję nimi mrugać, żeby uchwycić światło, które dawno już zniknęło.

Gdy dochodzimy do mostu, zatrzymuję się na moment tam, gdzie zaczyna się balustrada, i zerkam na chatę Larsa. W oknach się świeci, w żółtej ramie widzę jego barki, tył głowy bez jednego siwego włosa i włączony telewizor w drugim końcu pokoju. Lars ogląda wiadomości. Nie pamiętam, kiedy ja je ostatnio oglądałem. Nie przywiozłem tu telewizora i czasami tego żałuję, kiedy wieczory się dłużej, ale uznałem, że gdy człowiek jest sam, szybko może się ucześcić rozbieganych obrazów i fotela, w którym będzie siedział długo w noc, a wtedy czas będzie płynął, a poruszać się będą inni. Ja tak nie chcę. Wystarczy mi własne towarzystwo.

Skręcamy z drogi i idziemy wzdłuż rzeczki ścieżką, którą zazwyczaj chodzę, ale nie słyszę płynącej wody, bo wiatr szumi i szeleści w drzewach i krzakach dookoła, zapalam więc latarkę, żeby źle nie stąpnąć i nie wejść prosto do rzeki, ponieważ nie słyszę, którędy płynie.

Nad jeziorem idę skrajem trzciny aż do miejsca, w którym stoi ławka, sam ją zbiłem i przyciągnąłem tutaj, żeby mieć na czym siedzieć, gdy obserwuję życie u ujścia rzeki, patrzę, czy ryby żerują, przyglądam się kaczkom i łabędziom, które gniazdują tu, w zatoce przy ujściu rzeki. Oczywiście nie o tej porze roku, ale rano wciąż się tu pojawiają z piskletami z wiosennego lęgu, łabędziątka są już tak duże jak rodzice, lecz jeszcze szare, dziwnie to

wygląda, jakby dwa różne gatunki płynęły w jednej linii, identyczne w każdym ruchu, i im się wydaje, że są identyczne, a tymczasem wszyscy widzą, że tak nie jest. Bywa też, że siedzę tu jedynie po to, by w czasie, gdy Lyra jak zwykle według ustalonego schematu załatwia swoje sprawy, pozwolić myślom płynąć.

Odnajduję ławkę i siadam, ale teraz nie ma tu na czym się skupić ani na co patrzeć, gaszę więc latarkę, siedzę po ciemku, słucham wiatru przemykającego przez trzciny z kruchym szelestem. Czuję, jak bardzo jestem zmęczony po tym dniu, pracowałem dłużej niż zazwyczaj, zamykam więc oczy ze świadomością, że nie wolno mi tu zasnąć, trochę tylko posiedzę. Mimo wszystko jednak zasypiam i budzę się przemarznięty, wiatr dookoła huczy ogłuszająco, i pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest taka, że wołałbym, aby Lars nie powiedział tego, co powiedział, to mnie wiąże z przeszłością, którą, jak mi się wydawało, zostawiłem już za sobą, i odsuwa tych pięćdziesiąt lat na bok z lekkością sprawiającą wrażenie wręcz nieprzyzwoitej.

Sztywno dźwigam się z ławki, gwiżdżę na Lyrę, choć to niełatwe z odrętwiałymi wargami, ale ona już siedzi przy mnie i lekko popiskuje, wciskając pysk w moje kolana. Zapalam latarkę. Wieje piekielnie, zataczam krąg latarką, w jej świetle widzę dziką płataninę, trzciny kładą się płasko na jeziorze, na wodzie pojawiły się białe grzywy, a z nagich koron drzew, które, siekąc powietrze, pochylają się na południe, dobiega wycie. Kucam przy Lyrze i głaszczę ją po łbie.

– *Good dog* – mówię po angielsku, być może brzmi to głupio, jak z filmu, który kiedyś widziałem, może z *Lassie* z zamierzchłej przeszłości, nie zdziwiłoby mnie to, albo może, kiedy zasnąłem, przyśniło mi się coś, o czym już zapomniałem, i została we mnie tylko ta kwestia. W każdym razie nie był to Dickens, nie przypominam sobie żadnego *good dog* z jego książek, a zabrzmiało niemądrze tak czy owak. Prostuję się i podciągam suwak kurtki pod samą brodę.

– Chodź – mówię do Lyry. – Wracamy do domu.

A ona aż podskakuje z ulgą i biegnie ścieżką z zadartym ogonem, ja idę za nią, już nie tak żwawo, z głową wtuloną w kołnierz kurtki, ściskając latarkę w dłoni.

Całkiem wyraźnie pamiętam tamtą noc w letniej zagrodzie, kiedy mój ojciec nie leżał tam, gdzie według swoich zapowiedzi miał leżeć. Wyszedłem z sypialni do pokoju i prędko się ubrałem przy piecu, wciąż letnim od poprzedniego wieczoru. Wsłuchiwałem się w otaczającą mnie noc, ale nie było żadnych dźwięków, które mógłbym usłyszeć, oprócz mojego zbyt szybkiego oddechu, dziwnie zachrypniętego i zdyszanego w pomieszczeniu, które wydawało się nieprzewidywalne i duże, chociaż dokładnie wiedziałem, ile kroków jest między każdą ze ścian. Zmusiłem się do tego, by oddychać spokojniej, wciągałem powietrze głęboko i wypuszczałem je powolutku, myśląc, że aż do dzisiejszej nocy dobrze mi było w życiu, nigdy nie pozostawałem tak naprawdę sam i chociaż mój ojciec czasami zniknął na długo, akceptowałem to z zaufaniem, które zniknęło jak zdmuchnięte w ciągu jednej lipcowej doby.

Upalny dzień odszedł już daleko, kiedy otworzyłem drzwi i w kaloszach stanąłem na podwórzu. W tę letnią noc było tam pusto i wręcz chłodno, ale już nie ciemno, w chmurach pędzących po niebie nade mną pojawiły się szczeliny, z których spływało blade migotliwe światło, więc bez trudu odnalazłem ścieżkę nad rzekę. Po gwałtownej ulewie woda płynęła teraz szybciej, podniosła się, zalewając kamienie przy brzegu, kołysała się i błyszczała jak matowe srebro, widziałem to z daleka, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszałem, był jej szum.

Łódź zniknęła ze swojego miejsca. Wszedłem kilka kroków do wody i stanąłem, nasłuchując wiosła, rzeka oblewała mi nogi, ale nic na niej nie widziałem, ani patrząc w górę, ani w dół. Sterty bali wciąż stały, w wilgotnym powietrzu bił od nich mocny zapach, była też zgięta sosna z przybitym do kory krzyżem, a także łąki po drugiej stronie ciągnące się od brzegu rzeki do drogi, poruszały się jedynie chmury na niebie, i to migotliwe światło. Stałem samotnie w nocy, a woda obmywała mi cholewki, i wtedy przepełniło mnie dziwne uczucie, niemal jak światło albo dźwięk przesywający ciało, jak miękki księżyc lub dzwonienie dzwonek, wszystko inne wokół było takie wielkie i takie ciche, ale ja nie czułem się zagubiony, czułem się wybrany. Stałem teraz całkiem spokojny, to ja stanowiłem centrum.

Bez wątpienia sprawiła to rzeka, mogłem zanurzyć się w wodzie aż po brodę, tkwić nieruchomo i czuć, jak nurt naciera i potraça ciało, ale wciąż być tym, kim byłem, wciąż być centrum. Odwróciłem się i popatrzyłem na chatę. W oknach było ciemno. Nie chciałem tam wracać, do dwóch opuszczonych, pustych pomieszczeń, wilgotnych kołder, do pieca, w którym żar już wygasł, i w chacie z całą pewnością zrobiło się chłodniej niż tu, na zewnątrz, nie miałem tam nic do roboty. Wszedłem więc na brzeg i zacząłem iść.

Najpierw szedłem między świeżymi pniakami do wąskiej wysypanej żwirem dróżki biegnącej za naszą parcelą, a potem ruszyłem nią między drzewami, kierując się na południe, zamiast na północ, jak zwykle chodziliśmy do mostu i sklepu, bez trudu ją odnajdywałem, bo chmury się rozpierchły i noc znów stała się jasna, jakby wokół rozsypało białą mąkę, filtr, który widziałem wyraźnie, i może nawet mógłbym go dotknąć, gdybym chciał, a jednak nie potrafiłem. Ale próbowałem. Idąc między ciemnymi pniami, jakby wzdłuż kolumnady po obu stronach, rozsunąłem palce i powoli uniosłem ręce, a potem je opuściłem w tym przypudrowanym świetle, nic jednak nie poczułem, wszystko było takie jak zwykle, jak w każdą inną noc. Lecz życie, niczym milczący olbrzym skryty w wielkich cieniach pod wzgórzem, przesunęło swój ciężar z jednego punktu do innego, z jednej nogi na drugą, i czułem się inną osobą, niż byłem, kiedy zaczęła się ta doba, i nie wiedziałem nawet, czy jest mi z tego powodu przykro.

Nie wiedziałem tego, a byłem za młody, by oglądać się wstecz, więc szedłem dalej drogą. Słyszałem rzekę w dole za lasem, wkrótce dobiegły mnie odgłosy z letniej zagrody położonej najbliżej naszej chaty od południa. To krowy stały w swoich przegrodach za ścianami z drewnianych bali i przeżuwały albo leżąc na słomie, obracały się z boku na bok, nagle cichły, a potem znów się odzywały, przytłumiony dźwięk ich dzwonek docierał aż do mnie na drogę, zastanawiałem się, jak daleko zawędrowała już noc, czy niedługo będzie rano i czy zanim pójde dalej, mógłbym wejść do tej obory, zakraść się tam i posiedzieć przez chwilę, żeby sprawdzić, czy w środku naprawdę jest tak ciepło. I tak właśnie zrobiłem. Wystarczyło zejść ścieżką wydeptaną przez krowy, minąć chatę, w której panowała zupełna cisza i z tego, co widziałem, nikt nie stał w oknach i nie wyglądał, a potem otworzyć drzwi i wślizgnąć się do pogrążonej w półmroku obory. Wewnątrz unosił się intensywny, a jednocześnie przyjemny zapach i było tak ciepło, jak przypuszczałem. Z przejścia między odpływami na krowiak przyniosłem sobie stółek do dojenia i usiadłem na nim pod ścianą przy drzwiach, które zatrzasnąłem, zamknąłem oczy i słuchałem spokojnego oddechu krów i tak samo spokojnego przeżuwania, podzwaniania dzwonek, trzasków w drewnie i szumu ponad dachem, niebędącego wcale wiatrem, tylko sumą wszystkiego tego, czym chciała napełnić

mnie noc. A potem zasnąłem.

Obudziłem się, bo ktoś gładził mnie po policzku. Wydawało mi się, że to moja matka. Wydawało mi się, że jestem małym chłopcem. Mam matkę, pomyślałem, a o tym zapomniałem. Przypominałem sobie, jak ona wygląda, szczegół po szczególe, aż prawie poskładałem ją do końca i stała się tą, którą zawsze widziałem, ale twarz, na którą patrzyłem, nie należała do niej; przez moment zeglowałem między dwoma światami, jednym półobudzonym okiem zaglądając do każdego z nich, bo to dójka z tej zagrody stała nade mną, co oznaczało, że jest piąta rano. Widywałem ją i rozmawiałem z nią wiele razy. Lubiłem ją. Jej głos miał dźwięk srebrnego fletu, kiedy szła drogą, nawołując krowy, tak powiedział mój ojciec, ustawił dłonie na wysokości ust nieco z boku i zademonstrował to, migając palcami i wydymając wargi. Nie wiedziałem, jaki dźwięk wydaje srebrny flet, raczej nigdy go nie słyszałem, ale ona się uśmiechnęła, popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Dzień dobry, chłopcze.

Zabrzmiało to bardzo miło.

– Zasnąłem – wyjaśniłem. – Tu było tak przyjemnie ciepło. – Wyprostowałem plecy i potarłem twarz dłońmi. – Potrzebny ci stołek.

Pokręciła głową.

– Nie, nie, siedź sobie. Mam jeszcze jeden, wszystko w porządku.

Poszła środkowym przejściem z błyszczącymi wiadrami w obu rękach, znalazła ten drugi stołek, usiadła na nim przy pierwszej krowie i wprawnymi ruchami zaczęła myć różowe wymię. Już zdążyła wynieść nawóz i wysypać całe przejście trocinami, żeby wyglądało czysto i ładnie, a wszystkie krowy już stały, po cztery łaciate po obu stronach, pełne oczekiwań i mleka. Dójka przyciągnęła drugie wiadro do siebie i równie miękko chwyciła za strzyki, trysnęło białe i dźwięcznie o metal, wydawało się to proste, ale próbowałem już kilka razy i nigdy nie udało mi się wycisnąć ani kropli.

Siedziałem oparty plecami o ścianę i patrzyłem na dójkę w świetle lampy, którą powiesiła na haku przy przegrodzie, na chustkę zawiązaną na włosach, na żółtą poświatę na twarzy, wzrok skierowany gdzieś w głąb i półuśmiech, gołe ramiona i gołe kolana wystające spod spódnicy w matowym blasku po obu stronach wiadra, i nic nie mogłem poradzić na to, że w spodniach nagle się napięło, gwałtownie i mocno, aż dech mi zaparło, a z tego, co pamiętam, nawet nie zdążyłem pomyśleć o niej w ten sposób. Przytrzymałem się mocno stołka obiema rękami, czując, że jestem niewierny wobec tej, którą tak naprawdę byłem zajęty, i miałem świadomość, że jeśli poruszę się choćby o centymetr, to ta odrobina tarcia

wystarczy, by wszystko źle się skończyło, bo ona to zobaczy i może nawet usłyszy ten cichy jęk, który już miałem w piersi i który chciał się ze mnie wydobyć, wtedy zrozumiałaby, jaki jestem bezbronny, a tego bym nie zniósł. Musiałem zacząć myśleć o zupełnie innych rzeczach, by ta presja napiętej skóry zniknęła, myślałem więc najpierw o koniach, które widziałem biegnące drogą przez wieś, wiele koni różnej maści walących kopytami w wyschnięty żwir, kurz podrywał się, zawisał w rozgrzanym powietrzu niczym żółte zasłony między domami i kościołem, ale to mi niewiele pomogło, bo było coś w tym gorącu bijącym od koni w galopie, w łuku ich szyi i rytmicznym oddechu, coś, co konie mają w sobie, i choć to trudno wyjaśnić, ma się świadomość, że to istnieje, więc zamiast tego pomyślałem o Bunnefjorden. O fiordzie, nad którym mieszkaliśmy, i o pierwszej kąpieli w szarozielonym morzu, pierwszego maja, bez względu na pogodę tego dnia. Jak zimno jest wtedy w wodzie, powietrze z jękiem uchodzi z ciała, kiedy skacze się ze skały przy Katten i rozcina gładką taflę. Tylko jedna osoba mogła wskakiwać na raz, bo to drugie musiało stać na brzegu z liną jako ratownik, gdyby ten, kto wskoczył do wody, dostał skurczu. Miałem zaledwie siedem lat, kiedy postanowiliśmy, że będziemy to robić co roku, moja siostra i ja, wcale nie dlatego, że to było aż tak przyjemne, tylko dlatego, że musieliśmy podjąć jakieś postanowienie wymagające od nas czegoś więcej niż zwykle, takie, które sprawiłoby dostateczny ból, a akurat wtedy to wydawało się dostatecznie bolesne. Trzy tygodnie wcześniej do Oslo weszli niemieccy żołnierze, niekończąca się kolumna maszerowała główną ulicą Karla Johana, zimno było tego dnia i cicho wzdłuż ulicy, tylko stukot wojskowych butów, unisono, przypominający smagnięcia batem, uderzał w kolumny auli uniwersytetu, odbijał się od ścian i wypływał echem na brukowany plac Uniwersytecki. A potem nagły huk myśliwca, messerschmitta, lecącego nisko nad miastem od strony fiordu, od otwartego morza i od Niemiec; wszyscy obserwowali to w milczeniu, mój ojciec nic nie mówił i ja nic nie mówiłem, nie odzywał się nikt w całym szeregu. Podniosłem wzrok w górę na ojca, a on spojrzał w dół na mnie, wolno kręcąc głową, a wtedy i ja pokręciłem głową. Wziął mnie za rękę i wyprowadził z tłumu na chodniku, minęliśmy budynek parlamentu, Stortingu, i skierowaliśmy się w stronę Dworca Wschodniego, żeby sprawdzić, czy jeździ autobus wzdłuż Mosseveien i czy pociągi na południe kursują zgodnie z rozkładem jazdy, czy też może wszystko się tego dnia zatrzymało, z wyjątkiem oddziałów niemieckich, które tak nagle stały się obecne wszędzie. Nie pamiętałem, w jaki sposób dotarliśmy do centrum miasta, czy przyjechaliśmy pociągiem, czy autobusem, czy może ktoś nas zabrał samochodem, ale tak czy owak do domu wróciliśmy, możliwe, że piechotą.

Wkrótce potem mój ojciec zniknął po raz pierwszy, a moja siostra i ja, z sercem w

gardle i liną w gotowości, zaczęliśmy się kąpać w zimnym fiordzie.

Myślenie o tamtej wiosnie 1940 roku, o moim ojcu takim, jakim był w tamte zimne dni, i o zimnej wodzie w Bunnefjorden, od Katten po Ingierstrand, bo tak nazywały się plaże, na które chodziliśmy, ostudziło mnie i już po chwili mogłem bez przygód oderwać się od stołka w oborze. Dójka przesunęła się do następnej przegrody, nucąc pod nosem, siedziała na drugim stołku z czołem wciśniętym w krowi brzuch i, o ile dobrze widziałem, nie myślała o niczym innym niż krowa, odstawiłem więc swój stołek porządnie pod ścianę i chciałem wymknąć się po cichu na ścieżkę prowadzącą do drogi. Nagle jednak usłyszałem za plecami jej głos:

– Masz ochotę na łyk?

Zaczerwieniłem się, nie wiedząc dlaczego, ale odwróciłem się i powiedziałem:

– Oczywiście. Pewnie. – Chociaż od dawna już starałem się unikać świeżego mleka. Obrzydzeniem napełniał mnie sam jego widok w szklance czy kubku i świadomość jego ciepła i gęstości, ale przecież spałem w jej oborze i snułem o niej myśli, o których ona nie wiedziała, a które z całą pewnością by się jej nie spodobały, więc uznałem, że nie mogę odmówić. Podszedłem, wziąłem od niej pełen po brzegi czerpak i wypilem całą zawartość jednym haustem. Mocno wytarłem usta i poczekałem, aż wszystko na pewno spłynie w dół.

– Dziękuję, ale teraz naprawdę muszę już iść. Ojciec czeka na mnie w chacie ze śniadaniem.

– Ojej! Tak wcześnie rano? – Spoglądała na mnie z całkowitym spokojem, jak gdyby wiedziała, kim jestem i co zamierzam, czego sam nie byłem pewien, kiwnąłem więc bardzo energicznie głową, odwróciłem się na pięcie i między przegrodami ruszyłem do drzwi obory, dotarłem już prawie do drogi, kiedy musiałem zwymiotować na ziemię tuż pod nogą. Zerwałem kilka garści liści i zakryłem białą plamę, żeby dójka nie zobaczyła jej od razu, gdy tylko skończy doić i będzie szła ścieżką z krowami, bo jeszcze zrobi jej się przykro.

Zawędrowałem drogą tak daleko, aż zwężyła się, zmieniając w ścieżkę, która skręcała w stronę rzeki przez mokrą od rosy wysoką trawę na równinie i kończyła przy pomoście, niemal całkiem ukrytym w trzcinach w zakolu rzeki od wschodniej strony. Wszedłem na pomost i usiadłem na samym końcu, spuszczaając nogi i dotykając butami powierzchni wody; było już całkiem jasno, słońce wychodziło zza wzgórza, a przez trzciny miałem widok na drugi brzeg, na zagrodę, w której mieszkał albo może już nie mieszkał Jon, nie wiedziałem. Oni też mieli pomost i przy tym pomoście cumowały trzy łodzie: ta, z której zwykle korzystał

Jon, i ta, którą przyplęwała jego matka, gdy wycinaliśmy las. Pierwsza była pomalowana na niebiesko, druga na czerwono, a trzecia, zielona, zwykle tkwiła przy naszej chacie, jeśli jakiś idiota nie przycumował jej na niewłaściwym brzegu, a tym idiotą byłem ja. Teraz znajdowała się tutaj. Na pomoście stała ławka, na ławce siedziała matka Jona, a obok niej mój ojciec. Siedzieli blisko siebie. On był ogolony, a ona ubrana w tę niebieską sukienkę w żółte kwiaty, którą wkładała, gdy jechała do Innbygdą. Na ramionach miała jego marynarkę, leżała na nich także jego ręka, w taki sam sposób jak niespełna dobę wcześniej moja, ale on zrobił coś, czego ja nie zrobiłem. Pocałował ją, a ja widziałem, że ona płacze, ale nie płakała dlatego, że ją pocałował, bo on pocałowałby ją i tak, a ona i tak by płakała.

Możliwe, że wtedy brakowało mi pewnego rodzaju wyobraźni, możliwe, że wciąż mi jej brakuje, lecz to, co ujrzałem na ławce na drugim brzegu rzeki, spadło na mnie tak nieoczekiwanie, że siedziałem, gapiąc się z otwartymi ustami, nie było mi ani zimno, ani ciepło, ani nawet letnio, tylko głowę wypełniła mi bliska wybuchu pustka i gdyby ktoś mnie wtedy zobaczył, pewnie uznałby, że uciekłem z przytułku dla niedorozwiniętych dzieci.

Może i mogłem pomyśleć, że się mylę, że właściwie nie widzę, co się tam dzieje, bo od drugiego brzegu dzieliła mnie zbyt duża odległość, i tak naprawdę zobaczyłem mężczyznę pocieszającego kobietę, która właśnie straciła dziecko, a jej mąż trafił do szpitala kilkadziesiąt kilometrów stąd, więc czuła się samotna i bezradna. Pora na to była chyba jednak dziwna, a ja nie patrzyłem na przeciwległy brzeg Missisipi, Dunaju czy Renu, ani nawet naszej swojskiej Glommy, tylko tej niezbyt wielkiej rzeki płynącej przez granicę ze Szwecji, zakreślającej półkole przez wioskę w dolinie i zawracającej z powrotem do Szwecji kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe, można więc było właściwie dyskutować, czy woda w niej jest bardziej norweska czy szwedzka i czy smakuje po szwedzku, jeśli to możliwe, kiedy weźmie się łyk do ust. W dodatku rzeka w tym miejscu, gdzie znajdował się pomost, nie była najszersza, a oni siedzieli naprzeciwko mnie.

Raczej więc się nie pomyliłem. Całowali się tak, jakby to była ostatnia rzecz, jaką robili w życiu, nie mogłem na to patrzeć, ale i tak patrzyłem, próbowałem myśleć o mojej matce, jak z pewnością powinien myśleć syn, kiedy natknie się na taką sytuację, ale nie byłem w stanie się na niej skupić. Uciekała mi, rozwiewała się w powietrzu, nie miała z tym zupełnie nic wspólnego, znów poczułem pustkę, siedziałem i gapiłem się, dopóki nie mogłem już dłużej tego znieść. Osłonięty trzinami podniosłem się wolno i jak najciszej przeszedłem przez drewniany pomost i kawałek ścieżką w górę, a kiedy się obejrzałem, oni też już wstali z ławki i szli w stronę domu, trzymając się za ręce.

Więcej się nie oglądałem, tylko ruszyłem przez wysoką trawę na równinie za zakręt do

miejsca, gdzie ścieżka zmieniała się w drogę, minąłem oborę, w której spałem. To się wydawało już tak dawno temu. Światło było teraz inne i powietrze było inne, a słońce wyłoniło się zza wzgórza. Zrobiło się przyjemnie i ciepło. W gardle coś mnie drapało i swędziało, sprawiając dziwny ból, i chciało się wydostać, lecz przełykając dostatecznie mocno ślinę, potrafiłem to powstrzymać. Słyszałem krowy chodzące po zboczu od strony Sosnowej Góry, która wcale nie była żadną górą, tylko rozciągniętym wzniesieniem porośłym lasem, dzwonienie dzwonek dochodziło z różnych stron, z pewnością było z innych letnich zagród szło tam, gdzie trawa najbardziej soczysta. Kiedy dotarłem do wyciętego lasu i miejsca, gdzie ścieżka skręcała do naszej chaty, stanąłem, nasłuchując. Ponieważ drzew już nie było, miałem swobodny widok na rzekę i wiedziałem, że usłyszałbym nadpływającą łódź. Ale z tamtej strony nie dochodził żaden dźwięk. Chata w tym świetle wyglądała przyjaźniej i mógłbym przecież wejść do izby, wyjąć chleb z pojemnika i zrobić sobie kanapkę, bo już zgłodniałem, lecz zamiast tego poszedłem dalej drogą w stronę mostu i sklepu. Zabrało mi to dwadzieścia minut. Tuż przy moście, na pagórku, zaledwie kilka metrów od rzeki, stał dom Franza, z drogi widziałem, że drzwi są otwarte, a słońce oświetla sięń. Słysząc muzykę z radia. Nie zastanawiając się, przeszedłem zwirowaną ścieżką do schodów, pokonałem trzy stopnie i zawołałem przez otwarte drzwi:

– Halo! Można tu dostać śniadanie?

A ze środka dobiegła odpowiedź:

– Halo, halo! Jasne, cholera, że można.

Przez całą noc mocno wieje. Budzę się kilka razy i słyszę, jak wiatr zawodzi wzdłuż ścian, jak szarpie za dach domu, aż stare drewno jęczy, ze wszystkich stron nacierają dźwięki: głośny szum, niemal groźne odgłosy lasu, metaliczny chrzęst i wielki huk z jakiegoś miejsca, chyba koło szopy, trochę mnie to martwi, kiedy leżę w ciemności z otwartymi oczami i patrzę w sufit, ale pod kołdrą jest ciepło i nie mam zamiaru wstawać. Zastanawiam się, czy dachówki trzymają się tych miejsc, których powinny, czy też wkrótce sfruną i zawirują na podwórzu, może trafią w mój samochód i powgniatają karoserię. Zakładam, że tak się nie stanie, i znów zasypiam.

Kiedy budzę się następnym razem, wieje, o ile to możliwe, jeszcze mocniej, ale teraz to przypomina ssanie, w którym wiatr rozdierany jest na pół przez kalenicę, nie słychać podzwaniań, nie słychać uderzeń, tylko jakby ryk na dnie statku w pobliżu maszynowni, bo wszystko kołysze się w ciemności i porusza do przodu, dom ma maszty, latarnie, jest spieniony kilwater i wszystko, co trzeba; to mi się podoba, lubię podróżować statkiem, może jednak nie obudziłem się do końca.

Jest pół do ósmej, kiedy otwieram oczy po raz ostatni. Późno jak na mnie, za późno. Za oknem widać szary świt i dziwną ciszę po drugiej stronie szyby. Leżę nieruchomo i nasłuchuję. Nie słychać trzasków ze świata na zewnątrz, tylko łapy i pazury Lyry drepczącej przez kuchnię do miski z wodą. Niedawno wszechświat wypełnił się dźwiękami do granicy możliwości, a teraz jest pusty. Został tylko cierpliwy pies. Lyra chłepcze tak głośno, że wyraźnie to słyszę, potem cichutko i dyskretnie popiskuje, co jest dla mnie znakiem, że chciałaby wyjść i zrobić to, czego nie może zrobić w środku. Jeśli to dla mnie nie za duży kłopot.

Czuję, że mój kręgosłup ma się nie najlepiej, przewracam się więc na brzuch i zsuwam przez krawędź łóżka kolanami na podłogę, dopiero stamtąd podnoszę się do pozycji stojącej. Jakoś mi idzie, ale bardzo zeszywniałem po wczorajszym dniu. Boso wychodzę do kuchni,

mijam psa i kieruję się do sieni.

– Chodź, Lyra – mówię, a ona człapie za mną. Otwieram wejściowe drzwi i wypuszczam ją w półmrok. Potem wracam, ubieram się, podnoszę pokrywę skrzyni na drewno, w której na szczęście jest dość polan, i rozpalam w piecu tak pedantycznie, jak umiem. Nigdy mi się nie udaje za pierwszym razem, co potrafił mój ojciec, ale jeśli człowiek się nie spieszy, to w końcu ogień zaczyna płonąć. Mojej siostrze nigdy to nie wychodziło. Miała do dyspozycji suche drewno, gazety i piec z dobrym ciągiem, ale z wyjątkiem papieru nic nie chciało się jej zapalić. Pytała mnie: Jak to możliwe, że powstaje pożar? Możesz mi to wytłumaczyć? Tęsknię za siostrą. Ona też zmarła trzy lata temu. Na raka. Nic nie mogli zrobić, za późno zgłosiła się na leczenie. Z czasem zaprzyjaźniły się z moją żoną. Wieczorami często rozmawiały przez telefon, komentując to, co dzieje się na świecie. Czasami komentowały mnie i zaśmiewały się do rozpuku z chłopca w złotych spodniach, jak mnie nazywały. Mówiły: zawsze byłeś chłopcem w złotych spodniach, nie zaprzeczaj, i śmiały się. To chyba siostra pierwszy raz przyrównała mnie do szczęściarza ze szwedzkiej książki dla dzieci, który ilekroć sięgnął do kieszeni, wyjmował z niej banknot. Mnie to określenie nie przeszkadzało, w ich śmiechu nigdy nie było złośliwości, miały po prostu poczucie humoru i chciały ze mnie pożartować. Ja sam zawsze cechowałem się poważniejszym usposobieniem, ale z tym też można przesadzić. Zresztą się nie myliły, miałem szczęście. Mówiłem to już wcześniej.

W ciągu miesiąca obie umarły, a po ich odejściu właściwie przestała mnie interesować rozmowa z innymi ludźmi. Nie bardzo wiem, o czym miałbym z kimś rozmawiać. To jeden z powodów, dla których tu mieszkam. Inny powód to las. Stanowił część mojego życia przed wieloma laty jak nic innego później, a potem zniknął na długi, długi czas, i kiedy nagle wokół mnie zrobiło się zupełnie cicho, zrozumiałem, jak bardzo za nim tęskniłem. Wkrótce nie myślałem już o niczym innym i by uniknąć również własnej natychmiastowej śmierci, musiałem przenieść się do lasu. Takie miałem poczucie, po prostu. Ono wciąż we mnie tkwi.

Włączam radio. Sam środek porannych wiadomości na P2. Rosyjskie granaty sypią się na Groźny. Znow się zaczęło. Ale oni nigdy w pełni nie wygrają, to się samo przez się rozumie. Zrozumiał to już Tolstoj w *Hadzim-Muracie*, a to opowiadanie zostało napisane sto lat temu. Właściwie niepojęte, że wielkie państwa nie są w stanie nauczyć się tej lekcji, pojąć, że to one same w końcu się rozpadną. Ale jasne, że można zniszczyć całą Czeczenię. Dzisiaj to trochę bardziej możliwe niż sto lat temu.

W piecu przyjemnie trzaska. Otwieram pojemnik z chlebem i kroję sobie kilka kromek, nastawiam wodę na kawę i słyszę krótkie ostre szczeknięcie Lyry na progu. To jej

sposób dzwonienia do drzwi, łatwy do odróżnienia od wszystkich innych odgłosów, jakie wydaje. Wpuszczam ją z powrotem. Wchodzi i kładzie się przy piecu, który powoli się rozgrzewa. Nakrywam stół do śniadania dla siebie i szykuję w miseczce jedzenie dla Lyry, ale ona musi poczekać. To ja jestem szefem. Jem pierwszy.

Dzień już wstaje, tam, za lasem. Wychylam się i wyglądam przez okno, zaskakuje mnie widok roztaczający się w świetle dnia. Moje drzewo podwórzowe, wielka stara brzoza, przewróciła się na wietrze i leży niewyobrażalnie wielka między szopą a samochodem, najwyższe gałęzie sięgają niemal do kuchennego okna, kilka wzniosło się nad bagażnik na dachu samochodu, a jeszcze inne zerwały rynnę z szopy i wygięły ją w wielką literę V, więc wisi teraz, zasłaniając drzwi do drewnutni. Dobrze, że napełniłem drewnem skrzynię w kuchni.

To wyjaśnia huk, który usłyszałem w nocy. Wstaję mechanicznie, żeby wyjść, ale to na razie nie ma sensu. Ta brzoza donikąd nie ucieknie. Wracam więc do posiłku, wyglądam przez okno i próbuję opracować plan usunięcia tej olbrzymki, która na miejsce spoczynku wybrała sobie moje podwórze. Przede wszystkim muszę oswobodzić samochód, to oczywiste, a potem go przestawić. Najpierw trzeba obciąć gałęzie, również te przed drewnutnią, żeby zobaczyć, czy da się tam wejść. Muszę mieć drewno i muszę jeździć samochodem. To najważniejsze. Trzeba koniecznie znów naostrzyć piłę, przecież tak długo używałem jej wczoraj, może będę potrzebował też więcej benzyny i oleju, powinienem to sprawdzić, bo nagle nie pamiętam, jeśli tak, muszę po to pojechać, a samochód prawdopodobnie jest unieruchomiony. Czuję, że zaczyna mnie ogarniać panika, nie rozumiem dlaczego. Przecież to żaden kryzys. Jestem tu dobrowolnie. Mam dość jedzenia w lodówce i wodę w kranie, mogę iść tak daleko, jak zechcę, jestem sprawny i mam mnóstwo czasu. Ale czy na pewno? Wydaje mi się, że tak nie jest. Wydaje mi się, że absolutnie tak nie jest. Nagle zaczyna mi się spieszyć. W każdej chwili mogę umrzeć, w tym właśnie tkwi problem, ale wiem to już od co najmniej trzech lat; do tej pory wcale mnie to nie obchodziło i dalej tak jest. Patrzą na brzozę. Drzewo zajmuje niemal całe podwórze i jest takie wielkie, że zasłania wszystko. Szybko wstaję od stołu, idę do sypialni i kładę się na łóżku w ubraniu, całkowicie wbrew regułom, które staram się stosować, wpatruję się w sufit, w głowie mi wiruje jakby koło ruletki, kulka przeskakuje z czerwonego na czarne i znów na czerwone, w końcu nieruchomieje w przegródce, to oczywiście przegródka przeznaczona na lato 1948, a konkretniej na ten dzień, w którym lato się skończyło. Stałem pod dębem przed sklepem, spoglądałem w górę i widziałem drżące, ruchome promienie światła, które prześwietlały szeleszczące liście, gdy pojawiał się wiatr, przez krótkie momenty światło mnie oślepiało, kazało boleśnie mrugać, a z oczu płynęły mi łzy, zamknąłem je więc i poczułem czerwone gorąco na powiekach, a za

plecami słyszałem rzekę, tak samo jak codziennie przez dwa miesiące, i zastanawiałem się, jak to teraz będzie, gdy nie będę jej więcej słyszał.

Pod dębem było gorąco. Poczulem się śpiący. Tego dnia wstaliśmy wczesnie i zjedliśmy śniadanie, prawie nic nie mówiąc, a potem przeszliśmy z chaty zwirową drogą przez most, mijając należący do Franza dom, do którego słońce wpadało przez otwarte drzwi, kładło się jasną smugą na chodniku i ukosem oświetlało jedną ścianę, ale samego Franza nigdzie nie było widać, zrobiło mi się z tego powodu przykro.

Autobus czekał w słońcu i trząsał się, bo silnik diesla już pracował. Miałem wracać ze wsi do domu długą drogą do Oslo z przesiadką na pociąg w Elverum. Ojciec stał tuż za mną z ręką na mojej głowie, lekko zwichrzył mi włosy, pochylił się i powiedział:

– Będzie dobrze. Wiesz, gdzie masz wysiąść przy dworcu w Elverum, po której stronie staje pociąg i kiedy odjeżdża.

Ciągnął, wymieniając kolejne szczegóły, a wszystko to mówił tak, jakby miało jakieś znaczenie, jak gdybym ja przy swoich piętnastu latach nie był w stanie odbyć tej podróży sam bez instrukcji. W rzeczywistości czułem się znacznie starszy, ale nie znałem żadnego sposobu, by to okazać, a nawet gdybym go znał, ojciec raczej nie potrafiłby tego zaakceptować.

– To było niezwykle lato – stwierdził. – Myślę, że co do tego obaj się zgodzimy.

Wciąż stał za mną z ręką w moich włosach, ale już ich nie mierzwił, tylko mocno ścisnął, sprawiając mi niemal ból. Chyba nie rozumiał, co robi, a ja nie powiedziałem nic, żeby mnie puścił. Znow nachylił się nade mną i dodał:

– Ale takie jest już życie. Uczysz się, kiedy dzieją się różne rzeczy. Szczególnie w twoim wieku. Musisz to po prostu przyjąć i pamiętać, żeby później o tym pomyśleć, nie zapomnieć i nigdy nie popaść w rozgoryczenie. Masz prawo myśleć, rozumiesz?

– Tak – odparłem głośno.

– Rozumiesz? – powtórzył, a ja znow powiedziałem „tak” i kiwnąłem głową, on dopiero wtedy pojął, jak mocno trzyma mnie za włosy, puścił je ze śmiechem, którego nie potrafiłem odczytać, bo przecież nie widziałem jego twarzy. Słyszałem, co mówił, ale nie wiedziałem, czy to rozumiem. Jak mogłem rozumieć? Nie pojmowałem też, dlaczego on użył akurat tych słów, ale od tamtej pory rozmyślałem o tym tysiąc razy, wkrótce potem obrócił mnie, ścisnął za ramię i jeszcze raz przeczesał mi włosy, patrząc na mnie zmrużonymi oczami z tym swoim półśmiechem, który tak lubiłem.

– Pojedziesz teraz tym autobusem, w Elverum przesiądziesz się na pociąg, który zawiezie cię do Oslo, a ja tutaj skończę i kiedy się ze wszystkim uporam, to też przyjadę. W

porządku?

– Tak – odparłem. – W porządku.

Poczułem lodowate ściskanie w dole brzucha, bo to nie było w porządku. Słyszałem te słowa już wcześniej, a wielkie pytanie, które później stale sobie zadawałem, brzmiało: Czy zdarzyło się coś, nad czym on nie panował, czy też już wtedy wiedział, że nigdy nie przyjedzie. Że widzimy się po raz ostatni.

Oczywiście, wsiadłem do autobusu, zająłem miejsce na siedzeniu, trzymając plecak na kolanach, odwróciłem się i przez szybę wpatrywałem w sklep, w most na rzece i w ojca, który stał tam, wysoki, czarnowłosy i chudy w migotliwych cieniach pod dębem, i w niebo, które nigdy nie było rozleglejsze ani bardziej błękitne niż latem 1948 roku nad tą właśnie wsią, a potem autobus, zataczając wielkie półkole, wyjechał na drogę. Przycisnąłem nos do szyby, gapiąc się w chmurę kurzu, która powoli wznosiła się na zewnątrz i skrywała mego ojca w plątaniu szarości i brązów, i zrobiłem wszystko, co należy zrobić w takiej sytuacji, podczas takiej sceny, zerwałem się prędko i środkowym przejściem między parami siedzeń przebiegłem na tylną kanapę, wskoczyłem na nią kolanami, przyłożyłem dłoń do szyby i patrzyłem na drogę, aż sklep, dąb i mój ojciec zniknęli za zakrętem; zrobiłem wszystko to, o czym tak dokładnie mnie poinstruowano na filmie, który wszyscy widzieliśmy, a w którym owo brzemienne w skutki pożegnanie jest punktem kulminacyjnym, po nim życie głównych bohaterów zmienia się na zawsze, obierając nowe nieoczekiwane kierunki, czasami niezbyt przyjemne, a wszyscy widzowie w sali kinowej doskonale zdają sobie sprawę z tego, co nastąpi. Jedni zatykają usta, inni ściskają zębami chusteczki, podczas gdy łzy płyną im z oczu, a jeszcze inni na próżno usiłują przełknąć kulę w gardle, mrużąc oczy do ekranu, który rozlewa się w mieszaninie kolorów, niektórzy są tak wściekli, że wręcz wstają i opuszczają kino, ponieważ w życiu uczestniczyli w podobnej scenie i nigdy sobie tego nie wybaczyli; właśnie jeden z tych podrywa się z siedzenia i w ciemności woła: „Ty przeklęty durniu!”, do człowieka pod dębem, którego zasłania teraz głową, robi to w imieniu własnym i moim, a ja dziękuję za wsparcie. Chcę jednak podkreślić, że ja tego dnia nie wiedziałem, co się stanie. Nikt mi tego nie powiedział! Nie miałem żadnych przesłanek pozwalających zrozumieć, co zawiera scena, w której właśnie uczestniczyłem. Biegałem tylko po autobusie między moim siedzeniem a tylną szybą, ogarnięty nagłym, niewyjaśnionym niepokojem, siadałem i znów się zrywałem, chodziłem po środkowym przejściu, zajmowałem zupełnie inne miejsca i z nich też wstawałem, kręciłem się tak, dopóki byłem jedyną osobą w autobusie. Widziałem oczy kierowcy śledzące mnie w lusterku, choć jednocześnie musiał manewrować po krętej

szutrowej drodze, wyraźnie go to denerwowało, ale nie mógł przestać patrzeć i nic nie mówił. Później na przystanku w połowie drogi do Innbygdá, tam, gdzie rzeka skręcała i znikwała w lesie, płynąc w stronę Szwecji, wsiadły jakieś dwie rodziny, ciągnęły ze sobą dzieci, psy i plecaki, a jakaś pani wiozła w klatce kure, która nie przestawała gdakać, wtedy zmusiłem się, żeby usiąść spokojnie na swoim miejscu i w końcu zasnąłem z głową przyciśniętą do wibrującej szyby, z szumem silnika w uszach.

Otwieram oczy. Głowa ciąży mi na poduszce. Zasnąłem. Unoszę rękę i patrzę na zegarek. Tylko pół godziny, ale to do mnie niepodobne, przecież dopiero co wstałem, w dodatku za późno. Czyżbym był aż tak zmęczony?

W oknie jest zupełnie jasno. Siadam prędko, jednocześnie przerzucając nogi przez krawędź łózka, ale wtedy zaczyna mi się kręcić w głowie tak gwałtownie, że lecę w przód i nie daję rady się zatrzymać, za oczami mi iskrzy i osuwam się na podłogę, lądując na barku. Słyszę własne sieknięcie, głośnie i dziwnie obce, rozlegające się w momencie, gdy upadam. Leżę tak. Boli. Niech to cholera. Oddycham ostrożnie, nie napinając się. To nie jest łatwe. Za wcześnie, żebym umierał. Mam dopiero sześćdziesiąt siedem lat, jestem sprawny. Trzy razy dziennie chodzę z Lyrą na spacer, odżywiam się zdrowo, od dwudziestu lat nie palę. To powinno wystarczyć. W każdym razie nie chcę umierać w ten sposób, leżąc na podłodze. Pewnie powinienem się teraz poruszyć, ale brakuje mi odwagi, bo może mi się nie uda i co wtedy zrobię? Nie mam nawet telefonu. Odkładałem tę decyzję, nie chciałem być dostępny. Oczywiście, inni przez to też nie są dostępni dla mnie, to się samo przez się rozumie. Szczególnie teraz.

Zamykam oczy i leżę zupełnie nieruchomo. Podłoga pod policzkiem jest zimna, pachnie kurzem. Słyszę, jak Lyra oddycha przy piecu w kuchni. Już dawno powinniśmy byli wyjść na spacer, ale ona jest cierpliwa, nie marudzi. Czuję lekkie mdłości. Może to jakiś objaw, który powinien mi coś powiedzieć. Nie mówi mi nic. Po prostu jest mi niedobrze. W końcu zaczynam się irytować, mocno zaciskam oczy, spojrzenie kieruję wewnątrz siebie i obracam się tak, by kolana znalazły się pode mną, ręką opieram się o futrynę i ostrożnie się podnoszę. Nogi mi się trzęsą, ale jakoś to idzie. Zaciskam oczy, dopóki zawrót głowy nie minie, a potem je otwieram i spoglądam wprost na Lyrę, która stoi tuż przede mną w kuchni, patrząc mi z ukosa w oczy swoim mądrym, uważnym spojrzeniem.

– *Good dog* – mówię bez cienia wstydu. – Idziemy na spacer.

I rzeczywiście idziemy. Wychodzę do sieni na lekko drżących nogach, wkładam kurtkę i zapinam ją bez większych trudności, przekraczam próg z Lyrą depczącą mi po

piętach i wciągam buty. Intensywnie wsłuchuję się w siebie, sprawdzając, czy coś się nie popsulo w tej delikatnej maszynierii, jaką jest stare ciało, ale niełatwo uzyskać pewność. Oprócz mdłości i obolałego barku wszystko wydaje się normalne. Może mam w głowie jakąś lekkość, nieco większą niż zazwyczaj, ale pewnie nic w tym dziwnego, skoro podniosłem się, chociaż już mnie liczono.

Staram się nie patrzeć na brzozę, to trudne, ponieważ niewiele jest innych miejsc, na których dałoby się zatrzymać wzrok, bez względu na to, w którą stronę się obróć, ale mrużę oczy i idę tuż przy ścianie domu, okrążając najdłuższe gałęzie, jedną muszę odgiąć, potem kolejną, w końcu wydostaję się na podjazd i odwrócony plecami do podwórza ruszam w dół z bocza ku rzece i chacie Larsa, przede mną Lyra żółto tańczy na drodze. Skręcam na ścieżkę przy moście i idę z prądem rzeki, aż w końcu zatrzymuję się przy brzegu, niemal u samego ujścia. Listopad. Widzę ławkę, na której siedziałem wczoraj wieczorem w wietrznej ciemności, dwa blade łabędzie na szarej wodzie zatoki, nagie drzewa na tle wyblakłego wczesnego słońca, matowozielony świerkowy las po drugiej stronie jeziora w mlecznej mgłę od południa. Zupełnie niezwykła cisza, jak w niedzielny poranek, kiedy byłem mały, albo w Wielki Piątek. Pstryknięcie palcami brzmi jak wystrzał strzelby. Ale słyszę, że Lyra sapie za mną, słońce w kolorze blond kłuje w oczy i nagle nie jestem w stanie dłużej panować nad mdłościami, staję na ścieżce i wymiotuję w zwiędłą trawę. Zamykam oczy, kręci mi się w głowie, do diabła, coś mi jest. Unoszę powieki. Lyra stoi i patrzy na mnie, a potem podchodzi i obwąchuje to, co z siebie wyrzuciłem.

– Zostaw! – mówię, ostro jak na siebie. – Odejdź stąd! – A ona zawraca i biegnie dalej ścieżką, zatrzymuje się i ogląda na mnie, pełna zapału, z jęzorem wywieszonym z pyska.

– Tak, tak – mruczę. – Tak, tak, pójdziemy dalej.

Znów ruszam. Mdłości nieco ustąpiły i jeśli zachowam spokój, to chyba zdołam obejść jezioro. Ale czy na pewno? Zaczynam w to wątpić. Wycieram usta chusteczką i osuszam pot z czoła, dochodzę aż do skraju trzciny i osuwam się na ławkę. Znów tu siedzę. Jakiś łabędź ląduje na wodzie. Wkrótce jezioro skuje lód.

Zamykam oczy. Nagle przypominam sobie sen, który mi się przyśnił w nocy. Dziwne, nie pamiętałem go, gdy się obudziłem, ale teraz jest całkiem wyraźny. Byłem ze swoją pierwszą żoną w sypialni, ale nie w naszej, mieliśmy znacznie mniej niż czterdzieści lat, tego jestem pewien, czułem, że moje ciało jest młodsze. Przed chwilą się kochaliśmy, starałem się jak mogłem, a to zazwyczaj wystarczało aż nadto, w każdym razie tak sądziłem. Ona leżała w łóżku, a ja stałem przy komodzie, w lustrze widziałem siebie całego z wyjątkiem głowy. W tym śnie wyglądałem dobrze, lepiej niż w rzeczywistości. Ona odrzuciła kołdrę, pod nią była

naga i też prezentowała się dobrze, wręcz wspaniale, właściwie nawet dość obco i nie całkiem jak ta osoba, z którą żyłem. Popatrzyła na mnie tym spojrzeniem, którego zawsze się bałem, i powiedziała:

– Jesteś tylko jednym z wielu. – Usiadła naga i ościężała w znajomy mi sposób, we mnie wezbrało zniechęcenie, a jednocześnie lęk. Zawołałem:

– Nie w moim życiu! – I wybuchnąłem płaczem, bo wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie, zrozumiałem, że ze wszystkiego na świecie najbardziej się boję, że spotka mnie to, co człowieka na obrazie Magritte'a, człowieka, który przegląda się w lustrze i zawsze widzi tylko swój własny kark.

CZĘŚĆ II

Siedzieliśmy z Franzem w kuchni jego małego domku na pagórku nad rzeką. Zupełnie biały blask słońca padał przez okno na stół, każdy z nas miał przed sobą biały spodek i białą filiżankę z brunatnożółtą kawą nalaną z wyczyszczonego do połysku czajnika stojącego na piecyku, w którym Franz palił zawsze, i latem, i zimą, jak mówił, ale w lecie przy otwartych oknach. Kuchnia była pomalowana na ten niebieski kolor, tak powszechny tutaj, bo wiele osób uważało, może i słusznie, że odpędza muchy, a wszystkie meble Franz zrobił sam. Dobrze się czułem w tym pomieszczeniu. Dołałem do filiżanki trochę mleka z dzbanka, dzięki temu kawa stała się bardziej matowa, bliższa światłu i nie tak mocna; zmrużyłem oczy, wpatrzony w wodę przepływającą tuż za oknem, kołysała się, lśniła i migotała jak tysiące gwiazd, może jak Droga Mleczna jesienią, gdy tryska spieniona, wijąc się przez noc niekończącym się strumieniem, a ty leżysz nad fiordem w wielkiej ciemności, czując nacisk skały pod plecami, wpatrujesz się aż do bólu oczu i przygniata cię ciężar przestrzeni kosmicznej w całej jej rozciągłości, uciska ci pierś, aż ledwie możesz oddychać, lub odwrotnie, unosisz się, znikasz jak płatek ludzkiego ciała w bezkresnej próżni i nigdy nie wracasz. Już samo myślenie o tym jest jak znikanie.

Odwróciłem głowę i popatrzyłem na czerwoną gwiazdę na przedramieniu Franza. Żarzyła się w słońcu i falowała niczym symbol na środku jakiejś flagi za każdym razem, gdy Franz poruszał palcami lub zaciskał pięść. Robił to często. Prawdopodobnie był komunistą. Wielu robotników leśnych było komunistami, nie bez powodu, jak twierdził mój ojciec.

A oto co mi opowiedział Franz:

To było w roku 1942. Mój ojciec przyszedł z lasu od północy, szukając jakiegoś miejsca blisko granicy, w którym mógłby się przyczołgać, gdy będzie prznosił do Szwecji dokumenty, listy, a czasami filmy dla ruchu oporu, a później do niego wracać po wykonaniu zadania i zatarciu śladów, miejsca, z którego mógłby korzystać wielokrotnie. Nie spieszyło

mu się. Nie uciekał wtedy, a przynajmniej tak się nie zachowywał. Wcale nie próbował się ukrywać, był otwarty i życzliwy wobec wszystkich, z którymi się zetknął. Mówił, że potrzebne mu miejsce, gdzie mógłby pomyśleć, i z jakiegoś powodu nikt nie wątpił w to wyjaśnienie. Pochodził stamtąd. Byłeś tam, pytano, gdy ktoś wracał do domu po nieczęstej wizycie w stolicy. Ludzie tam byli inni, każdy o tym wiedział. Nie ma się więc czemu dziwić. On chciał mieć miejsce, w którym mógłby myśleć. Inni myśleli tam, gdzie szli i stali. Nie ma o czym dyskutować.

Jedynie Franz miał pojęcie, do czego tak naprawdę mój ojciec zamierzał wykorzystać to miejsce. Ci dwaj wiedzieli o sobie już wcześniej, ale spotkali się dopiero tego dnia, gdy mój ojciec stanął u niego w progu i wypowiedział słowa umówione zawczasu:

– Pójdiesz ze mną? Idziemy kraść konie.

Odwrociłem się od okna i patrząc na Franza, spytałem:

– Co ty mówisz? Co on powiedział?

– Powiedział: idziemy kraść konie. Nie wiem, kto to wymyślił. Może sam twój ojciec.

W każdym razie nie ja. Ale wiedziałem, co powie. Przysłano mi wiadomość autobusem z Innbygda.

– Aha.

– Od razu go polubiłem. Naprawdę – oświadczył Franz.

Kto go nie lubił? Mojego ojca lubili mężczyźni i lubiły go kobiety. Nie znałem nikogo, kto by go nie lubił. No, może z wyjątkiem ojca Jona, ale tu chodziło o coś innego, wierzyłem, że właściwie nie mają nic przeciwko sobie nawzajem i w innych okolicznościach z łatwością by się zaprzyjaźnili. Dziwne natomiast było co innego. W życiu miałem okazję wielokrotnie się przekonać, że ten, kto jest tak lubiany przez innych, często miewa zatarte kontury, jest miękki i schodzi z drogi, by nie prowokować. Mojego ojca to nie dotyczyło; co prawda często się uśmiechał i dużo śmiał, ale dlatego że to leżało w jego naturze, a nie po to, by zaspokajać czyjąś potrzebę harmonii w otoczeniu. W każdym razie nie moją, a ja lubiłem go bardzo, chociaż czasami potrafił wprawić mnie w zażenowanie, chyba głównie dlatego, że nie znałem go tak, jak chłopiec powinien znać swojego ojca. W minionych latach często bywał nieobecny, a kiedy Niemcy weszli do kraju, mijały niekiedy całe miesiące, podczas których go nie widywałem, gdy zaś wreszcie wracał do domu i przez pewien czas chodził ulicami jak zwykły człowiek, był jakiś inny w sposób, którego nie umiałem określić. Zmieniał się trochę za każdym razem, musiałem więc bardzo się koncentrować, żeby go pojąć.

Mimo to nigdy nie miałem wątpliwości, że wraz z siostrą zajmuję bardzo szczególne

miejsce w jego sercu, może nawet większe niż ona, ponieważ byłem chłopcem, a on mężczyzną, i nigdy nawet nie zaświtało mi w głowie, że mógłby nie myśleć o mnie często i długo, kiedy przebywał gdzie indziej. Jak wtedy, w 1942 roku, gdy ja zostałem w Oslo, w domu nad fiordem, codziennie chodziłem do szkoły i marzyłem o podróżach, w które wyruszymy, gdy tylko Niemcy zostaną pokonani i znikną na zawsze, a on w tym czasie przyjechał do tej wsi, poszukując miejsca, gdzie mógłby myśleć, jak mówił, i które mógłby wykorzystywać jako kryjówkę i bazę swoich wypadów do Szwecji z dokumentami, a czasami filmami dla ruchu oporu.

To Franz osobiście pokazał mojemu ojcu letnią zagrodę, którą nikt się nie zainteresował podczas licytacji jeszcze przed wojną i która stała pusta już czwarty rok. Barkald złożył ofertę na gospodarstwo i kupił je za śmieszłą cenę, właściwie więc formalnie to on był właścicielem zagrody. Nie przynosiła mu żadnej korzyści, pozwolił więc, by się rozpadała. Obora już się zawałiła, ale i tak nie było żadnego bydła, które można by do niej wprowadzić, a mojemu ojcu to miejsce spodobało się od razu. Zwłaszcza ze względu na położenie na wschodnim brzegu rzeki w odległości dwudziestu minut piechotą od najbliższego mostu, a ponadto za letnimi zagrodami nie było już innych zabudowań, nawet leśnego szałas, daleko w głąb po szwedzkiej stronie granicy. Ale nie tylko to zdecydowało. Franz uważał, że mój ojciec po prostu lubił tu być. Z przyjemnością wykonywał zajęcia niezbędne, by budzić należyte zaufanie, i zajmował się rzeczami, które po prostu należało zrobić, kosił trawę, uprzątał szczątki obory i je palił, układał dachówki, czyścił zarośla wzdłuż brzegu rzeki, naprawiał dach i wymieniał wiatrownice, wstawiał nowe szyby w miejsce starych, popękanych. Uszczelnił piec. Wyczyścił komin. Zbił dwa nowe krzesła. Robił wszystko to, co przychodziło mu z łatwością, a na co nie miał czasu albo dość swobody w Oslo, gdzie wynajmowaliśmy trzy pokoje z kuchnią na piętrze w dużej dwupiętrowej willi w stylu szwajcarskim na Nielsenbakken koło stacji Ljan z widokiem na wewnętrzny Oslofjorden i Bunnefjorden.

Nie zamierzał przyjeżdżać tam na długo, tylko na tyle, by ludzie przyzwyczaili się do jego widoku na drugim brzegu rzeki, gdzie wspinał się na dach, kręcił po podwórzu albo siedział na którymś z głazów nad brzegiem i myślał, bo, jak mówił, do tego potrzebował wody w pobliżu. To również wydawało się trochę dziwne, lecz tak samo nie podlegało dyskusji. Widywali go z pustym plecakiem przerzuconym przez ramię idącego przez łąkę Barkalda do sklepu mniej więcej w porze, gdy przyjeżdżał autobus z Innbygda i Elverum, albo wracającego z zakupami i innymi rzeczami. Ale za każdym razem, gdy już wyprawił się do Szwecji i pod osłoną nocy z powrotem przekroczył granicę, dostarczywszy to, co miał

dostarczyć, temu, kto miał to otrzymać, stwierdzał, że jest jeszcze coś, co musi uporządkować lub naprawić przed powrotem do Oslo. Tym samym zostawał trochę dłużej i przed wyjazdem kolejny raz kosił trawę albo murował komin na dachu, bo pękł od szczytu i groził zawaleniem, a dachówki mogły pospadać i zranić kogoś w głowę; w ten sposób w ciągu paru lat zbudował swoje drugie życie, o którym my, jego rodzina w Oslo, nic nie wiedzieliśmy. Nie żebym myślał w ten sposób, kiedy siedziałem z Franzem w jego kuchni, a on opowiadał mi o moim ojcu, który już ponad pięć lat wcześniej urządził się w zrujnowanej letniej zagrodzie Barkalda, zapewniając sobie kryjówkę jako ostatniemu ogniwu kurierskiej linii do Szwecji w drugim roku wojny w Norwegii, i uruchomił to, co nazywano „komunikacją”. Dopiero po latach zrozumiałem, że tak musiał to traktować. Tyle samo czasu spędzał w wiosce nad rzeką, co z nami w domu nad Bunnefjorden. Ale my nie wiedzieliśmy i mieliśmy się nie dowiedzieć, że chodzi wyłącznie o jedno miejsce ani tego, gdzie ono się znajduje. Nigdy nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest ojciec. Znikał, a potem nagle znów wracał do domu, po tygodniu albo po miesiącu, nauczyliśmy się więc żyć bez niego, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Ale ja przez cały czas o nim myślałem.

Wszystko, co opowiadał Franz, było dla mnie nowe, lecz nie miałem najmniejszych powodów, by wątpić w którekolwiek z jego słów. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego on mówi mi o tamtych czasach, skoro nie zrobił tego mój ojciec, ale nie wiedziałem, czy mogę go o to spytać, czy otrzymam odpowiedź, z którą będę umiał żyć, bo on z pewnością sądził, że już o wszystkim wiem i bawi mnie słuchanie innej wersji. Zastanawiałem się również, dlaczego ani mój kolega Jon, ani jego matka, ani ojciec, ani sklepikarz, z którym tak często rozmawiałem, ani Barkald, ani ktokolwiek inny, do cholery, nie wspomniał mi, że mój ojciec zaledwie cztery lata wcześniej tak często bywał w tej wiosce, wprawdzie na drugim brzegu rzeki, gdzie znajdowały się letnie zagrody, lecz mimo wszystko można go było uznać za stałego mieszkańca. Ale o to nie spytałem.

W jednym z gospodarstw położonych najbliżej kościoła i sklepu stacjonował na stałe niemiecki patrol. Po prostu zajęli główny budynek mieszkalny, a całą rodzinę przegonili do chaty starych gospodarzy na dożywociu, w której już wcześniej było ciasno, i często, lecz nie zawsze, na żwirze przy moście stał wartownik. Miał pistolet maszynowy na rzemiennym pasie przewieszony przez ramię i papierosa w ustach, gdy nikt z jego towarzyszy go nie widział. Czasami nawet przysiadł na kamieniu, pistolet kładł przed sobą, ściągał hełm z głowy i długo, z przyjemnością drapał się mocno w przyklepane włosy, pałac i wpatrując się

w ziemię między kolanami i wyczyszczonymi do połysku butami, dopóki papieros nie wypalił się aż do palców, a on wstawał wtedy z niechęcią. Za plecami miał bystrze rzeki, płynęła z szumem, nigdy nie zmieniając tonu, przynajmniej on żadnej zmiany nie słyszał; nudzili się tutaj, nic się tu nie działo, wojna toczyła się gdzie indziej. Ale to i tak było lepsze niż front wschodni.

Kiedy mój ojciec decydował się iść tamtędy, przez most, obok domu Franza i dalej wąską szutrową drogą wzdłuż wschodniego brzegu rzeki, najpierw przystawał i rozmawiał z wartownikiem, bo całkiem dobrze mówił po niemiecku; wiele osób znało wtedy niemiecki, jeszcze długo w latach siedemdziesiątych obowiązkowo nauczano go w szkole, czy się tego chciało, czy nie. Wartownicy się zmieniali, lecz byli do siebie na tyle podobni, że mało kto dostrzegał różnicę, niewielu zresztą się tym interesowało, ludzie starali się raczej udawać, że oni nie istnieją, a niemiecki, którego się uczyli, poszedł nagle w zapomnienie. Ale mój ojciec już wkrótce doskonale wiedział, skąd który z nich pochodzi, czy mają żony w Niemczech, czy wolą piłkę nożną od lekkoatletyki, a może raczej pływanie, czy tęsknią za matką. Byli dziesięć-piętnaście lat młodszy od niego, czasami nawet więcej, a on rozmawiał z nimi troskliwym tonem, czego nie mogli się spodziewać po innych. Franz ze swojego okna widział, jak mój ojciec staje przed mężczyzną w szarozielonym mundurze, prawie jeszcze chłopcem, jak proponują sobie nawzajem papierosy, jeden przypala drugiemu w zależności od tego, kto kogo częstował, i trzyma zapalniczkę, osłaniając ją dłonią, chociaż wcale nie wiało, jak nachylają się do siebie, wyginając plecy w poufale łuk nad płomieniem, a jeśli to się działo wieczorem, na ich twarzach pojawiała się żółta poświata, stali na żwirze w zastygłym powietrzu, rozmawiali i palili, dopóki papierosy nie zmieniły się w niedopałki i nie zgasił ich na ziemi obcasami, potem mój ojciec unosił rękę i mówił: *Gute Nacht*, by usłyszeć pełne wdzięczności *Gute Nacht* w odpowiedzi. Przechodził przez most, uśmiechając się do siebie, i dalej szedł drogą w stronę zagrody, niosąc poszarzały ze starości plecak i jego zawartość. Miał świadomość, że jeśli nagle zrobi coś nieoczekiwanego, na przykład gwałtownie się odwróci albo zacznie biec, to ten sympatyczny niemiecki chłopak z całą pewnością błyskawicznie zerwie pistolet maszynowy z ramienia i krzyknie: *Halt!*, a jeśli ojciec się nie zatrzyma, to pewnie dostanie serię kul i być może zginie.

Kiedy indziej szedł główną drogą z nieco bardziej wypchanym plecakiem, skręcał przez łąki Barkalda wzdłuż ogrodzenia i przepływał łodzią przez rzekę. Machał ręką napotkanym ludziom, czy to Niemcom, czy Norwegom, i nikt go nie zatrzymywał. Wiedzieli, kim jest; był człowiekiem reperującym starą zagrodę na zlecenie Barkalda, wcześniej wypytawali Barkalda, który to potwierdził, już trzy razy byli w zagrodzie, znaleźli tam dużo

narzędzi i dwie książki Hamsuna, *Pana* i *Głód*, które mogli zaakceptować, ale nigdy nie odkryli nic podejrzanego. Był człowiekiem, który regularnie wyjeżdżał z wioski autobusem i przepadał na jakiś czas, bo miał więcej zleceń tego rodzaju, a jego zaświadczenie mieszkańca terenów przygranicznych i inne dokumenty nie budziły żadnych wątpliwości.

Przez dwa lata mój ojciec utrzymywał „komunikację”, latem i zimą, kiedy zaś jego nie było akurat w zagrodzie, a sytuacja tego wymagała, ostatni dystans przez granicę pokonywał ktoś z wioski, czasami Franz lub matka Jona, jeśli mogła się wyrwać, ale wtedy to przestawało być bezpieczne, bo przecież wszyscy się tu znali i byli zorientowani w swoich zwyczajach, a każda odmiana zostawała od razu zauważona i odnotowana w rejestrze cudzych poczynań do późniejszego wykorzystania. Ojciec jednak wracał i ci, którzy mieli nie wiedzieć o „komunikacji”, wciąż pozostawali w nieświadomości. Między innymi ja, moja matka i moja siostra. Czasami odbierał „pocztę” sam, wprost z autobusu albo za pośrednictwem sklepu, zarówno przed, jak i po zamknięciu, niekiedy matka Jona zawoziła mu przesyłkę, gdy przepływała przez rzekę z jedzeniem, co robiła często na polecenie Barkalda, bo pracownik musiał przecież coś jeść, a przynajmniej tak miało to wyglądać, jakby sam nie potrafił obchodzić się z kuchnią i musiał mieć do pomocy kobietę. To, moim zdaniem, mogło trochę dziwić, bo skoro umiał radzić sobie sam właściwie ze wszystkim, to dlaczego akurat w tym potrzebował pomocy. W rzeczywistości potrafił gotować równie dobrze jak moja matka, jeśli zachodziła taka konieczność, ja o tym wiedziałem, bo nie raz to obserwowałem i miałem okazję kosztować jego dań, może tylko był akurat w tym bardziej leniwy, więc kiedy zostawaliśmy sami we dwóch, jadaliśmy to, co nazywaliśmy „prostymi potrawami”. Z reguły jajka sadzone. Nie miałem nic przeciwko temu. Matka karmiła nas „pełnowartościowymi posiłkami”, przynajmniej wtedy, gdy mieliśmy pieniądze. Nie zawsze tak było.

Ale matka Jona przepływała przez rzekę raz albo dwa razy w tygodniu, z jedzeniem albo bez jedzenia, z „pocztą” albo bez „poczty”, jako ktoś w rodzaju kucharki mojego ojca, aby on mógł od czasu do czasu zjeść pełnowartościowy posiłek, nie rozchorować się i nie osłabnąć od jednostajnego pożywienia, ku jakiemu zwykle skłaniają się mieszkający samotnie mężczyźni, i w wyniku tego nie wykonać pracy, którą mu wyznaczono. Tak przynajmniej twierdził Barkald, kiedy przychodził do sklepu.

Ojciec Jona nie brał w tym udziału. Nie sprzeciwiał się, a przynajmniej nigdy przy nikim, w każdym razie przy Franzu, nic takiego nie powiedział, ale nie chciał mieć nic wspólnego z „komunikacją”. Za każdym razem, gdy coś miało się dziać, patrzył w inną

stronę. Patrzył w inną stronę, kiedy jego żona szła nad rzekę z koszykiem i wsiadała do pomalowanej na czerwono łodzi, żeby popłynąć do swojego ojca. Patrzył w inną stronę nawet wtedy, gdy jakiegoś nieznanego mężczyznę w miejskim kapeluszu na głowie, ściskającego w rękach mocno obwiązaną sznurkiem walizkę, w zupełnej ciszy wprowadzono o zmierzchu do jego własnej stodoły i posadzono samego przy kole od wozu, oniemiałego, ubranego od parady, by czekał, aż zapadnie ciemność. A kiedy tego samego człowieka nocą przeprowiono łodzią przez rzekę, wcześniej zaś bezszelestnie przeprowadzono przez podwórze do pomostu, bez jednego słowa i bez najmniejszego błysku światła, również tego nie komentował, ani wtedy, ani później, chociaż ten człowiek był pierwszym z wielu, bo teraz już nie tylko samą „pocztę” przierzucano przez granicę do Szwecji.

Była późna jesień, leżał śnieg, ale lód nie skuł jeszcze nigdzie jezior i po rzece też wciąż dawało się pływać. Dobrze się złożyło, bo pewnego dnia wcześniej rano, zanim kogut spadł z grzęd, jak wyraził się Franz, jakiś mężczyzna w garniturze wysadzony w ciemności na głównej drodze pomaszerował ze swoim plecakiem przez śnieg drogą aż na podwórze Jona i jego rodziny. Mężczyzna był w letnich butach z cienkimi podeszwami i marzył potwornie w szerokich spodniach, a nogi trzęsły mu się tak mocno, że kiedy matka Jona wyszła na próg w chuście na ramionach i z kocem pod pachą, nogawki falowały mu od bioder aż po lekkie pantofle. To był dziwny widok, opowiadała Franzowi po powrocie ze Szwecji w maju w czterdziestym piątym, przypominał numer cyrkowy. Dała przybyszowi koc i wskazała stodołę, miał się tam ukrywać w sianie przez wszystkie godziny białego dnia aż do nadejścia wieczoru, czyli przez mniej więcej dwanaście godzin, bo ciemno się robiło około piątej, a piąta rano była, kiedy nadszedł drogą. Ale ten człowiek nie wytrzymał. Zwariował w tej stodole, opowiadała matka Jona, około drugiej załamał się i wpadł w szał. Zaczął wykrzykiwać najdziwniejsze rzeczy, złapał metalową rurę i walił nią we wszystko dookoła, aż drzazgi fruwały od podłogi po dach, połamał kilka szprych w kole wozu do siana. Słysząc go było na podwórzu i pewnie dalej, nad rzeką, bo powietrze stało nieruchome i niosło jego krzyki nad wodę, a może nawet na drogę, którą Niemcy przejeżdżali co najmniej dwa-trzy razy dziennie, starając się zachować jak największą czujność. W sąsiedniej oborze zaniepokoiły się też zwierzęta, Bramina parskiała, napierając na boks, a krowy ryczały w swoich przegrodach, jakby wkrótce miała pojawić się wiosna i chciały wyjść na pastwisko, trzeba więc było działać, i to piekielnie szybko.

Mężczyzna musiał opuścić stodołę. Należało go wysłać w górę rzeki natychmiast. Ale na dworze było jasno, widoczność zbyt dobra przez bezlistne drzewa i śnieg na ziemi, na którego tle wszystko rysowało się zbyt wyraźnie, a pierwszy odcinek rzeki dawało się

zobaczyć z drogi. Tak czy owak, ten człowiek musiał opuścić gospodarstwo. Jon jeszcze nie wrócił ze szkoły, a bliźnięta bawiły się w kuchni, matka Jona słyszała, jak się śmieją, turlając się po podłodze i jak zawsze walcząc na niby. Po cichu włożyła ciepłe ubranie, czapkę i rękawice, zeszła po schodach i ruszyła przez podwórze w stronę stodoły, a w tym czasie jej mąż na otomanie obudził się i wstał; z całą pewnością puszcza teraz wodze fantazji, bo przecież nie mogę nic o tym wiedzieć, lecz jestem mimo wszystko przekonany, że jakiś obcy, przypominający ducha stwór wszedł do izby, kazał mu się poderwać i wypchnął go do sieni, gdzie wisiała naga żarówka, której nigdy nie gaszono, żeby świeciła w okienku, pomagając zbłąkanym znaleźć w nocy drogę przez ciemność, a także zdjęcie jego ojca z długą brodą w złoconej ramie nad rzędem kołków, i że oszołomiony stanął w samych skarpetkach w drzwiach otwieranych na zewnątrz, miały się tak otwierać, żeby śnieg przy zamieci nie sypał się do środka, ale teraz ojciec Jona nie był w ogóle w stanie patrzeć w inną stronę, tylko wpatrywał się w żonę. Ona wyraźnie czuła jego obecność, lecz się nie odwróciła, przekręciła tylko skobel i otworzyła wielkie wrota stodoły, weszła do środka i zniknęła na całą wieczność. On wciąż nie ruszał się z miejsca i jedynie patrzył. W końcu wyszła, ciągnąc za sobą obcego, ona w ciepłych butach i płaszczu, a on w letnich pantoflach i w garniturze, z szarym plecakiem na plecach; wcześniej dostał sweter do włożenia pod garnitur, więc marynarka zrobiła się ciasna i pofałdowana, przestała być elegancka. Żadnej metalowej rury czy innej broni już nie miał, a matka Jona musiała go niemalże podtrzymywać, zachowywał teraz pokorę, był niemal bezwładny i bez życia, może wycieńczony po swoim wybuchu, który go samego zaskoczył. W połowie drogi przez podwórze, minąwszy dom mieszkalny, matka Jona odwróciła się nagle i obejrzała za siebie. Na śniegu wyraźnie było widać ich ślady, najpierw ślady obcego na drodze do gospodarstwa, potem jej własne z domu, a na koniec obojga ze stodoły do punktu, w którym teraz stali. Odciski miejskich letnich pantofli rzucały się w oczy, różniły się od wszystkich typowych w okolicy o tej porze roku; matka Jona myślała o tym, patrząc w ziemię i przygryzając wargę, ale mężczyzna nie chciał dłużej stać w tym miejscu i zaczął ciągnąć ją za rękaw.

– Chodźmy. Musimy iść. – Ściszony, piskliwy głos brzmiał jak głos rozpieszczonego dziecka. Matka Jona podniosła głowę i spojrzała na męża, który wciąż tkwił w drzwiach. Był potężnym mężczyzną, całym sobą wypełniał otwór drzwiowy, nie przepuszczał nawet odrobiny światła.

– Musisz iść jego śladem – powiedziała. – Nie masz wyboru.

Coś w jego twarzy zastygło, gdy wymówiła te słowa, lecz ona tego nie zauważyła, bo mężczyzna w garniturze się zniecierpliwiał, puścił jej rękę i był już prawie przy pomoście,

pospieszyła więc za nim, oboje okrążyli dom i przepadli mu z oczu.

On dalej stał w skarpetkach, wpatrzony w podwórze. Wśród ciszy słyszał, jak wsiadają do łodzi, jak wiosła trafiają w dulki i ze stłumionym pluskiem po raz pierwszy dotykają wody, a potem rozległ się rytmiczny zgrzyt drewna o metal, kiedy jego żona zaczęła wiosłować silnymi rękami, znanymi mu tak dobrze z niezliczonych nocnych uścisków przez lata, które mieli za sobą. Kolejny raz płynęła w górę rzeki, by odwiedzić mężczyznę z Oslo przebywającego w letniej zagrodzie. Za każdym razem, gdy coś się działo, musiała tam płynąć, za każdym razem, gdy miało się wydarzyć coś ważnego, musiała tam płynąć, a teraz miała w łodzi roztrzęsionego głupka, pochodzącego prawdopodobnie z tego samego miasta, a był środek jasnego przejrzystego dnia wśród śniegu; rzucił ostatnie spojrzenie na podwórze i dokonał wyboru, którego miał później żałować. Zamknął drzwi, wrócił do izby i tam usiadł. Bliźnięta wciąż bawiły się w kuchni, słyszał je przez ścianę. Sądziły, że wszystko jest jak wcześniej.

Długo siedzę na ławce i patrzę na jezioro. Lyra biega w kółko. Nie wiem, co się dzieje. Coś ze mnie opada. Mdłości znikają, myśli stają się przejrzyste. Czuję się nieważki. To tak, jakby dostąpić wybawienia. Od śmierci na morzu, od natrętnych myśli, od złych duchów. Był tu egzorcysta i odszedł, zabierając ze sobą całe to obrzydlistwo. Oddycham swobodnie. Wciąż jest jakaś, przyszłość. Myślę o muzyce. Chyba kupię odtwarzacz CD.

Idę pod górę od mostu z Lyra depczącą mi po piętach i dostrzegam na moim podwórzu Larsa. W jednej ręce trzyma piłę spalinową, drugą zaciska na jednej z gałęzi brzozy. Szarpie za drzewo, lecz ono, z tego, co widzę, nawet nie drgnie. Tylko gałęzie się uginają. Słońce jest teraz bardziej żółte, ostrzej świeci w twarz. Lars ma na głowie czapkę z daszkiem, który nasunął głęboko na oczy, a gdy słyszy, że nadchodzę, odwraca się i musi niemal odchylić głowę, żeby wyrzeć spod cienia i napotkać mój wzrok. Poker i Lyra ganiają się wokół domu, na ile to możliwe przy brzozie zawałającej podwórze, szamoczą się ze sobą w udawanej walce, warczą, piszczą i turlają się po trawie za szopą, świetnie się bawiąc.

Lars z uśmiechem znów szarpie za gałęzie.

– Bierzemy się do niej? – pyta.

– Bardzo chętnie – odpowiadam i uśmiecham się tak entuzjastycznie, jak potrafię. I naprawdę tak myślę. Napięcie ustępuje. Możliwe, że lubię Larsa. Nie miałem co do tego pewności, lecz możliwe, że wszystko zmierza w tym kierunku. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Ale w takim razie musisz chyba najpierw odciąć tamtą gałąź – wskazuję tę, która ściągnęła rynnę z dachu, a teraz wciska się w drzwi szopy. – Bo moja piła jest tam, w środku.

– Zaraz to załatwimy – mówi Lars i wyciąga ssanie w swojej pile marki Husqvarna, a nie Jonsered, co również łagodzi napięcie w jakiś śmieszny sposób, jak gdybyśmy robili coś trochę niedozwolonego, lecz ze świadomością, że to naprawdę zabawne. Lars gazuje kilka razy, wciska ssanie z powrotem, mocno chwyta linkę, a ciągnąc za nią, jednocześnie opuszcza

piłę, która włącza się z przyjemnym burzeniem i gałąź raz-dwa jest odcięta i przepiłowana na cztery części. Drzwi są wolne. To widok, który podnosi na duchu. Odsuwam chyboczącą się rynnę na bok i idę po swoją piłę, która leży na stołku, tam, gdzie ją zostawiłem, wynoszę też żółty kanister z mieszanką benzyny do dwutaktów. Trochę jeszcze zostało. Odkładam piłę w trawę, przykucam, odkręcam pokrywkę zbiornika na benzynę i dolewam; benzyny było akurat tyle, że zbiornik jest teraz pełny, a kanister pusty. Nawet nic nie rozlewam, nie trzęsą mi się ręce; to przyjemne, kiedy ktoś stoi i patrzy.

– Mam parę kanistrów benzyny w szopie – mówi Lars – więc możemy pracować, dopóki nie skończymy. Nie ma sensu przerywać i jechać do sklepu, skoro jest robota do zrobienia.

– W ogóle nie ma sensu – przyświadczam, bo też nie mam wcale ochoty jechać teraz do wsi. Nie potrzebuję niczego ze sklepu, a nie jest to dzień na eskapady towarzyskie. Włączam jonsereda, na szczęście udaje mi się od pierwszej próby, i zabieramy się do brzozy, Lars i ja, każdy od swojej strony, dwaj trochę zeszywniali mężczyźni między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką, ze słuchawkami na uszach chroniącymi przed rykiem dwóch pił zagłębiających się w drzewo, nachylamy się nad nimi, odsuwając ręce od ciała, by mieć pewność, że śmiertelnie niebezpieczny łańcuch stanowi przedłużenie naszej woli, a nie że to my jesteśmy przedłużeniem piły, i najpierw odcinamy gałęzie przy samym pniu, dzielimy je na kawałki odpowiedniej długości, odkładamy wszystko, czego nie będę mógł zużyć na opał, i robimy z tego osobny stos, który można podpalić i zmienić w ognisko rozjaśniające listopadowy mrok.

Przyjemnie się patrzy, jak Lars pracuje. Nie jest szybki, ale systematyczny, i porusza się bardziej elegancko przy pniu brzozy z ciężką piłą w rękach niż na drodze z Pokerem. Jego system wpływa na mój i dzieje się to, co zwykle u mnie, najpierw ruch, a dopiero potem zrozumienie, bo z czasem jasne się staje, że sposób, w jaki on się pochyla i przesuwa, a chwilami wykręca i opiera, logicznie pasuje do cienkiej linii równowagi między ciężarem ciała a siłą łańcucha piły chwytającego za pień, a wszystko to ma zapewnić piłę najłatwiejszą drogę do celu przy jak najmniejszym zagrożeniu dla ludzkiego ciała, tak wrażliwego, w jednej chwili silnego i nie do pokonania, a w następnej wystarczy jeden cios i nagle zostają z niego strzępy, jak ze szmacianej lalki, wtedy wszystko skończone, zniszczone na zawsze. Nie wiem, czy Lars myśli w ten sposób, gdy z taką oczywistością posługuje się piłą, na pewno nie, ale ja myślę o tym wielokrotnie, nie mogę się od tego uwolnić, kiedy już raz mnie najdzie, i wcale nie pracuję przez to szybciej. Nie jest to jednak aż tak groźne, przywykłem do tej świadomości, lecz mam pewność, że jego matka musiała snuć podobne myśli, kiedy z całych

sił wiosłowała w górę rzeki późną jesienią w 1944, a Lars turlał się po podłodze w kuchni, siłując się z Oddem, bratem bliźniakiem, i nie wiedział nic o tym, co dzieje się wokół niego i do czego to może doprowadzić, nie wiedział, że trzy lata później zastrzelili Odda, odbierając mu życie za pomocą strzelby należącej do starszego brata Jona, i rozerwie jego ciało na strzępy. Nikt nie mógł tego wiedzieć, na zewnątrz wciąż był dzień, stalowoszare światło na pokrytych śniegiem polach, a na wodzie matka Larsa starała się, by jej wyprawa do letniej zagrody wyglądała na jedną z wielu.

Potrafię to sobie wyobrazić.

Niebieskie rękawice mocno zaciśnięte wokół wioseł, nogi w butach zaparte o poprzeczkę, biała para buchająca przy każdym ciężkim oddechu, na dnie łodzi między jej nogami obcy mężczyzna w letnich butach z ramionami zaciśniętymi na szarym plecaku, którego nie chciał puścić, wciąż tak samo marznący w cienkich spodniach od garnituru. Trząśł się zupełnie nieprawdopodobnie, uderzając o drewno jak dwutakt nieznanego typu, ona nigdy nie widziała czegoś podobnego i bała się, że usłyszą ten jej nowy silnik aż na brzegu.

Potrafię to sobie wyobrazić.

Niemiecki motocykl z przyczepą poruszający się z umiarkowaną prędkością po świeżo odśnieżonej szosie skręca na podwórze tego właśnie gospodarstwa bez żadnego powodu; nikt nigdy nie zrozumiał, czego właściwie chciał człowiek, który nim jechał. Może po prostu poczuł się samotny i pragnął z kimś porozmawiać albo zachciało mu się palić, a kiedy już miał wyjąć papierosa, okazało się, że wcześniej zużył ostatnią zapalną, zajechał więc tu, żeby pożyczyć pudełko i mieć z kim postać, gdy będzie zaciągał się dymem, patrząc na krajobraz i rzekę, i nie chciał w tamtej chwili być nikim innym niż jednym z dwóch mężczyzn z dwóch różnych krajów zbratanych nad niewinnym papierosem, dalekich od wszelkiego zła i wojny, albo też był inny tego powód, na który nikt nie wpadł ani wtedy, ani później. W każdym razie zatrzymał motocykl na podwórzu, zsiadł i bez pośpiechu ruszył do drzwi domu. Nigdy jednak do nich nie doszedł. Nagle stanął, wpatrzony w ziemię, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem, krążyć w koło, przykucnął, w końcu minął dom i zszedł nad rzekę aż do pomostu. Tam w jego mózgu wśród wielkiej ciemności zapłonęło światełko. Moneta wpadła do automatu we właściwe miejsce i zaskoczyło. Zrozumiał teraz wszystko. I zaczęło mu się spieszyć. Biegiem wrócił na podwórze, wskoczył na motocykl, wcisnął pedał rozrusznika szybko i mocno, ale motor nie chciał, do diabła, zapalić, spróbował jeszcze raz i jeszcze, i w końcu po kolejnej próbie motocykl nieoczekiwanie wystrzelił jak kula, a żołnierz położył się na kierownicy i pognął drogą, skręcił na szosę, pusta przyczepa na ostrym zakręcie tak zaszorowała o ziemię, że aż śnieg wzbił się w górę. Właśnie tym zakrętem Jon wracał ze

szkoły z teczką pod pachą, usłyszał motocykl, ale zdążył jedynie rzucić się do rowu, żeby nie zostać rozjechanym i być może okaleczonym na całe życie. Przy upadku kłapa teczki odskoczyła i książki Jona rozsypały się dookoła. Żołnierz wcale się jednak tym nie przejął, tylko dodał gazu i zniknął, odjeżdżając w stronę skrzyżowania, przy którym znajdował się sklep i kościół, tam, gdzie most prowadził na drugi brzeg rzeki.

Potrafię to sobie wyobrazić.

Jon stoi w rowie i zbiera książki ze śniegu, a jego matka wciąż jest na rzece z mężczyzną w garniturze, wciskającym się płasko w dno łodzi. Chociaż nurt o tej porze roku jest słaby, ciężko wiosłować pod prąd z dwiema osobami na pokładzie, więc nie posuwają się szybko. Wciąż został jeszcze spory kawałek do letniej zagrody, gdzie mój ojciec pochyła się nad warsztatem w szopie, zajęty stolarką, nie mając pojęcia o tym, że ona do niego płynie. Mężczyzna w łodzi trzęsie się i krzyczy na samego siebie, potem trochę płacze i znów krzyczy, a kobieta, która wiosłuje, błaga go, żeby był cicho, lecz on zaciska ręce na rzemieniach plecaka, pozostając we własnym świecie.

W swoim domu Franz stał w kuchni przy otwartym oknie, bo po powrocie z pracy w lesie mocno napalił w piecu i w pokoju zrobiło się tak gorąco, że musiał przewietrzyć. Wciąż było jasno, stał, paląc papierosa i usiłując zrozumieć, dlaczego się nie ożenił. Zastanawiał się nad tym co roku o tej porze, gdy nadciągały chłody, aż do świąt i jeszcze trochę, ale po Nowym Roku przestawał o tym myśleć. To nie brak okazji był przyczyną, ale kiedy tak stał przy otwartym oknie i palił, to prawdziwej przyczyny nie mógł sobie uzmysłwić, a akurat w tej chwili to, że mieszka sam, wydawało mu się kompletnie beznadziejne. Nagle usłyszał motocykl nadjeżdżający z wielką prędkością drogą po drugiej stronie rzeki. Pięćdziesiąt metrów od jego domu był most, a na przeciwległym brzegu, dwadzieścia metrów dalej, stał wartownik w długim szarozielonym płaszczu, z pistoletem maszynowym sterującym mu ponad ramieniem, zmarznięty i znudzony. On też usłyszał motocykl, odwrócił się w kierunku, z którego dochodził dźwięk, coraz bardziej donośny, i zrobił kilka kroków w tę stronę. Franzowi mignęła przed oczami głowa motocyklisty w hełmie wyłaniająca się zza krzaków i zaraz ukazał się cały motocykl z kierowcą mocno pochylonym nad kierownicą, żeby zmniejszyć opór powietrza; do skrzyżowania zostało zaledwie kilkaset metrów. Przez cały dzień było mgliście i pochmurno, ale teraz, tuż przed zapadnięciem ciemności, słońce nagle ukazało się na południowym zachodzie, rzucając złocistą poświatę na dolinę pod niskim, ostrym kątem, oświetlając rzekę i wszystko, co się na niej znajdowało, oślepiając Franza i odrywając go od myśli o możliwej żeniączce i długim szeregu jasno – i ciemnowłosych

kandydatek, które w jego opinii ustawiały się do niego w kolejce, i nagle uświadomił sobie, co właściwie widzi na drodze. Wyrzucił papierosa przez okno, zawrócił na pięcie i wbiegł do sieni, wyciągając zza paska nóż, upadł na kolana i zawinął chodnik. Pod nim w podłodze była szczelina, w którą Franz wbił ostrze noża, trochę je wygiął, a wtedy cztery połączone ze sobą deski odskoczyły, odłożył je na bok i wsunął rękę do otworu. Zawsze wiedział, że ten dzień nadejdzie. Był przygotowany. Chodziło o to, by się nie wahać, więc nie zawahał się nawet przez moment. Z niewielkiej skrytki wyjął detonator, sprawdził, czy przewody są na swoim miejscu i czy się nie splątały, umieścił go stabilnie między kolanami, raz nabrał głęboko powietrza, mocno trzymając uchwyt, a potem go wcisnął. Cały dom się zatrzęsł, zadzwoniły szyby, a Franz wypuścił powietrze z płuc, schował detonator z powrotem do skrytki, ułożył deski w czworokątnym otworze, wbił je na miejsce zaciśniętą pięścią i rozwinął chodnik, żeby wszystko wyglądało tak samo, jak zaledwie moment wcześniej. Wstał, podbiegł do okna i wyjrzał. Most był w drzazgach, a kawałeczki drewna wciąż wirowały w powietrzu jak na zwolnionym filmie, opadając w nagłej ciszy po wybuchu, resztki desek uderzały w kamienie na brzegu w dziwny bezszelestny sposób, te, które wpadły do wody, odpływały niesione prądem, a Franz oglądał to wszystko jakby przez szybę, chociaż okno było otwarte.

Na drugim krańcu zniszczonego mostu wartownik leżał twarzą w śniegu, spory kawałek od miejsca, w którym Franz widział go ostatnio. Motocykl nie dojechał na czas, a teraz zwolnił, tocząc się niemal z wahaniem do ciała na śniegu, i w końcu się zatrzymał. Motocyklista zsiadł, zdjął helm, wsunął go sobie pod pachę, jak gdyby wybierał się na pogrzeb, przeszedł ostatnich kilka metrów dzielących go od wartownika i stanął nad nim z pochyloną głową. Podmuch wiatru rozwiął mu włosy. Był zaledwie chłopcem. Osunął się na kolana przed tym, który równie dobrze mógł być jego najlepszym przyjacielem, a wtedy wartownik uniósł się na rękach i kolanach, wcale nie martwy. Trwał w tej pozycji, najwyraźniej wymiotując, a potem, wspierając się na pistolecie maszynowym, stanął na nogi, motocyklista też się podniósł, nachylił i coś do niego powiedział, ale wartownik pokręcił głową, wskazując na swoje uszy. Nic nie słyszał. Obaj odwrócili się, spoglądając na most, którego już nie było, a później pobiegli do motocykla, wartownik usiadł w przyczepie, a kierowca na swoim siedzeniu uruchomił motor i ruszył. Ale nie w stronę gospodarstwa, gdzie kwatrowali wraz z resztą patrolu, tylko z powrotem drogą, którą właśnie przyjechał, dodawał tyle gazu, na ile mu starczało odwagi, motocykl jechał teraz wolniej, obciążony pasażerem w przyczepie, ale wreszcie się rozpedził i gdy kilka minut później mijał gospodarstwo Barkalda, gnał naprawdę szybko. Wkrótce potem zjechali z drogi, obaj kładąc się ciężko na bok, jak na żaglówce przy ostrym wietrze, żeby pokonać skręt bez wywrotki. Przyczepa na moment

oderwała się od ziemi, wypadli na zaśnieżoną łąkę i wjechali prosto w ogrodzenie, w bramę, na której otwieranie nie tracili czasu, tylko przejechali przez nią z hukiem, aż kawałki desek pofrunęły na wszystkie strony, waląc ich w hełmy, ale oni się nie zatrzymali, chociaż ledwie się zmieścili między słupkami bramy. Pomknęli przez łąkę tuż przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, słupki migały im przed oczami, motocykl podskakiwał na nierównościach, rzucały raz w jedną stronę, raz w drugą na drodze do rzeki wzdłuż ścieżki, którą zwykle chodził mój ojciec do sklepu po „pocztę” i którędy również ja chodziłem, tyle że cztery lata później, w towarzystwie mojego kolegi Jona, który pewnego dnia po prostu zniknął z mojego życia, ponieważ jeden z jego braci zastrzelił drugiego, pozbywając się go ze swojego życia, zabił go ze strzelby, którą on, Jon, zapomniał zabezpieczyć. Była wtedy pełnia lata, a on był opiekunem swoich braci i w jednej chwili wszystko się zmieniło i popsuło.

Po drugiej stronie rzeki matka Jona dobiła właśnie do brzegu obok tej łodzi, z której korzystał mój ojciec, i wyskoczyła na ląd, by wciągnąć ją kawałek na kamienie, było to konieczne, żeby łodzi nie porwał prąd i nie zniósł na przeciwną stronę, gdzie nie powinna się znaleźć; mężczyzna w garniturze podniósł się niecierpliwie i bez sensu próbował wyskoczyć, jeszcze zanim ona uporała się z łodzią. Poszło mu fatalnie, poleciał do przodu, kiedy szarpnęła za dziób, i uderzył głową o ławeczkę, ponieważ nie podparł się rękami, którymi cały czas ścisnął plecak, więc matka Jona była teraz bliska płaczu.

– Do jasnej cholery, czy ty nie możesz chociaż jednej rzeczy zrobić jak trzeba! – krzyknęła, chociaż przez całe swoje życie chyba ani razu nie zaklęła, a poza tym wiedziała, że powinna zachowywać się cicho, nie zdołała jednak się powstrzymać, potem mocno złapała mężczyznę za marynarkę i wyciągnęła z łodzi jak pusty worek. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła i usłyszała motocykl nadjeżdżający przez łąkę po przeciwnej stronie, mój ojciec wybiegł z szopy, bo on też go usłyszał i zrozumiał, że coś jest nie tak. Dostrzegł ich na krańcu ścieżki przy wodzie, matkę Jona w czapce i rękawiczkach z nieznanym mężczyzną na czworakach koło łodzi, i motocykl, który zatrzymał się tuż nad ostatnim zboczem pokrytym żwirem i kamieniami.

– Stawaj na nogi! – krzyknęła matka Jona do ucha wygarnituowanemu mężczyźnie, ciągnąc go za marynarkę, on starał się jak mógł, a chłopak w niemieckim mundurze wołał:

– *Halt!*

Krzyczał, zbiegając ze zbocza z wartownikiem deptającym mu po piętach; czy możliwe, że zawołał również po niemiecku błagalnie „Bardzo proszę”? Franz tak uważał, był tego wręcz pewien, ten młody żołnierz miał krzyczeć: *Bitte, bitte*. W każdym razie Niemcy

zatrzymali się na skraju wody i nie chcieli do niej wejść, była za zimna i za głęboka, i nawet gdyby rzucili się w pław, to staliby się na chwilę bezradnymi celami, a zresztą i tak wylądowaliby na drugim brzegu znacznie niżej, zniesieni prądem, który o tej porze roku nie był bardzo silny, ale jednak był. Ściągnęli więc broń z ramion, za nimi na krawędzi zbrocza motocykl sapał jak zdyszane zwierzę, a mój ojciec wówczas krzyknął:

– Biegnijcie, do cholery! – Sam popędził w dół ku rzece, między drzewami, których nikt jeszcze nie poświęcił na wyrąb, wykorzystywał je, biegnąc zygzakiem, kryjąc się za grubymi pniami, i właśnie wtedy żołnierze na drugim brzegu zaczęli strzelać. Najpierw oddali strzały ostrzegawcze nad głowami tych dwojga, którzy zbyt wolno oddalali się od łodzi, słysząc, jak kule wbijają się w pnie drzew z niszczącą siłą przy wtórze bardzo szczególnego dźwięku, który, jak powiedziała później matka Jona, zapamiętała już na zawsze. Nic nigdy tak jej nie wystraszyło jak ten właśnie dźwięk, miała wrażenie, że świerki stękają, ale potem żołnierze zaczęli strzelać już na poważnie i mężczyznę w garniturze trafili od razu. Ciemna marynarka stanowiła wyraźny cel na tle białego brzegu, mężczyzna wypuścił plecak, upadł w śnieg i powiedział głównie do siebie tak cicho, że matka Jona ledwie usłyszała słowa:

– O, wiedziałem, że tak będzie.

A potem zaczął się z powrotem zsuwać ze zbrocza w stronę łodzi, minął garbatą sosnę przewieszoną nad rzeką i zatrzymał się dopiero, gdy jeden jego letni but dotknął wody. Trafili go jeszcze raz, ale wtedy nic już nie mówił.

Mój ojciec zatrzymał się naprzeciwko, osłonięty świerkiem.

– Bierz jego plecak i biegnij tutaj! – zawołał.

Matka Jona chwyciła plecak ręką w niebieskiej rękawicy i zgięta w pół pobiegła zygzakiem pod górę, a ci dwaj żołnierze przestali już strzelać z taką intensywnością, być może dlatego, że nigdy wcześniej nikogo nie zabili, a może dlatego, że to biegła kobieta. W każdym razie te strzały, które teraz padały, miały głównie ją wystraszyć, i matce Jona udało się całej i zdrowej dotrzeć do ścieżki, a potem dalej już z moim ojcem aż do chaty. Wbiegli do środka, zabrali najważniejsze rzeczy i dokumenty ukrywane przez ojca w schowku. Przez okno widzieli, jak przez łąkę z wielką prędkością nadjeżdżają dwa samochody, wyskakują z nich żołnierze i biegną nad rzekę. Mój ojciec wepchnął wszystkie niezbędne rzeczy do plecaka człowieka w garniturze, a potem owinął go białym prześcieradłem. Wyszli przez okno na tyłach chaty w białej zimowej bieliźnie mojego ojca naciągniętej na inne ubrania i uciekli, niemal trzymając się za ręce, do Szwecji.

Słońce przesunęło się dalej, w niebieskiej kuchni nie było już tak jasno, a kawa w

mojej filiżance wystygła.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz, skoro mój ojciec nie chce o tym mówić? – spytałem.

– Ponieważ prosił, żebym to zrobił – odparł Franz. – Kiedy nadarzy się okazja. A teraz się nadarzyła.

Gdy piłujemy z Larsem brzozę, powoli robi się coraz chłodniej, słońce się chowa i zrywa się wiatr. Szara pokrywa chmur nasuwa się na niebo jak kołdra, pasmo błękitu popychane za wzgórze na wschodzie w końcu całkiem znika. Robimy sobie przerwę, prostujemy zeszywniałe plecy, próbując udawać, że nic nas nie boli. Nie całkiem się to udaje, muszę przyciskać rękę do krzyża, by utrzymać się w pozycji jako tako wyprostowanej, na moment więc odwracamy wzrok, każdy patrzy w swoją stronę na las, w końcu Lars skręca papierosa, opiera się o drzwi szopy i spokojnie zapala. Dobrze pamiętam, jak przyjemnie było zaciągnąć się dymem po skończonym etapie pracy fizycznej, razem z tym czy tymi, z którymi się ją dzieliło, brakuje mi tego po raz pierwszy od wielu lat. Patrzę na stos kłoców drewna w miejscu, gdzie jeszcze niedawno leżała wielka brzoza. Spojrzenie Larsa też tam wędruje.

– Nieźle – mówi ze spokojem i uśmiecha się. – Jesteśmy w połowie.

Lyra i Poker też są zmęczone. Leżą obok siebie na progu i dyszą. Piły są wyłączone. Wszystko ucichło. I wtedy zaczyna padać śnieg. Jest pierwsza po południu. Patrzę w niebo.

– Cholera – przeklinam głośno.

Lars spogląda za moim wzrokiem.

– Nie utrzyma się, za wcześnie. Ziemia nie jest jeszcze dostatecznie zmrożona – mówi.

– Na pewno masz rację – odpowiadam. – Ale śnieg i tak mnie martwi. Nie bardzo wiem dlaczego.

– Boisz się, że cię zasypie?

– Tak. – Czuję, że się czerwienię. – Tego też.

– Powinieneś sobie załatwić, żeby ktoś ci odśnieżał. Ja tak zrobiłem. Åslien, wieśniak, który mieszka kawałek dalej przy drodze, zawsze się stawia, bez względu na porę. Odśnieża mi już od wielu lat. Nie zabiera mu to zbyt dużo czasu, kiedy już się wybierze. Wystarczy przejechać pługiem naszą drogą w jedną i drugą stronę. Zajmuje mu to najwyżej kwadrans.

– No tak. – Chrząkam i ciągnę: – Właśnie do niego dzwoniłem wczoraj z budki przy spółdzielni. Zgodził się. Chce siedemdziesiąt pięć koron za każdym razem. Ty też tyle

płacisz?

– Tak – odpowiada Lars. – Tyle samo. No to jesteś zabezpieczony. Jakoś to będzie. Ale to, tam na górze – mówi niemal złowrogo, odchylając głowę i patrząc w niebo – niech lepiej spadnie. – Potem uśmiecha się łobuzersko. – I co, bierzemy się do roboty? – pyta.

Czuję, że jego postawa jest zaraźliwa, naprawdę mam ochotę wrócić do pracy. Lecz zaskakuje mnie i martwi, że nagle stałem się uzależniony od innego człowieka, by móc zebrać siły do takiej prostej i koniecznej czynności. Przecież czasu mam dość. Coś się we mnie zmienia, ja się zmieniam, z kogoś, kogo świetnie znałem i komu ślepo ufałem, zwanego przez kochające go osoby chłopcem w złotych spodniach, który za każdym razem, gdy wsuwał rękę do kieszeni, wyciągał z niej odpowiednią liczbę błyszczących monet, w kogoś, kogo znam o wiele gorzej i kto nie wie, jakie śmieci nosi w kieszeniach, i zastanawiam się, od jak dawna trwa ta zmiana. Może od trzech lat.

– Jasne – mówię. – Bierzemy się.

Potem zapraszam go do siebie, muszę, po takiej robocie, śnieg pada już gęsty, ale właściwie nic z niego nie zostaje. Przynajmniej na razie. Ułożyliśmy kilka potężnych stosów drewna pod ścianą szopy obok kłoców uschniętego świerka, podwórze jest już wyczyszczone, z wyjątkiem wielkiego korzenia, który postanowiliśmy odciągnąć na łańcuchu samochodem dopiero jutro. Łańcuch jest w garażu Larsa. Na dziś i tak wystarczy, jesteśmy zmęczeni, dosyć głodni i mamy wielką ochotę na kawę. Zastanawiam się, czy mądrze z mojej strony było tak ciężko pracować po takim trudnym początku dnia, ale mam miłe uczucie w ciele, naprawdę, jestem zmęczony w przyjemny sposób, z wyjątkiem pleców, ale to akurat nic niezwykłego, no i nie mogłem przecież pozwolić, żeby Lars uprzętał moje podwórze sam.

Odmierzam kawę do filtra, napełniam zbiornik zimną wodą i włączam ekspres, potem kroję chleb i umieszczam go w koszyczku, przynoszę masło i coś do chleba z lodówki, układam na talerzykach, do małego żółtego dzbanuszka nalewam mleka do kawy i stawiam to wszystko na stole razem z filiżankami, szklankami i nożami dla dwóch osób.

Lars siedzi na skrzyni z drewnem przy piecu. W samych skarpetkach wygląda młodo, tak właściwie wyglądają wszyscy, gdy tak siedzą, nie sięgając stopami do podłogi. W przeciwieństwie do mnie ma suche włosy, bo przez cały czas nie zdejmował z głowy czapki z daszkiem; nie odezwał się, odkąd tu wszedł, tylko wbił wzrok w podłogę z taką miną, jakby się nad czymś zastanawiał, a ja chyba też nic nie powiedziałem, ciesząc się z tego, że nie muszę, nieprzyzwyczajony do pogawędek.

– Mam napalić w piecu? – pyta w końcu.

– Dobrze. Napal – mówię, bo rzeczywiście wewnątrz zrobiło się chłodno, a jednocześnie trochę się oburzam, że on chce się gospodarzyć w moim domu i wyraża na głos jakąś opinię o tym, jak u mnie jest, ja bym tego nigdy nie zrobił, no, ale on najpierw pyta, więc to chyba jest w porządku. Lars zeskakuje ze skrzyni z drewnem, otwiera pokrywę i wyciąga z niej trzy pełne drzazg polana i parę stron gazety „Dagbladet” z zeszłego tygodnia, którą trzymam w skrzyni specjalnie w tym celu, i szybko rozpala w piecu, o wiele szybciej, niż mnie się to udaje, ale on robi to przez całe swoje życie; ekspres na blacie perkocze i syczy, stary, dobry przyjaciel, zaraz przelewam zawartość dzbanka do termosu. Trzymając go w ręku, przez chwilę stoję i myślę o niej, tej, z którą pijałem rano kawę przez wiele, wiele lat, ale jej obraz mi ucieka, nie potrafię jej sobie wyobrazić, wyglądam więc przez okno na uprzątnięte podwórze, gdzie tylko trociny leżą w niewielkich żółtych kupkach wokół olbrzymiego korzenia, i na wielkie płatki śniegu, które sfruwają bezgłośnie, kładą się na kilka sekund, a potem w tajemniczy sposób znikają. Jeśli tak będzie przez całą noc aż do rana, na pewno się utrzymają.

Czy ja jadłem dzisiaj śniadanie? Nie pamiętam, ranek wydaje się taki odległy. Od tamtej pory tyle się zdarzyło. W każdym razie jestem teraz bardzo głodny. Odwracam się od okna do Larsa i ręką wskazując na stół, mówię:

– Zapraszam, podano do stołu.

– Bardzo dziękuję – odpowiada i zamyka pokrywę skrzyni, siadamy trochę zażenowani i rzucamy się na jedzenie.

Przez pierwsze minuty nic nie mówimy. Posiłek jest zaskakująco smaczny, aż muszę zajrzeć do pojemnika z chlebem, żeby sprawdzić, czy kupiłem jakieś inne pieczywo niż to, które zwykle biorę w sklepie, ale to ten sam rodzaj. Wracam do jedzenia i, muszę przyznać, napawam się nim. Staram się jeść powoli, żeby ten stan trwał jak najdłużej. Lars wciąż ma wzrok wbity w talerz, mnie wszystko jedno, nie mam potrzeby konwersować, lecz on nagle unosi głowę i mówi:

– Właściwie miałem odziedziczyć gospodarstwo.

– Jakie gospodarstwo? – pytam, chociaż mowa może być tylko o jednym. Ale myślami byłem akurat nie tam i zastanawiam się, czy właśnie tak się dzieje z człowiekiem, który długo żyje sam, czy w środku strumienia myśli zaczyna po prostu mówić na głos, a różnica między mówieniem a niemówieniem powoli się zaciera, czy ta niekończąca się wewnętrzna rozmowa, którą prowadzimy ze sobą, przenika się z tą, którą prowadzimy z nielicznymi ludźmi, z jakimi wciąż się kontaktujemy, i w końcu linia oddzielająca jedną od drugiej staje się niewyraźna i człowiek nie czuje, kiedy ją przekracza. Czy tak wygląda moja przyszłość?

– Nasze gospodarstwo. No, w wiosce.

W Norwegii jest z pewnością sto tysięcy wiosek, teraz też jesteśmy w jednej z nich, ale to oczywiste, wiem, o co mu chodzi.

– Pewnie byłeś ciekaw, dlaczego mieszkam tutaj, a nie w tej wsi, z której pochodzę?

Po prawdzie nie zastanawiałem się nad tym, w każdym razie nie w taki sposób, jak on miał na myśli, ale może powinienem. Rozważałem natomiast, jak to możliwe, że po tylu latach trafiłem w to samo miejsce co on. Że coś takiego w ogóle może się zdarzyć.

– No, trochę tak – odpowiadam.

– Miałem przejąć gospodarstwo, bo przecież jako jedyny zostałem w domu. Jon poszedł na morze, Odd nie żył, a ja tam pracowałem przez całe swoje życie, codziennie, nawet bez wakacji, jakie ludzie teraz mają. A mój ojciec nigdy nie wrócił, rozchorował się. Nikt nie mógł pojąć, co mu właściwie dolegało. Miał złamaną nogę i coś mu pękło w barku, zawieźli go do szpitala w Innbygda, to się stało w czterdziestym ósmym. Pamiętasz tamten rok? Ja byłem wtedy jeszcze chłopcem. Ale on już nigdy się tam nie pokazał. Lata mijały, a potem wrócił Jon z morza. Nie poznałem go. Dla mnie żaden z nich jakby już nie istniał. Nie myślałem o nich. Aż nagle pewnego dnia zjawił się Jon, przyszedł drogą od autobusu, stanął w drzwiach i oznajmił, że jest gotów przejąć gospodarstwo. Miał dwadzieścia cztery lata. Stwierdził, że to jego prawo. Moja matka nic na to nie powiedziała, nie stanęła między nami i nie przemówiła w mojej obronie, ale pamiętam jej spojrzenie wtedy, a raczej to, jak w ogóle na mnie nie patrzyła. Gospodarstwo było jedyną rzeczą, na jakiej się znałem i o jakiej cokolwiek wiedziałem. Jonowi przejadło się morze, mówił, że widział już wszystko. Możliwe, że tak było. W ciągu tych lat przysłał kilka kartek, z Port Saidu i podobnych miejsc, z Adenu, Karaczi, Madrasu. Wiesz, z takich miejsc, o których człowiek nawet nie ma pojęcia, gdzie leżą, dopóki nie sprawdzi w atlasie szkolnym. Jeden z jego statków nazywał się „M/s Tijuka”, dobrze pamiętam te koperty, z przodu był stempel z nazwą, a podobnej nazwy nigdy w życiu nie widziałem. Moim zdaniem Jon nie wyglądał na zdrowego, był chudy i przygarbiony, pomyślałem, że nie da rady prowadzić gospodarstwa. Wyglądał jak narkoman, jeden z tych, których widuje się teraz w Oslo. Nerwowy i drażliwy. Ale ja nic nie mogłem zrobić. Miał do tego prawo.

Lars milknie. To była długa przemowa jak na niego. Znów zabiera się do jedzenia, wprawdzie bez takiego entuzjazmu jak ja, ale i jemu wyraźnie smakuje. Nalewam mu kawy do filiżanki, proponuję mleko, a on bierze ode mnie żółty dzbanuszek i dodaje odrobinę do kawy, wciąż milczy, dojadając, a kiedy talerzyk jest już pusty, pyta, czy może zapalić tu, w domu, a ja odpowiadam:

– Oczywiście.

Skręca więc sobie papierosa z czerwonej mieszanki tytoniu, zapala, zaciąga się, a potem zaczyna wpatrywać się w żar, więc pytam, jakby od niechcenia:

– I co wtedy zrobiłeś?

Lars unosi wzrok znad papierosa, którego jednocześnie wsadza do ust, i głęboko wciąga dym, a kiedy go powoli wydmuchuje, wykrzywia się, jak gdyby chciał się ukryć za żartobliwą maską, następuje to tak nieoczekiwanie, że nieruchomieję, jakbym został przyłapany na gorącym uczynku, siedzę z rozdziawionymi ustami, bo takiego nigdy go nie widziałem. To naprawdę zaskakująco komiczny widok, Lars przypomina cyrkowego klauna, który ma skłonić wszystkich do płaczu sekundę po tym, jak śmiali się do rozpuku, albo Chaplina w ekstremalnej scenie czy jakąś inną z dawnych gwiazd filmu niemego, na przykład tego aktora, który stale zezował; ma naprawdę twarz jak z gumy, lecz ja nie znajduję w niej nic, co by mnie rozśmieszyło. Lars zaciska usta w kreskę i mocno mruży oczy, a potem wykręca całą twarz o czterdzieści pięć stopni w prawo, poniżej ucha, tak to przynajmniej wygląda, i te rysy, z którymi ledwie zdążyłem się zapoznać, znikają w zmarszczkach, Lars utrzymuje tę minę przez dobrą chwilę, potem wreszcie otwiera oczy i pozwala każdemu fragmentowi osobno wrócić na swoje miejsce, a dym wciąż sączy mu się spomiędzy warg. Doprawdy nie wiem, jakiego to przedstawienia byłem świadkiem. Lars robi ciężki wdech i ciężki wydech, oczy mu błyszczą, kiedy patrzy wprost na mnie i mówi:

– Wyjechałem. W dniu, w którym skończyłem dwadzieścia lat. Od tamtej pory nie byłem w domu. Nawet przez pięć minut.

W mojej kuchni zapada cisza. Lars milczy i ja milczę, a potem wzdycham:

– Jasny gwint!

– Nie widziałem matki, odkąd skończyłem dwadzieścia lat.

– Czy ona jeszcze żyje? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Lars. – Nie sprawdzałem.

Wyglądam przez okno. Nie jestem przekonany, czy to jest coś, o czym chcę wiedzieć. Czuję, jak zstępuje na mnie wielkie zmęczenie, spowija mnie i ciągnie w dół. Przecież pytam jedynie dlatego, że czuję się zmuszony, ponieważ dla Larsa najwyraźniej ważne jest opowiedzenie mi o tym wszystkim i z wielu względów mnie również to interesuje, to oczywiste, ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście chcę o tym wiedzieć. To zabiera zbyt dużo miejsca. Trudno mi się skupić, bo spotkanie z Larsem wytrąciło mnie z równowagi, sprawiło, że mój plan związany z tym miejscem staje się niewyraźny, wręcz nieważny w momencie, gdy przestaję się koncentrować, trzeba to przyznać. Nastrój mi się zmienia, w ciągu paru

godzin raz się podnosi, raz opada jak winda od strychu do piwnicy, a moje dni nie są takie, jak je sobie wyobrażałem. Najmniejsza przeszkoda, a ja ją rozbudowuję do katastrofalnych wymiarów. Nie żeby ta brzoza była mała, wcale nie o to mi chodzi, i nie o to, że coś nie poszło, bo przecież poszło dobrze, z pomocą Larsa, ale tak naprawdę chciałem być sam. Sam rozwiązywać problemy, jeden po drugim, dzięki logicznemu myśleniu i dobrym narzędziom, tak jak być może robił mój ojciec wtedy w letniej zagrodzie, brał się do każdej rzeczy po kolei, oceniał ją i wyjmował narzędzia w przemyślanej kolejności, zaczynał od jednego końca i pracując, przybliżał się do drugiego, zastanawiając się, wykorzystując ręce i znajdując przyjemność w tym, co robi, tak i ja pragnę lubić to, co robię, stawiać czoło codziennym wyzwaniom, które potrafią być dość dziwaczne, lecz mają wyraźne ograniczenie, jakiś początek i jakiś koniec, który jestem w stanie przewidzieć, i być wieczorem zmęczony, ale nie wykończony, budzić się wypoczęty rano, zaparzyć sobie kawę, napalić w piecu i patrzeć na światło płynące czerwienią znad lasu koło jeziora, ubrać się i iść ścieżkami z Lyrą, a potem zabrać się do tych zadań, które postanowiłem uznać za treść dnia. Właśnie tego pragnę i wiem, że mogę, że noszę w sobie tę zdolność do bycia sam i nie mam się czego bać. Wiele widziałem i wielu rzeczy w życiu doświadczyłem, choć nie będę omawiał tu szczegółów, bo miałem też szczęście, ja, chłopiec w złotych spodniach, ale dobrze by było trochę teraz odpocząć.

No, ale jest Lars, którego prawdopodobnie nie mogę nie lubić, jest Lars, który wstaje od stołu i przesuwa czapkę na głowie raz do przodu, raz do tyłu, dopóki nie znajdzie dla niej odpowiedniego miejsca, chociaż na dworze zapadł już przecież zmrok, a w każdym razie nie ma słońca, w końcu dziękuje mi za poczęstunek w niezgrabny formalny sposób, jak gdyby właśnie wstał od świątecznego obiadu jako gość, który najbardziej pragnie znaleźć się sto kilometrów stąd. Chyba lepiej się czuje na dworze z siekierą w rękach albo piłą niż tutaj, w moim domu; w porządku, rozumiem go. Czułbym się tak samo, gdybym to ja był gościem u niego.

Wychodzę do sieni, otwieram Larsowi drzwi i odprowadzam go na schody, na których czeka Poker. Teraz ja mówię „dobranoc” i „dziękuję za pomoc”, on odpowiada, że świetnie sobie poradziliśmy z tą brzozą, a korzeń odciągniemy jutro na łańcuchu, wtedy jego pies wciska się między nas, siada, wpatrzony w swojego pana, i zaczyna warczeć, ale Lars obraca się tylko plecami, nawet na chwilę nie spuszczając wzroku, mija go, schodzi po dwóch schodkach i idzie przez podwórze w dół zbocza do swojej chaty. Poker stoi z wywieszonym ozorem, nie wiedząc, co robić, i patrzy na mnie, a ja tylko opieram się o drzwi, czekam, ale nie mogę mu wydać żadnego polecenia, które by go zwolniło, nagle on spuszcza łeb i człapie

za Larsem w postawie pełnej niechęci, niemal wlokąc się noga za nogą; na jego miejscu szybko poprawiłbym swoje zachowanie.

Podwórze pokrywa cieniutka warstewka śniegu. Nie zauważyłem, kiedy przestał się topić, ale temperatura spadła, a śnieg wciąż pada, nie widzę, żeby przestawał. Wchodzę do środka, zamykam drzwi i przekręcam wyłącznik światła na zewnątrz. Lars zapomniał swoich roboczych rękawic, leżą tam, gdzie je położył, na stojaku do butów, biorę je więc, otwieram drzwi i już mam za nim krzyknąć, ale to przecież bez sensu, mogę mu je oddać jutro, przecież nie będzie się teraz zabierał do żadnej roboty, do której potrzebne są rękawice.

Lars. Mówi, że nie myślał o bracie w tym czasie, gdy Jon pływał po morzu, ale pamięta miasta i porty, do których zawijał, stemple na kopertach, które wysyłał do domu, i nazwy statków, na które się zaciągał i z których schodził, i zaglądał do szkolnego atlasu, żeby palcem wodzić po trasie, którą te statki pływały. Jon, już wtedy chudy i przygarbiony, stoi na dziobie „M/s Tijuka”, z rękami mocno zaciśniętymi na relingu, z gniewnym spojrzeniem zmrużonych oczu wbitym w wybrzeże, do którego się zbliżają. Płyną z Marsylii, a palec Larsa śledzi trasę statku, gdy ten opływa Sycylię i czubek włoskiego buta, potem po przekątnej mija greckie wyspy; na południowy wschód od Krety pojawia się coś nowego w powietrzu, które ma zupełnie inną konsystencję niż zaledwie dobę wcześniej, ale Jon na razie jeszcze nie rozumie, że ta nowość to Afryka. I wtedy Lars towarzyszy mu w drodze do Port Saidu w najdalszym zakątku Morza Śródziemnego, gdzie będą się rozładowywać i ładować, zanim wolno popłyną przez Kanał Sueski, po którego obu stronach ciągnie się pustynia, i gdzie światło jest dziwnie żółte od miliardów ziarenek piasku, lśniących w słońcu, a potem przetną Morze Czerwone wzdłuż, najpierw zawijając w palącym upale do Dżibuti, i dalej do Adenu po drugiej stronie wąskiej cieśniny rozdzielającej dwa światy, przez cały czas płynąc śladem młodego poety Rimbauda, który podróżował tędy blisko siedemdziesiąt lat wcześniej, ażeby stać się kimś innym, niż był, i zostawić wszystko za sobą niczym żeglarz pustyni w drodze ku zapomnieniu i śmierci, ja o tym wiem, bo czytałem o tym książkę. Ale Lars nie wie, gdy siedzi nad atlasem przy kuchennym stole w domu nad rzeką, i Jon też tego nie wie, ale w Port Saidzie widzi swoje pierwsze afrykańskie palmy pod niesamowicie błękitnym i niskim niebem. Widzi płaskie dachy miasta, bazy i targowiska ciągnące się wzdłuż wszystkich ulic aż do nabrzeży i wzdłuż kei, przy której cumuje „M/s Tijuka”. W tym mieście nie ma nic oprócz bazarów i nawołujących we wszystkich językach głosów, które chcą ci coś sprzedać, które chcą, żebyś zszedł po trapie, właśnie ty, który stoisz tam wysoko, z rękami mocno zaciśniętymi na relingu i oczami jak wąskie kreski, ty masz zejść i kupić coś, bez czego po prostu nie możesz się obyć, jeśli masz dość rozumu, by wiedzieć, co dla ciebie

dobrze, to odmieni twoje życie nie do poznania i uczyni je szczęśliwym, *special price for you today*, to ogłusza i oszalałami, to cymbały i kotły, a zapach doprowadza Jona niemal do omdlenia, mieszanka przejrziałych warzyw i nieokreślonego mięsa, o którego istnieniu na świecie nie miał pojęcia. Są tam przyprawy, zioła i swąd z ogniska, które dostrzega na samym krańcu kei; nie wie, co tam palą, lecz wydziela to jakiś ostry aromat, i Jon postanawia nie schodzić ze statku. Wykonuje swoją robotę przy załadunku, rzuca się na nią z całą siłą swojej młodości, ale nie schodzi po trapie. Ani kiedy ma wolne, ani kiedy ma wachtę, a gdy nagle zapada ciemność, stoi na pokładzie, obserwując życie, które toczy się dalej, tylko w spowolnionym tempie w blasku elektrycznego światła i ognia, a wszystko wydaje się bardziej kuszące niż w ostrym świetle dnia, ale migotliwe cienie i ciasne zaułki budzą również przerażenie. Jon ma piętnaście lat i nie schodzi ze statku ani w Port Saidzie, ani w Adenie, ani w Dżibuti.

Budzę się w nocy, siadam na łóżku i wyglądam przez okno w ciemność. Śnieg wciąż pada, wieje wiatr, wirujące śnieżynki uderzają o szybę. Tam, gdzie droga schodzi nad rzekę, rozciąga się jedynie biały dywan bez jakichkolwiek konturów. Wyślizguję się z łóżka, idę do kuchni i zapalam lampkę nad kuchenką. Lyra unosi łeb ze swojego miejsca przy żeliwnym piecyku, ale w jej wewnętrznym zegarku nic się nie popsuło, wie, że teraz nie wychodzimy, jest dopiero druga w nocy. Idę do łazienki, czyli właściwie do komórki przy sieni, gdzie trzymam miednicę, wielki dzban z wodą i wiadro, na wypadek pogody, w którą nie mam ochoty wyjść za dom, załatwiam swoją potrzebę, a potem wkładam sweter i skarpety i siadam przy stole w kuchni z maleńkim kieliszkiem wódki i ostatnimi stronami *A Tale of Two Cities*. Życie Sydneya Carton'a dobiega końca, dookoła wszędzie leje się krew, przez czerwoną mgłę widzi rytmicznie pracującą gilotynę, głowy wpadają do kosza, który się zapełnia i zostaje zastąpiony nowym, gdy więcej już się w nim nie mieści, a kobiety, które siedzą na krzesłach tuż przed gilotyną i robią na drutach, liczą: dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, on całuje tę, która stoi przed nim w kolejce, i żegna się słowami: Spotkamy się w lepszym świecie, tam nie ma czasu ani troski. Wkrótce zostaje już tylko on, mówi wtedy sobie i światu: *This is a far, far better thing than I have ever done*¹. Trudno mu się sprzeciwiać w takiej sytuacji. Biedny Sydney Carton. Doprawdy podnosząca na duchu lektura, muszę przyznać. Uśmiecham się do siebie, idę z książką do pokoju i stawiam ją na półce na jej miejscu między innymi powieściami Dickensa, a wróciwszy do kuchni,

¹ Jest to najlepszy czyn, jaki kiedykolwiek spełniłem. Karol Dickens, *Powieść o dwóch miastach*, t. III, przeł. Hajota, Warszawa 1901, s. 160.

opróżniam kieliszek jednym haustem, gaszę światło nad kuchenką, wracam do sypialni i kładę się do łóżka. Zasypiam, zanim moja głowa zdąży dotknąć poduszki.

O piątej rano budzi mnie warkot traktora, szuranie i podzwanianie pługa zbliżającego się do mojego domu. W oknie widzę światła i od razu wiem, co to jest, odwracam się więc tylko na drugi bok i znów zasypiam tak szybko, że przez głowę nie zdążyła mi przemknąć ani jedna negatywna myśl.

Po poranku u Franza dolina wyglądała inaczej. Zmienił się las i łąki, a rzeka była być może ta sama, lecz jednocześnie inna, i tak też stało się z moim ojcem, kiedy myślałem o historii, którą opowiedział mi Franz, lecz w równym stopniu wpływ na tę zmianę miało to, co zobaczyłem na pomoście nad rzeką przy domu Jona. Nie wiedziałem, czy ojciec stał mi się teraz dalszy czy bliższy, czy łatwiej mogłem go zrozumieć, czy trudniej, lecz z całą pewnością był inny, a nie mogłem z nim o tym rozmawiać, bo to nie on otworzył te drzwi, więc nie miałem prawa tam wejść, no i nie wiedziałem też, czy chcę.

Zauważyłem, że się niecierpliwi. Nie był w żaden sposób opryskliwy czy poirytowany, zachowywał się tak samo jak przez cały czas, odkąd przyjechaliśmy tu autobusem, i jeśli w głębi ducha naprawdę czułem jakąś wielką różnicę, gdy o nim myślałem, to zobaczyć żadnej różnicy nie mogłem. Ale on w końcu nie miał ochoty już dłużej czekać. Chciał splawić drewno. I bez względu na to, co robiliśmy w ciągu dnia, czy byliśmy w sklepie, czy płynęliśmy w górę rzeki do niewielkiego bystrza przy moście, żeby łowić ryby w powrotnej drodze, czy zajmowaliśmy się stolarką na podwórzu, czy chodziliśmy po wyrębie w rękawicach, uprzątając bałagan i ściągając gałęzie na ognisko, które rozpali się później, gdy pozwoli na to pogoda, bo nie chciał, żebyśmy pozostawili po sobie taki paskudny widok, to i tak chodził do tych dwóch stosów nad brzegiem rzeki co najmniej dwa razy każdego wieczoru, żeby je poprawić, postukać w drewno, obliczyć kąt i odległość do wody, sprawdzić, czy bale stoczą się w dobrą stronę, a potem skontrolować wszystko jeszcze raz. Moim zdaniem, to było tak naprawdę niepotrzebne, bo każdy widział, i on na pewno też, że te bale wpadną prosto do rzeki, nie zaczepią się po drodze o żadną przeszkodę. Nie potrafił jednak trzymać się od nich z daleka. Czasami tylko stał długo, wdychając zapach drewna, wręcz wciskał nos w pozbawione kory pęknięcia, w których wciąż połykiwała żywica, i głęboko się inhalował; nie wiedziałem, czy robi to, ponieważ czerpie z tego przyjemność, tak jak ja, czy też jego nos umie wyczytać ze środka informacje, do których my, inni śmiertelnicy, nie mieliśmy dostępu. Czy te informacje były dobre czy złe, tego też nie wiem, ale w każdym

razie jego niecierpliwość wcale przez to nie malała.

Potem przez dwa dni mocno padało, a kolejnego wieczoru ojciec wybrał się do Franza, żeby z nim porozmawiać, i zabawił tam długo. Kiedy wrócił, leżałem na górnym łóżku i czytałem w świetle parafinowej lampki, bo wieczory zrobiły się już ciemniejsze. On wszedł do izdebki, oparł się o moje łóżko i oświadczył:

– Jutro zaryzykujemy. Spuścimy drewno.

Nie potrzebowałem dodatkowych wyjaśnień, by w jego głosie wyczytać, że Franz był innego zdania na ten temat. Włożyłem zakładkę do książki, wychyliłem się przez brzeg łóżka, zwiesiłem rękę, wypuściłem książkę na krzesło i odparłem:

– Świetnie. Cieszę się.

I to była prawda, rzeczywiście się cieszyłem. Cieszyłem się na fizyczność tej pracy, na nacisk w ramionach, na opór bali i na poczucie, że w końcu ustępują.

– To dobrze – powiedział mój ojciec. – Franz przyjdzie nam pomóc. Śpij teraz, zbieraj siły na jutro. To nie będzie dziecinna zabawa, ma się rozumieć, bo będziemy tylko we trzech, a drewna jest dużo. Muszę teraz zejść na dół i trochę pomyśleć, a za jakąś godzinę wrócę.

– W porządku – odparłem.

Zamierzał zejść nad rzekę, posiedzieć na kamieniu i pogapić się, byłem do tego przyzwyczajony, więc nie wątpiłem w prawdziwość jego słów, bo często siadywał na tym głazie.

– Mam zgasić lampę? – spytał.

– Tak, dziękuję.

Nachylił się więc, wsunął dłoń za wierzchołek lampy, dmuchnął w szklaną rurkę i płomień zgasł, zmieniając się w czerwoną smużkę wzdłuż knota, lecz ona również zaraz zniknęła i zrobiło się ciemno, ale nie całkiem. Widziałem przez okno szary skraj lasu i szare niebo nad nim, ojciec powiedział: „Dobranoc, Trond, do zobaczenia jutro”, i ja też powiedziałem: „Dobranoc, do zobaczenia jutro”, on wyszedł, a ja obróciłem się do ściany. Zanim zasnąłem, przyłożyłem czoło do szorstkiego drewna i wdychałem zapach lasu, który wciąż w nim tkwił.

Tej nocy raz wstałem. Ostrożnie zsunąłem się z górnego łóżka, nie rozglądając się, ruszyłem prosto do drzwi i przeszedłem się za chatę. Stałem tam bosy w samych slipach, wśród drzew na wzgórzach hulał wiatr, a ołowiane chmury napęczniały deszczem, wydawało mi się, że wkrótce pękną, ale gdy zamknąłem oczy i uniosłem twarz, wystawiając ją do nieba, nic z niego nie spadło. Tylko powietrze chłodziło skórę, unosił się aromat żywicy i drewna,

zapach ziemi, a w krzakach jakiś ptak, którego nazwy nie znałem, skakał po gałązkach, szurając i szeleszcząc, i skryty w gęstych liściach w odległości metra lub dwóch od mojej stopy wydawał z siebie cieniutkie niekończące się piski. Wśród nocy ten dźwięk brzmiał dziwnie, samotnie, ale nie wiedziałem, czy to ptak jest samotny, czy ja.

Kiedy wróciłem do chaty, ojciec leżał w łóżku i spał, tak jak zapowiedział. Stałem w ciemności i patrzyłem na jego głowę na poduszce: ciemne włosy, krótka broda, przymknięte oczy i twarz zastygła we śnie w zupełnie innym miejscu niż tu ze mną, w chacie. Teraz żadnym sposobem nie mogłem do niego dotrzeć. Oddychał spokojnie, zadowolony, jak gdyby nie miał żadnych trosk, i może rzeczywiście ich nie miał, ja też nie powinienem się martwić, ale nosiłem w sobie niepokój i nie wiedziałem, co w ogóle myśleć, więc jeśli jemu było lekko oddychać, to wcale nie znaczy, że mnie także. Otworzyłem usta jak szerokie i trzy, cztery razy głęboko wciągnąłem powietrze, zanim w piersi coś się otworzyło; z pewnością wyglądałem dziwnie, kiedy tak stałem w pogrążonym w półmroku pokoju, ciężko dysząc, ale w końcu wspiąłem się na górne łóżko i położyłem pod kołdrą. Nie zasnąłem od razu, tylko wpatrywałem się w sufit, studiując wzór, który ledwie mogłem dostrzec, i wydawało mi się, że wszystkie sęki poruszają się tam i z powrotem jak maleńkie zwierzątka na niewidzialnych nóżkach, ciało początkowo miałem sztywne, ale rozluźniało się w miarę upływu minut, a może godzin. Trudno to było stwierdzić, bo nie miałem poczucia mijającego czasu ani przestrzeni, w której się znajdowałem, wszystko jedynie obracało się jak szprychy ogromnego koła, na którym byłem rozpięty, z karkiem przytwierdzonym do piasty, a stopami do obręczy. Zakręciło mi się od tego w głowie, więc szeroko otworzyłem oczy, żeby powstrzymać mdłości.

Kiedy się obudziłem następnym razem, parapet zalewało światło, było już przedpołudnie, a ja spałem za długo, czułem się zmęczony, wręcz zniechęcony i w ogóle nie miałem ochoty wstawać.

Drzwi do pokoju były otwarte, tak samo jak te na dwór, a gdy uniosłem się na łokciu, mogłem zobaczyć, że słońce wpada przez nie ukosem na wyszorowaną do białości podłogę. W chacie pachniało śniadaniem, usłyszałem, że na podwórzu ojciec rozmawia z Franzem. Słowa, które do siebie wypowiadali, miały przytłumiony, spokojny, wręcz leniwy ton, więc jeśli wczoraj o coś się posprzeczali, to już poszło to w niepamięć, może wyrobili sobie wspólny pogląd na ten transport drewna i jego znaczenie dla mojego ojca, dlatego postanowili zaryzykować, dochodząc do wniosku, że właśnie w ryzykowaniu są dobrzy, natomiast ja tak naprawdę nie rozumiałem, dlaczego drewno nie może poczekać jeszcze miesiąc lub dwa, albo

nawet do wiosny. Tak czy owak, oni dwaj stali teraz w słońcu na podwórzu i, jak słyszałem, bez pośpiechu układali plan wspólnej roboty na ten dzień, tak jak tyle razy wcześniej, choć ja o tym nie wiedziałem.

Opadłem z powrotem na poduszkę, usiłując pojąć, dlaczego jestem taki ociężały i skwaszony, ale nic nie przychodziło mi do głowy, żadne zdania, żadne obrazy, miałem tylko fiolet pod powiekami, wrażenie suchości i drapania w gardle, a potem pomyślałem o stertach drewna, które w każdej chwili miało popłynąć rzeką, i poczułem, że chcę w tym wziąć udział. Chciałem zobaczyć, jak bale wpadają do wody lawiną jeden po drugim i jak pusto się robi na brzegu. Od zapachu jedzenia z kącika kuchennego ścisnęło mnie nagle w żołądku i krzyknąłem przez drzwi:

– Jedliście już śniadanie?

Oni dwaj zaczęli się śmiać, i to Franz odpowiedział:

– Nie, tylko się tu objamy i czekamy na ciebie!

– Biedacy! – odkrzyknąłem. – Wobec tego już idę, jeśli można dostać coś do zjedzenia.

Postanowiłem, że bez względu na wszystko będę w świetnym humorze i lekki jak piórko. Mocno wziąłem się w garść i wyskoczyłem z łóżka jak zwykle, przytrzymując się rękami zaciśniętymi na brzegu, miało to być zgrabne przerzucenie siedzenia i nóg aż z samej góry i lądowanie telemarkiem. Ale tym razem uda i łydki nie wytrzymały obciążenia, prawym kolanem walnąłem w podłogową deskę i przewróciłem się na bok. Kolano tak bolało, że byłem bliski krzyku, tamci dwaj przed chatą najwyraźniej usłyszeli huk, bo ojciec zawołał:

– Wszystko u ciebie w porządku?

Na szczęście został jednak na zewnątrz z Franzem. Zacisnąłem oczy i krzyknąłem:

– Tak, wszystko jak trzeba! – chociaż wcale tak nie było. Zdołałem podciągnąć się na krzesło przy łóżku, usiadłem na nim i obiema rękami zacząłem obmacywać kolano. Gdy je ścisnąłem, wydawało się, że w środku nic się nie uszkodziło, ale ból wprowadził mnie w rezygnację i trochę oszołomił, z trudem wciągnąłem spodnie, bo prawą nogę musiałem trzymać sztywno, mało brakowało, a bym się poddał i wrócił do łóżka, gdyby to było możliwe. W końcu jednak udało mi się ubrać; pokuśtykałem do pokoju i zdążyłem usiąść z nogą wyprostowaną pod stołem, zanim ojciec z Franzem skończyli rozmowę i weszli do chaty.

Po późnym śniadaniu mężczyźni od razu zabrali się do zmywania, bo mój ojciec lubił mieć ład, kiedy wracał zmęczony, a nie przychodzić w brud i nieporządek; nie bardzo

rozumiałem dlaczego, ale pozwolili mi siedzieć, chociaż teraz, gdy nie było z nami mojej siostry, która została w Oslo, zmywanie zwykle należało do moich obowiązków. W każdym razie nie miałem nic przeciwko temu, że akurat w tej chwili mnie to omija.

Stali odwróceny plecami do stołu, rozmawiali, żartowali, podzwaniając filiżankami i szklankami, a Franz zaczął śpiewać piosenkę, której nauczył się od swojego ojca, o rosomaku zwisającym z czubka drzewa. Okazało się, że mój ojciec też ją zna, nauczył się jej od swojego ojca, ryczeli więc chórem, wywijając ścierkami do naczyń i szczotką do zmywania, a ja wyobraziłem sobie tego rosomaka bezradnie wiszącego na czubku świerka i skorzystałem z okazji – położyłem na stole głowę, opierając ją na dłoniach, bo nagle zrobiło mi się tak ciężko, prawie nie do wytrzymania, być może nawet na chwilę przysnąłem. Ale kiedy mój ojciec powiedział:

– No, koniec z tymi wygłupami, trzeba brać się do roboty, prawda, Trond? – wtedy usłyszałem go dobrze i odpowiedziałem, śliniąc się:

– Tak, tak, trzeba.

Podniosłem głowę, otarłem usta i nagle poczułem się nie najgorzej.

Przez podwórze do szopy szedłem jako ostatni, starając się jak najmniej utykać, a w szopie wziąłem bosak i zwój liny na ramię, ojciec też zabrał bosak, dwie siekiery i nóż, a Franz łom i świeżo naostrzoną piłę; mieliśmy w tej szopie wszystkie te rzeczy i jeszcze inne, kilka pił i młotków, dwie kosy, imadła, dwa heble, dłuta w różnych rozmiarach i rozmaite obcęgi wisiały na gwoździach rzędkiem na ścianie, był też kątownik i sporo innych narzędzi, nie wiedziałem nawet, do czego niektóre służą, bo ojciec urządził w szopie niezłe wyposażony warsztat, kochał te narzędzia, czyścił je i polerował, nacierał różnymi smarami, żeby przyjemnie pachniały i długo się trzymały, a każda rzecz miała swoje specjalne miejsce, w którym wisiała albo stała, zawsze gotowa do wykorzystania.

Ojciec zamknął drzwi do szopy na kołek i we trzech, z narzędziami pod pachą, ruszyliśmy gęsiego ścieżką w stronę rzeki i dwóch stosów drewna, mój ojciec prowadził, a na końcu szedłem ja. Słońce świeciło, migotało w rzece wezbranej po ostatnim oberwaniu chmury; to mógł być idealny obraz tego lata i wszystkiego, co razem zrobiliśmy, gdybym wciąż paskudnie nie utykał na jedną nogę, ponieważ gdzieś we mnie, w pobliżu tego miejsca, gdzie tkwi dusza, pojawiły się zmęczenie i senność, które sprawiły, że moje łydki i uda nagle przestały wytrzymywać tyle, ile powinny.

Kiedy dotarliśmy na brzeg, odłożyliśmy narzędzia na kamienie, a mój ojciec i Franz obeszlą pierwszą stertę i stanęli obok siebie odwróceny plecami do lśniącej, gniewnej rzeki i z przekrzywionymi głowami, z rękami wspartymi o biodra przyglądali się drewnu, ciężko

opierającemu się o dwie pionowe mocne podpory, podtrzymywane wciśniętymi ukośnie w ziemię kłodami. Po wyciągnięciu tych ukośnych kłód podpory z założenia miały opaść do przodu, a cała sterta runąć i stoczyć się po nich jak po szynach prosto do wody, pod warunkiem że odległość i nachylenie obliczono prawidłowo. I wszystko, zdaniem Franza i mojego ojca, było prawidłowe. Teraz na kolanach rozkopywali żwir i odrzucali kamienie spod końców ukośnych bali, żeby łatwiej było je wyciągnąć. Kiedy już to zrobili, każdy wziął linę i umocował ją wokół swojej kłody, a potem, trzymając końce liny w rękach, wycofali się na boki, żeby nie stać na drodze toczącego się drewna. Istniało wiele sposobów na wykonanie tego zadania, a ten wariant był patentem Franza. Nigdy, jak mówił, nie udało mu się zepchnąć do wody całej sterty drewna naraz i nie wierzył, by udało mu się to tym razem, bo do tego potrzeba wyjątkowego nachylenia terenu, przez co nacisk bali jest większy i całość wymaga piekielnie mocnych kołków, podpór, no i całkiem sporej dawki szczęścia, a w dodatku to bardzo ryzykowna operacja. Ale to jasne, że osoba łagodnego usposobienia musi od czasu do czasu podejmować wielkie ryzyko, stwierdził Franz.

Napięli teraz obie liny, mocno zapierając się nogami o ziemię, chórem zaczęli odliczać: „Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, już!”, i jednocześnie pociągnęli z całej siły, aż liny strzeliły, a im obydwu żyły wystąpiły na czoła i pociemniały twarze. Nic się nie wydarzyło. Podpory nawet nie drgnęły. Franz jeszcze raz zaczął liczyć od tyłu, krzyknął: „Już!”, i znów zaczęli ciągnąć, stękając w takt, ale nie poruszyło się nic z wyjątkiem rysów twarzy tych dwóch mężczyzn, którzy zagryźli zęby i zacisnęli oczy, aż zmieniły się w wąskie kreski. Nic jednak nie pomagało, bez względu na to, jak się wykrzywiali i jak mocno ciągnęli, podpory stały.

– Jasny gwint! – zawołał mój ojciec.

– Niech to cholera – dodał Franz.

– Musimy je zrąbać siekierą.

– To ryzykowne – stwierdził Franz. – Całe to cholerne drewno może nam się zwalić na łeb.

– Wiem – oświadczył mój ojciec.

A potem każdy wybrał ze stosu narzędzi siekierę, wrócili do sterty i rzucili się na podpierające bale rękami i ciałami, z których wprost biła irytacja tym, że plan nie wypalił za pierwszą próbą, bo byli pod tym względem rozpieszczeni, Franz jeszcze raz krzyknął:

– Niech to cholera! – A potem dodał: – Musimy rąbać w jednym rytmie.

– No to rąbmy – odparł mój ojciec i zmienili rytm, zgrali się ze sobą, odgłos uderzeń siekier rozlegał się teraz jak jeden pojedynczy ostry strzał. Widziałem, że im się to podoba, bo

nagle Franz uśmiechnął się i roześmiał, ojciec też się uśmiechnął, a ja zapragnąłem być taki jak oni, zapragnąłem mieć takiego przyjaciela jak Franz, z którym mógłbym razem wywijać siekierą, planować, wykorzystywać własną siłę, śmiać się i rąbać w takt nad rzeką jak ta, stale taką samą, a mimo wszystko nową, tak jak teraz, ale mój jedyny ewentualny przyjaciel zniknął i nikt już o nim nie mówił. Owszem, miałem ojca, ale to nie to samo. On się zmienił w mężczyznę, który wie o tajemniczym życiu oprócz tego, o którym ja wiedziałem, a poza nim ma może jeszcze jedno, i nie byłem już pewien, czy mu ufam.

Ojciec przyspieszył, a Franz poszedł w jego ślady, teraz mój ojciec także się śmiał i wywijał siekierą, przykładając do niej jeszcze większą siłę, i nagle usłyszałem trzask wydobywający się spod ostrza. Krzyknął:

– Uciekaj, do cholery!

Odwrócił się i odskoczył w bok. Franz z głośnym śmiechem zrobił to samo. Obie podtrzymujące kłody pękły jedna po drugiej, złożyły się, podpory upadły idealnie w przód według planu, a wtedy sterta runęła z odgłosem setki ciężkich dzwonów, ponad wodą przez las naprawdę poniósł się śpiew i przynajmniej połowa bali stoczyła się w dół i niemal wskoczyła do wody. W rzece dosłownie się zagotowało, to była imponująca kotłownia drewna i wody, a ja się cieszyłem, że mogę przy tym być i to oglądać.

Ale dużo drewna zostało jeszcze na brzegu, a w drogę wyruszyć miało wszystko, rzuciliśmy się więc do roboty z bosakami, szarpaliśmy, popychaliśmy i ciągnęliśmy, czasami potrzebny był nam łom, żeby rozsunać bale, gdy się zakleszczyły, a czasami sznur, żeby wyciągnąć je z płataniny, poddawały się jeden po drugim. We dwóch przetaczaliśmy je bosakami do rzeki, wpadały do niej z pluskiem i nagle ruszały powoli, dostojnie z prądem przez dolinę do Szwecji.

Wcześniej poczułem się zmęczony. To uczucie, na które czekałem, a które miało mnie poderwać, oszołomić, dać coś więcej z tej pracy, kierować mną od jednego zamachu do drugiego, nie pojawiło się ani w mięśniach nóg, ani rąk, ani też gdzie indziej, chociaż miałem taką nadzieję. Zamiast tego czułem się pusty i ciężki, musiałem koncentrować się na każdej rzeczy, by nikt nie zauważył, w jakim jestem stanie. Kolano mnie bolało, dlatego z ulgą powitałem wreszcie wołanie ojca, że pora na przerwę. Przeważająca część sterty została już wyekspediowana do rzeki, pozostała tylko drobnica, no, ale był też jeszcze jeden stos, który należało spławić. Podczołgałem się pod sosnę z drewnianym krzyżem, który Franz przybił w jakąś zimową noc w 1944, ponieważ pewien człowiek z Oslo w za szerokich i za cienkich spodniach zginął tu od niemieckich kul, ułożyłem się wśród wrzosów pod krzyżem z głową wtuloną w jeden z wielkich korzeni i od razu zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, klęczała nade mną matka Jona ze słońcem za głową i z jedną ręką na moich włosach, ubrana była w bawełnianą sukienkę w niebieskie kwiaty, a w twarzy miała wielką powagę, gdy pytała, czy jestem głodny. Przez mgnienie oka byłem mężczyzną w szerokich spodniach, który mimo wszystko nie umarł, tylko doszedł do siebie i patrzył na wciąż stojącą nad nim kobietę, ale zaraz rozwiął się i zniknął. Zamrugalem, czując, że się czerwienię, i od razu wiedziałem, że to dlatego, że ona właśnie mi się śniła, nie pamiętałem dokładnie jak, ale w tym śnie było jakieś intensywne obce ciepło, do którego nie mogłem się przyznać teraz, kiedy na mnie patrzyła. Kiwnąłem głową, próbując się uśmiechnąć, i zacząłem się podnosić na jednej ręce.

– Już idę – powiedziałem.

– To dobrze. Chodź szybko, jest jedzenie – odparła i uśmiechnęła się tak nieoczekiwanie, że musiałem odwrócić głowę, spojrzeć na wodę kołyszącą się za jej plecami aż po drugi brzeg, na którym nagle pojawiły się dwa konie Barkalda, wysoko za płotem ogradzającym łąkę, i gapiły się na nas z nastawionymi uszami, waląc kopytami, jak dwie zjawy przepowiadające przyszłe kryzysy.

Matka Jona podniosła się z kolan jednym płynnym ruchem i odeszła do trzaskającego ogniska, które Franz lub mój ojciec rozpałił na pustym miejscu po pierwszym sągu. Pachniało pieczonym boczkiem, kawą, pachniało też dymem i drewnem, wrzosem, kamieniami rozgrzаныmi w słońcu, i był tam też inny szczególny zapach, którego nie czułem nigdzie indziej, tylko nad tą rzeką, nie wiedziałem, czym jest, lecz być może łączył w sobie wszystko, co się tutaj znajdowało, stanowił wspólny mianownik, sumę, i gdybym stąd wyjechał i nigdy tu nie wrócił, to już nigdy nie poczułbym tego zapachu.

W pewnym oddaleniu od ogniska na kamieniu koło wody siedział Lars. W rękę trzymał garść grubych patyków, połamał je na kawałki równej długości i na pagórku na kępie trawy obok kamienia ułożył z nich stos, a przed stosem wetknął w ziemię dwie zaostrome gałązki jako podpory. Wszystkie patyki oparł na nich. Wyglądało to bardzo ładnie, jak prawdziwy sąg bali w miniaturze. Podeszedłem do niego i przykucnąłem, noga po tej krótkiej drzemce już mi tak nie dokuczała, doszedłem więc do wniosku, że jednak nie zostanę inwalidą.

– Ta sterta naprawdę świetnie wygląda – powiedziałem.

– To tylko patyki – odparł Lars cichym, poważnym głosem, nie odwracając głowy.

– No pewnie, ale i tak jest ładna. Prawdziwa miniatura.

– Nie wiem, co to jest minatura – powiedział Lars cicho.

Zastanowiłem się, właściwie sam tego nie wiedziałem, ale wyjaśniłem:

– To coś takiego, co jest bardzo małe, ale identyczne z tym, co jest duże, tyle tylko, że jest małe, rozumiesz?

– Phi... To tylko patyki.

– W porządku. Tylko patyki. Nie chcesz nic jeść?

Pokręcił głową.

– Nie – odparł tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – Nie chcę nic jeść.

– No to dobrze. Może być i tak. Nie ma, do cholery, przymusu. – Podniosłem się ostrożnie, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę. – Ja w każdym razie jestem głodny – stwierdziłem, odwróciłem się od niego, odszedłem parę kroków i wtedy usłyszałem jego słowa:

– Ja zastrzeliłem swojego brata.

Zawróciłem i cofnąłem się te dwa kroki. W ustach czułem suchość. Prawie szepnąłem:

– Wiem. Ale to nie była twoja wina. Nie wiedziałeś, że strzelba jest naładowana.

– Nie – powiedział. – Nie wiedziałem.

– To był wypadek.

– Tak. To był wypadek.

– Jesteś pewien, że nie chcesz nic jeść?

– Nie, posiedzę tutaj.

– No dobrze – zakończyłem. – Możesz przyjść za chwilę, kiedy poczujesz, że zgłodniałeś.

Patrzyłem na jego włosy i na niewielki widoczny fragment twarzy, miał przecież, do diabła, dopiero dziesięć lat, ale nic się w niej nie poruszyło, Lars nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

Podszedłem do ogniska, przy którym mój ojciec nieruchomy, odwrócony plecami do rzeki, siedział obok matki Jona na jednym z bali, które wciąż tam leżały. Nie był tak blisko niej jak wtedy rano na pomoście, ale i tak blisko, a jego plecy wydawały się takie spokojne, wręcz pewne siebie, że nagle ogromnie mnie to zirytowało. Franz znalazł sobie miejsce naprzeciwko nich, na pniaku, trzymał blaszany talerz w ręce, widziałem jego zarośniętą twarz przez ognisko i przezroczyisty dym, wszyscy zaczęli już łamać chleb.

– Chodź, Trond, siadaj tutaj – powiedział Franz z pewnym napięciem w głosie i poklepał pieńek obok swojego pieńka. – Musisz coś zjeść, jeszcze dużo roboty przed nami. Trzeba jeść, jeśli mamy wytrzymać.

Ale ja nie usiadłem na tym pniaku. Zrobiłem coś, co wydawało mi się wtedy

nieprzyzwoite i ciągle mi się takie wydaje, bo prędko podszedłem do mojego ojca i matki Jona, od tyłu przetruciłem jedną nogę ponad kłodą, na której siedzieli, i bez zbędnych wyjaśnień wcisnąłem się między nich. Właściwie nie było tam dla mnie miejsca, więc otarłem się mocno o ich ciała, szczególnie o jej, miękkie pod moimi niezgrabnymi i niezyczliwymi ruchami. Od razu pożałowałem, że tak zrobiłem, ale już się stało, ona się odsunęła, a ojciec siedział sztywny jak deska.

– Tu się dobrze siedzi – oświadczyłem.

– Tak sądzisz? – spytał ojciec.

– Oczywiście – odparłem. – W takim dobrym towarzystwie.

Popatrzyłem prosto w twarz Franza i zatrzymałem na niej wzrok, ale on zaczął błędzić gdzieś spojrzeniem i w końcu wbił je w swój talerz, a usta wykrzywił w dziwnym grymasie, ledwie jadł. Wziąłem dla siebie talerzyk i widelec, a potem wychyliłem się i zacząłem sobie nakładać z patelni, płaskiej, stabilnie ustawionej na kamieniu na skraju ogniska.

– Nieźle to wygląda – roześmiałem się i usłyszałem, że w moim głosie pojawił się przenikliwy ton, o wiele wyższy, niż zamierzałem.

Wydobynam się ze snu w stronę światła i widzę je nad sobą. To tak jakbym znalazł się pod wodą; jaśniejąca niebiesko powierzchnia w górze, tak blisko, a zarazem poza zasięgiem, bo w fioletowych warstwach tu, w dole, nic nie dzieje się szybko, byłem tu już wcześniej, ale teraz nie wiem, czy zdążę wypłynąć w porę. Wyciągam ręce na tyle, na ile starcza mi sił, w głowie mi się kręci z wycieńczenia i nagle czuję zimne powietrze na spodach dłoni, poruszam nogami, nabieram prędkości, uderzam w górną warstwę twarzą i wreszcie mogę otworzyć usta i zaczerpnąć powietrza. Potem otwieram oczy i widzę, że wcale nie jest jasno, tylko tak samo ciemno jak w głębi. Rozczarowanie ma smak popiołu w ustach, nie tutaj chciałem dotrzeć. Biorę głęboki oddech, zaciskam wargi, bo chcę zanurkować z powrotem, i dopiero wtedy pojmuję, że leżę w swoim łóżku pod kołdrą w pokoiku przy kuchni, jest wczesnie rano, wciąż całkiem ciemno i nie muszę już wstrzymywać oddechu. Wypuszczam go więc i z ulgą śmieję się w poduszkę, śmiech przechodzi w płacz, zanim zdążyłem zrozumieć dlaczego. To coś nowego, nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałem, trwa to jakiś czas, i myślę sobie: czy jeśli pewnego ranka nie wydobędę się na tę powierzchnię, będzie to oznaczało, że umieram?

Ale wcale nie dlatego płaczę. Mógłbym przecież wyjść i położyć się w śniegu, aby zmroził mnie chłód, byłbym wtedy najbliżej możliwości poznania tego uczucia. Mógłbym się z łatwością przygotować. Ale przecież nie śmierci się boję. Odwracam się w stronę nocnego stolika i patrzę na świecącą tarczę zegara. Jest szósta. To moja pora. Muszę się ruszyć. Odsuwam kołdrę na bok i siadam. Tym razem z kręgosłupem wszystko jest w porządku, siedzę na brzegu łóżka, stopami dotykając chodnika z gałganków, który ułożyłem na podłodze, żeby nogi nie doznawały zbyt wielkiego wstrząsu w tej zimnej porze roku. Kiedyś będę musiał położyć nową podłogę i dobrze ją zaizolować. Może na wiosnę, jeśli wystarczy mi pieniędzy. Oczywiście, że wystarczy. Kiedy przestanę się tym martwić? Zapalam lampę przy łóżku. Macam dłonią w poszukiwaniu spodni, znajduję je, biorę do ręki i w tym momencie się zatrzymuję. Nie wiem. Najwyraźniej nie jestem gotowy. Są rzeczy, które muszę zrobić. Muszę wymienić kilka desek w zewnętrznym schodku, zanim ktoś złamie sobie

na nim nogę, to właśnie zaplanowałem na dzisiaj. Kupiłem impregnowane materiały i trzycalowe gwoździe, powinny wytrzymać, wydaje mi się, że czterocalowe to przesada, no i jest jeszcze robota z porąbaniem klocków suchego świerka na polana odpowiedniej grubości, wciąż tego nie zrobiłem, a nie powinienem zwlekać zbyt długo, to oczywiste, przecież zima może niedługo zagościć w pełni, tak się to przynajmniej zapowiada. A później przyjdzie Lars i będziemy samochodem odciągając na łańcuchu ten wielki korzeń. Właściwie może to być zabawne, jeśli nam się uda. Wyglądam przez okno. Śnieg przestał padać. Widzę kontury zwałów odrzuconego śniegu, dzisiaj praca na dworze może nie być taka lekka.

Wypuszczam spodnie z ręki i z powrotem kładę się na poduszkę. W tym śnie coś było, to niedobry sen. Wiem, że jeśli zechcę, mogę się dowiedzieć, o co w nim chodziło, jestem niezły w rekonstruowaniu, a przynajmniej byłem, ale nie wiem, czy tego chcę. To erotyczny sen, często je niewam, przyznaję, nie są zastrzeżone dla nastolatków. Była w tym śnie matka Jona, taka, jak wyglądała latem 1948 roku, a ja taki, jak jestem teraz, sześćdziesięciosiedmioletni, ponad pięćdziesiąt lat później; może był tam też gdzieś mój ojciec, w tle, w cieniach, takie mam wrażenie, w żołądku mnie ściska, gdy tylko wspomnę ten sen. Myślę, że nie powinienem go ruszać, niech opada i spokojnie legnie na dnie wśród wszystkich innych, które miałem i których nie chcę tknąć. Ta część życia, kiedy mogłem do czegoś wykorzystywać te sny, już minęła. Niczego więcej nie będę zmieniał, zostanę tutaj. Jeśli się da. Taki mam plan.

Wstaję więc. Piętnaście po szóstej. Lyra podnosi się ze swojego legowiska przy piecu, podchodzi do kuchennych drzwi i czeka. Odwraca głowę i patrzy na mnie, w jej spojrzeniu jest ufność, a ja nie wiem, czy na nią zasługuję. Ale może wcale nie chodzi o zasługiwanie czy niezasługiwanie, może to zaufanie po prostu istnieje, niezależnie od tego, kim jesteś i co zrobiłeś, i nie zostanie dołożone ani na jedną, ani na drugą szalkę wagi. Dobrze by było. *Good dog*, Lyra, myślę, *good dog*. Otwieram drzwi, wypuszczam ją do sieni i na schodki, zapalam od środka światło na zewnątrz, idę za nią, stoję i patrzę. Lyra skacze prosto w oświetlone żółto wielkie zasy śniegu, zalegające wszędzie z wyjątkiem tych miejsc, które Åslien tak ładnie odśnieżył; objechał podwórze wielkim kręgiem, omijając mój samochód o kilka centymetrów, a olbrzymi korzeń najwyraźniej popychał pługiem w przód i w tył, prawdopodobnie dlatego, że przez cały czas mu zawadzał, ostatecznie zostawił go z boku, gdzie teraz leży, gotowy do późniejszego transportu. Åslien odśnieżył nawet pas wzdłuż jednej ściany domu, tamtędy chodzę wysikać się pod lasem, kiedy nie chcę zanadto obciążać małej wygodki. Może to sugestia, żebym przestawił tam samochód, by w przyszłości nie przeszkadzał traktorowi, a może i on też ma taką wygodkę?

Zostawiam Lyrę na podwórzu, żeby sama obwąchała ten nowy biały świat, zamykam drzwi i idę rozpalić w piecu. Nie mam z tym dziś żadnego problemu, wkrótce ogień trzaska już wesoło za żeliwną płytą, nie zapalam od razu górnego światła, żeby czerwonożółte płomienie z pieca rzucały wyraźną migotliwą poświatę na podłogę i ściany. Ten widok zapiera mi dech i uspokaja, tak jak z pewnością uspokajał ludzi od tysięcy lat: niech wilki sobie wyją, bo tu, przy ognisku, jest bezpiecznie.

Nakrywam do śniadania, wciąż nie zapalając światła. Potem wpuszczam Lyrę do środka, żeby poleżała trochę przy piecu, zanim wyjdziemy na spacer razem. Siadam przy stole i wyglądam przez okno. Podwórzową lampę zgasiłem, by świeciła tylko własna powierzchnia rzeczy, ale jest jeszcze za wcześnie na światło dnia, nad drzewami koło jeziora widać jedynie cień różowej pajęczyny, niewyraźne kreski, jak gdyby narysowane kredką o zbyt twardym graficie. A jednak za sprawą śniegu wszystko jest wyraźniejsze, niż było, widać linię podziału między niebem a ziemią, a to jest czymś nowym tej jesieni. Jem śniadanie powoli, nie myśląc już więcej o śnie, a kiedy kończę, sprzątam ze stołu, wychodzę do sieni, wkładam długie buty i starą ciepłą marynarską kurtkę, czapkę z nausznikami, rękawiczki i ten wełniany szalik, który noszę na szyi od co najmniej dwudziestu lat, pewna kobieta zrobiła mi go na drutach wtedy, gdy byłem samotnym rozwiedzionym mężczyzną, nie mogę sobie przypomnieć jej imienia, ale pamiętam jej dłonie z czasów, gdy byliśmy razem, nigdy nie pozostawały w bezruchu. Ale poza tym była spokojna i dyskretna, w ciszy dochodziło jedynie podzwanianie drutów, wreszcie dla mnie to wszystko stało się trochę zbyt ciche i nasz związek po cichu i niepostrzeżeniu rozplątał się w nicość.

Lyra, już gotowa, merda ogonem przy drzwiach, zdejmuję więc z półki latarkę, rozkręcam jeden jej koniec i wymieniam zużyte baterie na nowe, które trzymam w pogotowiu na tej samej półce, wychodzimy. Ja ruszam pierwszy, a ona dopiero, kiedy jej pozwolę, to przecież ja jestem szefem. Czeka jednak z radością, bo zna nasz system, i uśmiecha się, jak tylko pies potrafi się uśmiechać, a kiedy cicho mówię „Chodź”, podrywa się, skacząc z miejsca co najmniej na metr, przez całe schody. Wskakuje mi niemal wprost na rękę, z wyprostowanymi łapami. Zachowała w sobie szczeniaka.

Zapalam latarkę i zaczynamy schodzić w dół zbocza szlakiem odśnieżonym przez Åsliena, który pozostawił ostre wysokie brzegi, opadające łagodnym łukiem do mostu przez rzeczkę i do chaty Larsa na przeciwległym brzegu, z pewnością również do szosy między świerkami; zatrzymujemy się, oświetlam latarką ścieżkę, którą zwykle chodzimy nad jezioro. Leży na niej dużo śniegu, nie wiem, czy mam siłę przedzierać się tamtędy. Ale w takim razie pozostaje mi tylko jeden inny kierunek, to znaczy prosto. Tam nigdy nie chodziliśmy razem,

to ostatni odcinek przed szosą, więc ze względu na samochody musiałbym brać Lyrę na smycz, a nie jest to szczególnie przyjemne ani dla niej, ani dla mnie. Równie dobrze mógłbym wtedy mieszkać w mieście, dreptać w górę i w dół tych samych smutnych ulic, którymi chodziłem przez trzy lata, powtarzając w myślach, że to wkrótce musi się skończyć, coś musi się wydarzyć, inaczej ja będę skończony. Dochodzę więc do wniosku: dlaczego nie miałbym się zmęczyć, co takiego mi pozostało w życiu, na co musiałbym oszczędzać siły? Przedzieram się przez zwały odgarniętego śniegu i przez pierwsze zasy, idę z zapaloną latarką; w niektórych miejscach śnieg całkiem zwiąło ze ścieżki, wtedy wygodnie się nią idzie, ale gdzie indziej nawiało go wysoko, naprawdę mądrze zrobiłem, wkładając długie buty, zadzieram nogi do góry, wyrzucam jedną w przód, najpierw prawą, pozwalam, by się zapadła, potem lewą i też pozwalam jej się zapaść, a potem znów powtarzam te same ruchy i w ten sposób pokonuję najtrudniejsze odcinki. Nade mną się przejaśnia, na niebie widać gwiazdy, nieco blade teraz, gdy noc ma się ku końcowi, ale śniegu dzisiaj nie przybędzie. Kiedy dzień wstanie na dobre, zaświeci słońce, chociaż nie tak obezwładniająco mocne, nie tak wibrująco gorące jak tamtego dnia, który nagle mi się przypomina, pewien dzień pod koniec lipca w 1945, kiedy razem z siostrą stałem na piętrze przy oknie z widokiem na kraniec Oslofjorden, Nesoddlandet i Bunnefjorden. Było lato, oślepiające słońce nad wodą i łódzie ogarnięte histerią w wyzwolonej Norwegii, mknące na pełnych żaglach zygzakiem od plaży do plaży, z zapalem robiące zwrot przez sztag i nigdy niezমেzczone, a ludzie na pokładach śpiewali, nie wstydzili się i było im tak wesoło. Ale ja już wtedy czułem się zmęczony wszystkim, wycieńczony czekaniem, widziałem tych ludzi już tyle razy, w parku Studenckim w mieście i w schronisku Østmarksetra, na kąpielisku Ingierstrand i przy Fagerstrand, gdy wybieraliśmy się tam pożyczoną łódką, i w wielu innych miejscach, gdzie wiwatowano, wrzeszczano i nie chciano zrozumieć, że zabawa już się skończyła. Dlatego my nie patrzyliśmy na fiord, z tamtej strony nie mogło nadejść nic, na co chciałoby mi się czekać. Tego dnia moja siostra i ja wpatrywaliśmy się w drogę, którą wolnym krokiem nadszedł mój ojciec, wspinając się po stromym zboczu Nielsenbakken ze stacji Ljan; wracał ze Szwecji po wojnie, bardzo spóźniony, bardzo ostrożny, w znoszonym szarym garniturze z szarym workiem na plecach, z którego wystawało coś, co wyglądało jak wędka, nie powlóczył nogą, nie kulał, nie był ranny, przynajmniej na tyle, na ile widzieliśmy, lecz mimo wszystko szedł wolno, jak gdyby w wielkiej ciszy, w próżni, ale dlaczego nie czekaliśmy na stacji odpowiednio wcześniej przed przyjazdem pociągu albo nie wyszliśmy mu na drogę na spotkanie, tylko staliśmy w oknie, tego dzisiaj nie pamiętam. Może się wstydziliśmy. Wiem, że w każdym razie ja się wstydzilem, jak zawsze. Moja matka czekała w drzwiach na

parterze, przygryzając wargę i ściskając w rękach przemoczoną chusteczkę, a jej stopy nie były w stanie ustać w spokoju. Przebierała nogami, jakby musiała iść do toalety, aż w końcu nie zdołała dłużej wytrzymać, oderwała się od framugi, pobiegła drogą i na oczach czujnych świadków w wielu ogrodach wtuliła się w ciało mojego ojca. To właśnie chciała zrobić, musiała to zrobić, wtedy wciąż jeszcze była młoda i poruszała się lekko, ale ja zapamiętałem ją taką, jaka była później: rozgoryczoną, naznaczoną, ociężałą.

Mój ojciec musiał spodziewać się takiego przyjęcia, nic innego nie potrafię sobie wyobrazić. Nie widzieliśmy go od ośmiu miesięcy, a pierwszą wiadomość od niego dostaliśmy dopiero dwa dni wcześniej, więc wiedzieliśmy, że wraca. Moja siostra z hałasem zbiegła na dół, kopiując każdy ruch matki, ku memu wielkiemu zawstydzeniu. Ja zszedłem powoli, nie dałem się łatwo porwać, nie byłem taki. Zatrzymałem się przy skrzynce pocztowej, oparłem o nią i patrzyłem, jak one dwie wczepiają się w ojca. Ponad ich ramionami widziałem jego spojrzenie, w pierwszej chwili zdezorientowane i bezradne, które potem zaczęło szukać mojego wzroku, a ja jego. Ostrożnie skinąłem głową. Odpowiedział mi tym samym i posłał mi lekki uśmiech przeznaczony tylko dla mnie, tajemniczy, zrozumiałem, że od tej chwili jest nas dwóch, że zawarliśmy pakt. I chociaż jego nie było tak długo, wydawał mi się tego dnia bliższy niż przed wybuchem wojny. Miałem wtedy dwanaście lat i to jedno spojrzenie przeniosło punkt ciężkości mojego życia w inne miejsce, z niej na niego, i wyznaczyło nowy kurs.

Ale może za bardzo się pośpieszyłem.

Zasapany docieram do przysypanej śniegiem ławki nad wodą, czy raczej nad Jeziorem Łabędzim, bo tak w duchu nazywam po dziecinnemu to miejsce; Jezioro Łabędzie w świetle latarki jest czarne, lód jeszcze go nie skuł, aż takiego mrozu nie było, o tej porze nie widać też łabędzi. Pewnie przez noc siedzą w gęstych trzcinach na suchym lądzie z tymi swoimi białymi łukami długich szyj przypominających porośnięte piórkami kokardy i z głowami pod skrzydłem, potrafię to sobie wyobrazić; dopóki nie wstanie dzień, nie wypłyną zerować na otwartych wodach płycizny wzdłuż brzegu. Nie zastanawiałem się, co zrobią, kiedy jezioro zamrznie, dlaczego nie odlecą na południe na wody wolne od lodu, czy zostaną tu aż do wiosny? Czy łabędzie zimują w Norwegii? Muszę się tego dowiedzieć.

Zamaszystymi ruchami zgarniam śnieg z ławki, otrzepuję ją rękawicą do czysta, starannie obciążam kurtkę na pośladki i siadam. Lyra baraszkuje w śniegu i prycha szczęśliwa, a w jednym miejscu rzuca się na grzbiet i tarza z łapami w powietrzu, ociera się z wielką radością, by wchłonąć w sierść zapach tego, co było tu wcześniej. Może lisa. W takim

razie trzeba będzie ją po powrocie do domu wykąpać, to już nie pierwszy raz, wiem, jak to pachnie w kuchni. Ale na razie jest jeszcze ciemno i mogę siedzieć tutaj, nad Jeziorem Łabędzim, i myśleć o czym chcę.

Idę pod górę z powrotem do domu. Dzień nadchodzi już w pełni, w czerwieni i żółci, temperatura rośnie, czuję to na twarzy i nie wykluczam, że większość śniegu stopnieje, może nawet w ciągu dzisiejszego dnia. Bez względu na to, co myślałem wcześniej, w tej chwili ogarnia mnie rozczarowanie.

Na podwórzu obok mojego samochodu stoi inne auto, z dołu widzę je dobrze, to białe mitsubishi spacewagon, mniej więcej takie, nad jakim ja się zastanawiałem, bo wyglądało na odporne, a przez to pasowało do domu, który kupiłem i do którego miałem się przeprowadzić, a kiedy już raz podjąłem decyzję, właśnie tak postrzegałem całą tę sytuację: jako wymagającą odporności, i to mi się podobało, sam czułem się trochę odporny, po trzech latach w korytarzu ze szkła, w którym przy każdym najmniejszym ruchu wszystko pękało na drobniutkie kawałeczki, a pierwszą koszulą, która spodobała mi się po przeprowadzce, była gruba flanelowa koszula w czarno-czerwonej kratce z rodzaju tych, jakich nie nosiłem od lat pięćdziesiątych.

Przed białym mitsubishi stoi jakaś osoba, chyba kobieta, w ciemnym płaszczu, z gołą głową, włosy ma jasne i kręcone, z przyczyn naturalnych lub bardziej technicznych, nie zgasiła silnika, bo widzę ciche, białe spaliny unoszące się na tle ciemniejszych drzew wokół podwórza. Stoi spokojnie i czeka, z jedną ręką na czole lub we włosach, i spogląda na drogę, którą nadchodzi; jest w tej postaci coś, co widziałem już wcześniej, a Lyra nagle ją dostrzega i pędzi do niej. Nie słyszałem nadjeżdżającego samochodu, nie zauważyłem też śladów na śniegu, kiedy wyszedłem na drogę ze ścieżki, ale też i nie spodziewałem się nikogo o tej porze. Godzina nie może być dalej niż ósma. Patrzę na zegarek, pokazuje pół do dziewiątej. Aha.

To moja córka tam stoi. Starsza z dwóch. Ma na imię Ellen. Zapaliła papierosa i trzyma go tak jak zawsze, w wyprostowanych palcach z dala od siebie, jak gdyby właśnie miała go przekazać komuś innemu albo udawała, że nie należy do niej. Sam ten gest pozwolił mi ją rozpoznać. Szybko obliczam, że musi mieć już trzydzieści dziewięć lat. Wciąż jest

piękną kobietą. Raczej nie po mnie odziedziczyła urodę, jej matka była piękna. Nie widziałem Ellen co najmniej od pół roku i nie rozmawiałem z nią od przeprowadzki, a właściwie dużo dłużej. Szczerze mówiąc, niezbyt wiele o niej myślałem, tak samo zresztą jak o jej siostrze. Tyle było innych spraw. Dochodzę na samą górę, Lyra stoi przed Ellen, merda ogonem i w nagrodę zostaje pogłaskana po łbie, one się nie znają, ale moja córka lubi psy, od razu jej ufają. Tak było już w jej dzieciństwie. O ile dobrze sobie przypominam, kiedy odwiedziłem ją ostatnio, też miała psa. Brązowego. Tyle zapamiętałem. Od tej wizyty minął już zresztą jakiś czas. Zatrzymuję się, uśmiecham, jak potrafię, a Ellen podnosi głowę i patrzy na mnie.

– To ty? – pytam.

– Owszem, ja. Chyba zrobiłam ci niespodziankę.

– Nie zaprzeczę. Wcześniej się zjawiałaś.

Na jej twarzy pojawia się półuśmiech, który powoli znika, Ellen zaciąga się dymem, wydmuchuje go powoli i odsuwa papierosa od siebie w niemal całkiem wyprostowanej ręce. Przestała się uśmiechać. Trochę mnie to niepokoi.

– Wcześniej? Być może. I tak źle spałam, więc mogłam wyjechać wcześniej. Wyruszyłam o siódmej, kiedy wszyscy ci, co mieli wyjść z domu, już wyszli. Zrobiłam sobie dzisiaj wolne, postanowiłam to już dawno temu. Okazało się, że jechałam tu trochę ponad godzinę. Szykowałam się na dłuższą jazdę. Właściwie dziwne, że to nie dalej. Dopiero przyjechałam, jakiś kwadrans temu.

– Nie słyszałem samochodu – wyjaśniam. – Byłem w lesie nad jeziorem. Dużo tam śniegu. – Odwracam się i pokazuję, ale zanim zdążyłem się odwrócić, ona gasi papierosa na moim podwórzu, robi dwa, trzy kroki, obejmuje mnie za szyję i ściska. Przyjemnie pachnie i ma tyle samo wzrostu co poprzednio. Nic w tym dziwnego, między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia niewiele się rośnie, ale był taki czas, kiedy dużo podróżowałem i większą część roku spędzałem poza domem, jeździłem po wszystkich możliwych miejscach w Norwegii i między moimi powrotami do domu obie dziewczynki rosły, albo tak mi się przynajmniej wydawało, i zawsze tak cicho siedziały obok siebie na kanapie; wiem, że wpatrywały się w drzwi, którymi miałem wejść, pamiętam, że czasami czułem się przez to zmieszany i nieswój, kiedy w końcu wchodziłem i widziałem, jak siedzą zawstydzone i pełne oczekiwania. Teraz też czuję się nieswojo, bo Ellen mocno mnie obejmuje i mówi:

– Cześć, tato. Dobrze cię widzieć.

– Cześć, córeczko. Ja też się cieszę – odpowiadam, a ona mnie nie puszcza, tylko dalej tak stoi i bardzo cicho mówi mi w szyję:

– Musiałam obdzwonić wszystkie gminy w promieniu stu kilometrów i jeszcze dalej,

żeby się dowiedzieć, gdzie mieszkasz. To trwało tygodniami. Nie masz nawet telefonu.

– No tak, rzeczywiście nie mam.

– No tak, rzeczywiście nie masz. Niech cię diabli!

Kilka razy zaciśniętą pięścią uderza mnie w górną część pleców, wcale nie lekko.

– Hej, hej, pamiętaj, że jestem starym człowiekiem.

Wydaje mi się, że ona płacze, ale pewien nie jestem. W każdym razie ściska mnie za szyję tak mocno, że trudno mi oddychać, nie odsuwam jej od siebie, tylko na razie wstrzymuję oddech i obejmuję ją, może trochę za ostrożnie, czekam, aż sama mnie puści, dopiero wtedy odrywam ręce, robię krok do tyłu i wypuszczam powietrze.

– Teraz już chyba możesz zgasić ten silnik – proponuję, lekko zdyszany, skinieniem głowy wskazując na powarkujące mitsubishi. Pierwsze promienie słońca odbijają się od wypolerowanego białego lakieru i oślepiają mnie. W oczach mnie piecze. Opuszczam powieki.

– No tak – odpowiada Ellen. – Rzeczywiście mogę. Przecież jesteś tutaj. Nie poznałam nawet twojego samochodu, myślałam, że zabłądziłam.

Słyszę, że Ellen obchodzi swoje auto po śniegu, przesuwam się parę kroków i otwieram oczy w momencie, gdy ona uchyla drzwiczki, przekręca kluczyk i gasi światła. Robi się całkiem cicho. Teraz widzę, że trochę jednak płakała.

– Chodź ze mną do środka, napij się kawy. Muszę zresztą usiąść, nogi mnie bolą po tej wyprawie po śniegu. Mówiłem już, że jestem starym człowiekiem. Jadłaś śniadanie?

– Nie – odpowiada. – Szkoda mi było czasu.

– No, to poszukamy czegoś do jedzenia. Chodź!

Lyra posłusznie reaguje na ostatnie słowo, wchodzi po dwóch schodkach i staje przed drzwiami.

– Jaka ona ładna – mówi moja córka. – Długo ją masz? Nie jest już szczeniakiem.

– Od ponad pół roku. Pojechałem do tego gospodarstwa pod Oslo, w którym szukają domów dla psów. Nie pamiętam, jak to się nazywa. Wziąłem ją od razu, nie miałem żadnych wątpliwości, po prostu do mnie podeszła, usiadła i zaczęła merdać ogonem. Prawie mi się oddała – dodaję, kusząc się na krótki śmiech. – Ale tam nie wiedzieli, ile może mieć lat, ani jakiej jest rasy.

– To jest Towarzystwo Poszukiwania Domów dla Zwierząt. Byłam tam kiedyś. A ras ma chyba wiele. W Anglii to się nazywa *British Standard*, takie eleganckie określenie mieszańca wszystkiego, co można spotkać na ulicach. Ale jest naprawdę ładna. Jak ma na imię?

Ellen przez parę lat chodziła do szkoły w Anglii i dużo jej to dało. Ale była już wtedy dorosła. Wcześniej przez wiele lat większość rzeczy nic jej nie dawała.

– Lyra. Nie ja je wymyśliłem. Taki miała napis na obroży. W każdym razie cieszę się, że ją wybrałem. Nie żałowałem nawet przez sekundę. Dobrze nam razem i dzięki niej o wiele łatwiej mieszkać samemu.

W moich ostatnich słowach pobrzmiewa trochę skargi; to nielojalność wobec mojego tutejszego życia; nie muszę go bronić ani nikomu się tłumaczyć, nawet tej mojej córce, którą trzeba przyznać, bardzo lubię, a która przyjechała tutaj tak wcześnie rano ciemnymi drogami przez wiele gmin w swoim mitsubishi spacewagon gdzieś z obrzeży Oslo, właściwie aż z Maridalen, żeby zobaczyć, gdzie mieszkam, bo prawdopodobnie jej tego nie powiedziałem i w ogóle nawet nie pomyślałem o tym, że powinienem. Teraz rozumiem, że to się mogło wydać dziwne; jej znów łzy kręcą się w oczach, co trochę mnie irytuje.

Otwieram drzwi, Lyra wciąż siedzi na schodach i nie rusza się z miejsca, dopóki Ellen i ja nie wejdziemy do sieni, wtedy i jej lekkim, wyćwiczonym gestem dłoni pozwalam wejść do środka. Biorę płaszcz od córki, wieszam go na wolnym kołku i prowadzę ją do kuchni. W domu wciąż jest dość ciepło. Otwieram drzwiczki pieca i zaglądam do środka, w komorze zostało sporo żaru.

– Da się to jeszcze uratować – stwierdzam; podnoszę pokrywę skrzyni z drewnem, sypię trochę drzazg i kawałków papieru na żar i ustawiam na tym trzy polana średniej wielkości. Otwieram popielnik, żeby był ciągiem, i ogień od razu zaczyna trzaskać.

– Bardzo tu ładnie – mówi Ellen.

Zamykam drzwiczki pieca i rozglądam się wokoło. Nie wiem, czy ma rację. Miałem taki zamiar, że tu kiedyś będzie ładnie, z czasem, kiedy zrealizuję już większość planów ulepszeń, ale na razie jest czysto i porządnie. Może właśnie o to jej chodzi, może po samotnie mieszkającym starszym mężczyźnie spodziewała się czegoś innego, a to, co zobaczyła, miło ją zaskoczyło. W takim razie źle mnie pamięta z czasów, które spędziliśmy wspólnie. Nie lubię bałaganu, nigdy nie lubiłem. Właściwie jestem pedantem, każda rzecz ma mieć swoje miejsce i w każdej chwili być gotowa do użytku. Kurz i brud mnie denerwują. Gdy już raz zaniedba się sprzątanie, łatwo całkiem zbłądzić, szczególnie tu, w tym starym domu. Jednym z moich wielu lęków jest to, że zmienię się w mężczyznę w wystrzępionej marynarce i z rozpiętym rozporkiem przy kasie spółdzielni, w koszuli zaplamionej jajkami i czymś jeszcze, ponieważ w lustrze w sieni już nic nie widać. W rozbitka zakotwiczonego wyłącznie we własnych myślach, w których czas utracił swój porządek.

Proszę, żeby usiadła przy stole, w czajniku mam już świeżą wodę na kawę, stawiam go

na kuchence i płyta od razu zaczyna syczeć. Musiałem zapomnieć ją wyłączyć, kiedy korzystałem z niej rano, to właściwie dość poważna sprawa, ale Ellen chyba nie zwróciła uwagi na ten odgłos, udaję więc, że nic się nie stało, kroję kilka kromek chleba i układam je w koszyczku. Czuję nagłą złość i lekkie mdłości, widzę, że ręka mi się trzęsie, trzymam więc ciało pod takim kątem, by to przed nią ukryć, za każdym razem, gdy ją mijam, przynosząc cukier, mleko, niebieskie serwetki i wszystkie inne rzeczy potrzebne, żeby przygotować prawdziwy posiłek. Sam właściwie parę godzin temu zjadłem już tyle, ile potrzebuję, i jeszcze nie zgłodniałem, ale mimo wszystko wystawiam dość jedzenia dla nas obojga, bo mogłaby poczuć się zakłopotana, gdyby jadła sama. Bądź co bądź dawno się nie widzieliśmy. Czuję jednak, że wolałbym nie jeść, ale nic więcej nie mogę już wystawić i muszę w końcu usiąść.

Ellen przez chwilę wygląda za okno na jezioro. Patrzę w tę samą stronę i mówię:

– Nazywam je Jeziorem Łabędzim.

– To znaczy, że są na nim łabędzie?

– Oczywiście. Dwie albo trzy rodziny, z tego co się zorientowałem.

Ellen odwraca się do mnie.

– Opowiadaj! Jak się właściwie miewasz? – pyta, jak gdyby istniały dwie wersje mojego życia, teraz oczu nie ma już wilgotnych, tylko głos kanciasty jak osoba prowadząca przesłuchanie. To rola, którą odgrywa, wiem o tym, w głębi jest taka jak zawsze, a przynajmniej mam nadzieję, że życie nie zrobiło z niej babska, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Ale oddycham głęboko i biorę się w garść, wsuwam dłonie pod uda na krześle i opowiadam, jak mijają mi dni, jak dobrze mi idzie stolarka, rąbanie drewna i długie spacery z Lyrą, mówię, że mam sąsiada, na którego mogę liczyć w bardziej krytycznych sytuacjach, na imię ma Lars, mówię, zręczny człowiek, ma piłę spalinową. Wiele nas łączy, dodaję, i uśmiecham się, w zamiarze tajemniczo, ale widzę, że ona tego nie dostrzega, więc nie kontynuuję wątku, tylko opowiadam, że trochę się bałem całego tego śniegu, który spadnie teraz, gdy na dobre nadejdzie zima, ale znalazłem rozwiązanie, które sama może zobaczyć i na pewno już zauważyła, gdy podjeżdżała pod dom, ponieważ umówiłem się z miejscowym o nazwisku Åslien. On jeździ traktorem z pługiem i może mi odśnieżać, kiedy trzeba, oczywiście odpłatnie. Radzę więc sobie, mówię z uśmiechem, udaje mi się. No i słucham radia, przez całe przedpołudnie słucham radia, kiedy siedzę w domu, a wieczorami czytam, różne rzeczy, ale przede wszystkim Dickensa.

Ellen uśmiecha się czysto, nie ma wilgotnych oczu ani żadnych ostrych kantów.

– Zawsze czytałeś Dickensa, kiedy byłeś w domu – mówi. – Dobrze to pamiętam.

Siedziałeś w swoim fotelu z książką, kompletnie nieobecny, a ja podchodziłam, ciągnęłam cię za rękaw i pytałam, co czytasz, a ty w pierwszej chwili jakbyś mnie nie poznawał, a potem mówiłeś „Dickensa”, z takimi poważnymi oczami, że myślałam, że czytanie Dickensa to nie to samo co czytanie innych książek, że to coś bardzo niezwykłego, co być może nie wszyscy robią, tak mi to brzmiało. Nie rozumiałam nawet, że Dickens to nazwisko autora książki, z którą siedziałeś. Myślałam, że to szczególny rodzaj książek, który tylko my mamy. Pamiętam, że czasami czytałeś na głos.

– Naprawdę?

– Tak. *Dawida Copperfielda*, jak się okazało później, kiedy już jako dorosła postanowiłam sama to przeczytać. W tamtym czasie *Dawid Copperfield* chyba nigdy ci się nie nudził.

– Akurat tego dawno już nie czytałem.

– Ale pewnie go masz?

– Oczywiście, że mam.

– Wobec tego uważam, że powinieneś go przeczytać jeszcze raz. – Ellen trzyma brodę na ręce opartej łokciem o stół i cytuje: – „Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści, czy też miejsce to zajmie ktoś inny, następane rozstrzygną stronice”². – Znow się uśmiecha i mówi: – Zawsze uważałam ten początek za trochę straszny, ponieważ pokazywał, że niekoniecznie musimy być głównymi bohaterami własnego życia. Nie mogłam zrozumieć, jak coś tak okropnego jest możliwe, jak można żyć trochę jak duch, jedynie patrzeć na osobę, która zajęła moje miejsce, być może głęboko jej nienawidzić i zazdrościć jej wszystkiego, lecz nie być w stanie nic z tym zrobić, ponieważ w jakimś momencie wypadłam ze swojego życia jak z fotela lotniczego, tak sobie to wyobrażałam, wyleciałam w powietrze, w którym zaczęłam się unosić, i nie zdołałam wrócić, a na siedzeniu przypięty pasami siedział już ktoś inny, chociaż to było moje miejsce i trzymałam bilet w ręku.

Niełatwo mi coś na ten temat powiedzieć. Nie wiedziałem, że ona myślała w ten sposób. Nigdy mi o tym nie mówiła. To mogło wynikać z prostych przyczyn, na przykład z mojej nieobecności w domu, gdy odczuwała potrzebę rozmowy, lecz ona nie ma pojęcia, jak często myślałem o tym samym; czytałem pierwsze linijki *Dawida Copperfielda* i czułem się zmuszony do pochłaniania kolejnych stron niemal sztywny ze strachu, ponieważ musiałem się przekonać, czy na końcu wszystko trafia na właściwe miejsce, i tak było, lecz zawsze musiało minąć dużo czasu, zanim poczułem się bezpieczny. W książce. W rzeczywistości było

² Karol Dickens, *Dawid Copperfield*, przeł. Wila Zyndram-Kościąłkowska, „Czytelnik”, Warszawa 1987, s. 5.

inaczej. W rzeczywistości nie miałem odwagi zadać Larsowi oczywistego pytania:

Czy zająłeś to miejsce, które właściwie należało do mnie? Czy dostałeś lata mojego życia, które ja miałem przeżyć?

Co do tego, że mój ojciec nie wyjechał do krajów takich jak Afryka Południowa czy Brazylia ani do takich miast jak Vancouver czy Montevideo, by tam rozpocząć nowe życie, nigdy nie miałem wątpliwości. On, w przeciwieństwie do wielu innych, nie uciekł od czynów popełnionych w afekcie lub od życia, które za sprawą kapryśnego losu legło w ruinach, nie czmychnął na łeb na szyję pod osłoną letniej nocy, mrużąc wystraszone oczy jak Jon. Mój ojciec nie był typem marynarza. Został nad rzeką, tego jestem pewien. Tego pragnął. A to, że Lars nie mówi o nim, kiedy jest u mnie, to, że nie wspomniał o moim ojcu ani jednym zdaniem teraz, kiedy już się znamy, musi wynikać z tego, że on chce mnie chronić albo tak jak ja nie jest w stanie zebrać wszystkich myśli związanych z tymi osobami, włącznie ze sobą i ze mną, w ten jeden punkt, ponieważ nie znajduje języka, w którym mógłby je wyrazić. Dobrze to rozumiem. Ze mną było podobnie przez większą część życia.

Ale nie o tym chcę teraz myśleć. Podnoszę się szybko od stołu, potrącając go tak, że się gwałtownie chwieje, filiżanki podskakują, kawa rozlewa się na obrus, miesza się z nią mleko z przewróconego żółtego dzbanuszka i wszystko to spływa w kierunku kolan Ellen, a to dlatego, że podłoga w kuchni jest krzywa. Różnica poziomów między ścianami wynosi faktycznie aż pięć centymetrów. Zmierzyłem to już dawno temu. Z tym także powinienem coś zrobić, ale położenie nowej podłogi to duże przedsięwzięcie. Musi poczekać.

Ellen prędko odsuwa krzesło i wstaje, zanim strumyk dociera do brzegu stołu, unosi brzeg obrusa, a powódź tamuje dwiema serwetkami.

– Przepraszam. Trochę zbyt gwałtownie wstałem – mówię, słysząc ku swojemu zdziwieniu, że słowa wypadają mi z ust krótkimi seriami, jakbym biegł i się zdyszał.

– Nic nie szkodzi. Musimy tylko szybko zdjąć ten obrus i opłukać go w zlewie. Nic się nie stało, wystarczy tylko trochę proszku do prania i sprawa będzie załatwiona.

Ellen przejmuje kontrolę nad sytuacją w sposób, w jaki nikt nigdy tutaj tego nie robił, a ja nie protestuję; błyskawicznym ruchem przenosi wszystko ze stołu na kuchenny blat, ściąga obrus i splukuje zalane miejsce, potem delikatnie go wyżyma i rozwiesza, żeby sechł na krześle przy rozgrzanym piecu.

– Później możesz go wrzucić do pralki – mówi.

Otwieram skrzynię z drewnem i dokładam do pieca parę polan.

– Nie mam pralki. – Brzmi to tak żałośnie, gdy mówię w ten sposób, że muszę się roześmiać, ale ten krótki śmiech też mi nie wychodzi i Ellen to zauważa, widzę to dobrze. W

ogóle trudno jest znaleźć ton, którym chciałbym mówić w tej sytuacji.

Ellen wyciera stół ściereczką, którą kilkakrotnie starannie płucze pod bieżącą wodą, ponieważ wsiąkło w nią mleko, więc trzeba ją splukać dokładnie, żeby nie zaśmiardła, ale nagle sztywnieje, odwrócona do mnie plecami.

– Wolałbyś, żebym nie przyjechała? – pyta, jak gdyby dopiero teraz uświadomiła sobie, że istnieje taka możliwość.

Ale to dobre pytanie. Upływa chwila, zanim odpowiem. Siadam na skrzyni z drewnem i próbuję zebrać myśli, a ona wtedy mówi:

– Może po prostu chcesz, żeby cię zostawić w spokoju? Przecież dlatego tu jesteś, prawda? Dlatego przeprowadziłeś się w to miejsce, bo chcesz mieć spokój, a tymczasem ja przyjeżdżam o świcie na twoje podwórze i ci przeszkadzam, ale gdyby to zależało od ciebie, w ogóle byś do tego nie dopuścił?

Mówi to wszystko, stojąc do mnie tyłem. Ścierkę wrzuciła do zlewu, obiema rękami przytrzymuje się krawędzi blatu i nie odwraca się.

– Zmieniłem swoje życie – odpowiadam. – To jest ważne. Sprzedałem to, co zostało z firmy, i przeniósłem się tutaj, ponieważ musiałem, inaczej byłoby ze mną źle. Nie mogłem już dalej tak żyć.

– Rozumiem – mówi Ellen. – Naprawdę. Ale dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

– Nie wiem. Uwierz mi.

– Wolałbyś, żebym nie przyjeżdżała? – ponawia pytanie, tym razem bardziej natarczywie.

– Nie wiem – odpowiadam i to również jest prawda; nie wiem, co mam myśleć o jej przyjeździe, to nie było częścią planu, ale zaskakuje mnie myśl: teraz ona odjedzie i już nigdy się tu nie zjawi. Napętnia mnie to nagle takim przerażeniem, że mówię prędko: – Nie, to nieprawda. Nie jedź.

– Nie miałam zamiaru jechać – odpowiada i dopiero teraz odwraca się od zlewu. – Przynajmniej na razie. Ale mam ochotę coś ci zaproponować.

– Co?

– Załatw sobie telefon.

– Zastanowię się nad tym – mówię. – Naprawdę.

Ellen zostaje przez kilka godzin, a kiedy wsiada do samochodu, już znów zaczyna robić się ciemno. Była sama na spacerze z Lyrą, ponieważ tak chciała, a ja w tym czasie położyłem się na pół godziny. Mój dom jest teraz inny, podwórze jest inne. Ellen włącza

silnik przy otwartych drzwiczkach.

– Teraz już wiem, gdzie mieszkasz.

– To dobrze. Cieszę się z tego – mówię, a ona krótko mi macha, zatrzaskuje drzwiczki i samochód zaczyna się toczyć w dół zbocza. Staję na progu, gaszę światło na podwórzu i przez sień idę do kuchni. Lyra depcze mi po piętach, ale nawet kiedy ona jest za mną, w środku czuję lekką pustkę. Wyglądam na podwórze, ale nie widzę nic, oprócz własnego odbicia w ciemnej szybie.

Kiedy drewno już popłynęło rzeką, często do nas zachodził Franz. Mówił ze śmiechem, że zrobił sobie wakacje. Siadał na kamiennej płycie przed drzwiami z papierosem i filiżanką kawy, w krótkich spodniach, z białymi nogami wyglądał dziwacznie. Niebo było wyłącznie błękitne, można by powiedzieć, że w rekordowym czasie z jasnoniebieskiego zmieniło się w nieubłagane niebieskie, i jak dla mnie, mogłoby trochę popadać.

Dla mojego ojca chyba również. Wciąż był niespokojny. Potrafił zejść nad rzekę z książką, położyć się i czytać, albo w przycumowanej łodzi z poduszką pod karkiem, opartym o tylną ławeczkę, albo na kamieniach na zboczu pod sosną z krzyżem, i wydawało się, że w ogóle nie myślał o tym, co się wydarzyło dokładnie w tym miejscu w pewien zimowy dzień w 1944, albo może właśnie o tym myślał i zmuszał się do przybrania obojętnej miny, żeby zademonstrować, jak może wyglądać mężczyzna spokojny i zrównoważony, który po prostu rozkoszuje się dniem. Ale nikogo nie oszukał. Właściwie myślał o drewnie, widziałem to po sposobie, w jaki unosił głowę, i po spojrzeniu, które słał w dół rzeki, irytowało mnie, że to dla niego aż takie ważne. Przecież zawarliśmy pakt. Ja tam byłem i zaczynało się spieszyć z wykorzystaniem resztki tego lata, zanim minie i zniknie na zawsze.

Dzień po naszym przyjeździe ojciec zaproponował trzydniową wyprawę konno, spytał, czy nie uważam tego za dobry pomysł, a kiedy chciałem wiedzieć, jakie konie ma na myśli, odparł, że konie Barkalda, odniosłem się do tego entuzjastycznie i powiedziałem, że pomysł uważam za bardzo dobry. Trochę uprzedziłem jego realizację, ale trudno nazwać przejażdżką to, cośmy przeżyli z Jonem na pastwisku i co właściwie niezbyt dobrze się skończyło, w każdym razie dla mnie, dla Jona zresztą też, jeśli się weźmie pod uwagę wcześniejsze wydarzenia i późniejsze, ale tak czy owak, od tamtego dnia nie słyszałem nic więcej o tej propozycji. Porządnie więc mnie zaskoczyło, gdy pewnego ranka otworzyłem oczy i przez okno usłyszałem parskanie i tupanie z łąki za chatą, na której tak źle się spisałem, nie mając odwagi skosić pokrzyw krótką kosą, bo bałem się bólu, a tymczasem mój ojciec bez

zastanowienia wyrwał je gołymi rękami i powiedział: Sam decydujesz, kiedy ma boleć.

Wychyliłem się teraz z łóżka, aż zawisłem w oknie wsparty rękami o parapet, z twarzą przyciśniętą do szyby, i zobaczyłem, że na trawie pasą się dwa konie. Jeden był gniady, a drugi kary, od razu się zorientowałem, że to te same, które ujeżdżałem z Jonem, a czy był to dobry znak, czy raczej zły, na to pytanie nie umiałbym odpowiedzieć, gdyby komuś przyszło do głowy mnie spytać.

Zeskoczyłem z łóżka jak zwykle i wylądowałem na podłodze idealnie, bez żadnych urazów nogi czy innych części ciała. Kolano już się wyleczyło, wystarczyło parę dni. Wychyliłem się przez okno najdalej jak mogłem. Zobaczyłem, że ojciec wychodzi z szopy z siodłem w rękach, wiesza je na koźle do piłowania w taki sposób, że strzemiiona zwisały po obu stronach, więc zawołałem:

– Poszedłeś ukraść te konie?

Zatrzymał się i zdrętwiał na moment, a potem odwrócił się i zobaczył mnie zwisającego z okna, a gdy zrozumiał, że żartowałem, uśmiechnął się i krzyknął:

– Chodź tu natychmiast!

– Jasne, szefie!

Ściągnąłem ubranie z krzesła i wybiegłem do izby, ubierając się najszybciej, jak potrafiłem, bez zatrzymywania, najpierw skakałem na jednej nodze, a potem na drugiej, jednocześnie wciągając spodnie, przystanąłem jedynie na moment, żeby włożyć tenisówki, i na ślepo wypadłem na próg z koszulą na głowie. Kiedy oswobodziłem twarz, zobaczyłem, że ojciec stoi przy drzwiach szopy i gapi się na mnie, śmiał się serdecznie z tego, co widział, a w rękach trzymał jeszcze jedno siodło.

– Tego ty będziesz używał – powiedział. – Jeśli wciąż jeszcze jesteś zainteresowany, bo z tego, co pamiętam, byłeś.

– Oczywiście, że jestem zainteresowany – odparłem. – Już jedziemy? Dokąd?

– Bez względu na to, dokąd jedziemy, najpierw śniadanie – oświadczył. – A potem trzeba przygotować konie. To zajmie trochę czasu, bo należy to zrobić porządnie, nie wystarczy po prostu wyruszyć. Dostaliśmy je na trzy doby, co do minuty. Znasz Barkalda, on nie żartuje, kiedy chodzi o jego własność. Nie rozumiem wręcz, dlaczego się zgodził.

Ale dla mnie to nie stanowiło tajemnicy. Barkald lubił mojego ojca, zawsze tak było, a z tego, co opowiadał Franz, wynikało, że łączy ich znacznie większe zaufanie, niż pierwotnie sądziłem. Być może ojciec nawet nie zapłacił za zagrodę, w której mieszkaliśmy, może Barkald po wojnie mu ją podarował, ponieważ byli takimi dobrymi przyjaciółmi i tyle razem przeżyli. Wobec tego wszystko wyglądało inaczej, niż mi się wydawało wtedy, gdy

przyjechaliśmy tu pierwszy raz, kiedy las i rzeka były dla mnie obce, placyk przed sklepem nowy i most nowy, i nigdy wcześniej nie widziałem bali drewna, żółtych i połyskujących, płynących w dół rzeki, a do Barkalda nie miałem zaufania, ponieważ w przeciwieństwie do nas posiadał nieruchomości i pieniądze, i sądziłem, że mój ojciec czuje podobnie. Ale najwyraźniej tak nie było, a teraz powiedział tak kokieteryjnie, albo chciał przesłonić prawdziwe związki między rzeczami.

W takim razie było to trochę nieprzyjemne, ale nie mogłem na to zważać, ponieważ lato miało się ku końcowi, przynajmniej dla nas, a ów ciężar, który w dniu spławiania drewna wciskał mnie w ziemię i prawie zniszczył mi kolano, w tajemniczy sposób uleciał z mojego ciała i zniknął. Byłem teraz równie podekscytowany jak mój ojciec i miałem ochotę przed wyjazdem do Oslo jak najwięcej wydusić z dni, które nam zostały, i z całej okolicy nad rzeką.

I to właśnie zamierzaliśmy zrobić, wycisnąć ostatnie resztki upału ze ścieżek w lesie i z nasłonecznionych skał przy Sosnowej Górze, patrzeć, jak promienie odbite od oślepiająco białych brzozowych pni przecinają powietrze między drzewami niczym strzały wypuszczone z łuków Indian Kiowa, nurkować w ciemnozielonych wachlarzach paproci na skraju wąskiej szutrowej drogi, przypominających liście palm na obrazku Niedzieli Palmowej w Biblii używanej w szkółce niedzielnej. Jechaliśmy stępą drogą z zagrody, minęliśmy starą drewnianą oborę, w której nie tak dawno spędziłem noc i gdzie ogarnęło mnie nagle gorąco w ciele, teraz wyczuwałem udami ciepło konia, a na twarzy ciepło wiatru z południa. Zmierzaliśmy mu na spotkanie naszą wschodnią stroną rzeki, byliśmy po śniadaniu, mieliśmy spakowane juki, zrolowane ciepłe koce na nocleg i spięte z nimi płaszcze od deszczu, a wczesnym koniom lśniły grzywy. Nad wzgórzami na zachodzie wał chmur sunął wzdłuż szczytów, ale ojciec, kręcąc głową, stwierdził, że nie będzie padać, i po prostu dosiadł konia.

Na podwórzu przed oborą dójka myła w strumieniu sodą wiadra i inne naczynia, słońce odbijało się w metalu i w lodowatej przejrzystej wodzie wlewającej się do wiader i wypływającej z nich na powrót, pomachaliśmy jej, ona pozdrowiła nas uniesieniem ręki, a wtedy lśniąca smuga wody łukiem przecięła powietrze, zanim spadła na ziemię. Konie parskwały i rzucały łbami, a ona głośno się roześmiała na nasz widok, ale w jej śmiechu nie było złośliwości i ja wcale się nie zaczerwieniłem.

Miała miły głos, który podobno mógł brzmieć jak srebrny flet. Ojciec odwrócił się i patrzył, jak nadjeżdżam za nim. Wciąż starałem się znaleźć sposób na właściwe utrzymanie się w siodle. Luźno w biodrach, mówił ojciec, niech biodra staną się częścią konia. Masz tam takie łożyska kulkowe, mówił, wykorzystaj je, a ja poczułem, że rzeczywiście je mam, że

moje ciało poskładane jest w odpowiedni sposób, by jazda konna, jeśli tego zechcę, mogła być przyjemna.

– Ją też znasz? – spytał teraz ojciec.

– O rany, no pewnie. Znamy się dobrze – powiedziałem. – Odwiedzałem ją wiele razy.
– To wcale nie była prawda, ale nie wiedziałem, kogo miał na myśli, mówiąc „ją też”, czy chodziło mu o matkę Jona? Lecz sposób, w jaki zadał pytanie, kazał mi się zastanowić, czy wciąż jest na mnie zły za tamten dzień przy stertach drewna. On tymczasem spytał:

– A kogoś w twoim wieku?

– Przecież nikogo takiego tu nie ma – odparłem, i to przynajmniej była prawda. W ciągu tych dwóch letnich pobytów nie spotkałem żadnej dziewczyny w moim wieku w promieniu kilku kilometrów, i bardzo mi to odpowiadało. Nie potrzebowałem dziewczyny w moim wieku, na co mi ona? Było dobrze tak, jak jest. Słyszałem, że mój głos brzmi sztucznie i odpychająco, ojciec popatrzył mi prosto w oczy i uśmiechnął się.

– Masz, do diabła, rację – stwierdził i zaraz się odwrócił, usłyszałem, że się śmieje.

– Z czego się śmiejesz? – zawołałem, czując, że i ja się wściekam, ale on na mnie nie spojrzał, tylko rzucił w powietrze:

– Śmieję się z siebie.

W każdym razie wydaje mi się, że tak powiedział, i możliwe, że była to prawda. Przecież umiał śmiać się z siebie. Mnie to nie wychodziło zbyt dobrze, ale jemu zdarzało się często. Ale dlaczego akurat teraz, tego nie rozumiałem. Zaraz też delikatnie musnął konia piętami w boki, a ten zwiększył prędkość do lekkiego kłusu.

– Teraz już jedziemy! – zawołał, a ja miałem dość zajęcia z pilnowaniem, by łożyska kulkowe w biodrach pracowały właściwie w siodle, kiedy mój koń również zmienił tempo i ruszył za nim, obora zniknęła wśród drzew, a dójka została na podwórzu z błyszczącymi brązowymi kolanami zasłoniętymi fartuchem i z silnymi opalonymi ramionami wyciągniętymi w górę.

Jechaliśmy drogą tak daleko, aż się zwężyła w ścieżkę, ale nie skręciliśmy przez równinę w kierunku rzeki i małego pomostu w trzcinach, na który poszedłem pewnej nocy w dziwnym świetle i zobaczyłem, jak mój ojciec całuje matkę Jona, tak jakby miała to być ostatnia rzecz, jaką robi w życiu. Zamiast tego poprowadziliśmy konie inną ścieżką, która wkrótce skręciła na wschód i zmieniła się w łosi trakt, biegnący zygzakiem między starymi wysokimi brzozami o wielkich szumiących koronach, odchyliłem głowę i patrzyłem przez liście, dopóki nie zdrętwiał mi kark, a w oczach nie zakręciły się łzy. Przejechaliśmy przez głęboki strumień, w którym woda wyglądała na lodowatą, i rzeczywiście była zimna, kiedy

spod nóg konia pluskała aż na moje uda i natychmiast wsiąkała w nogawki spodni, kilka kropli spadło mi też na twarz, gdy przejeżdżaliśmy na drugą stronę łąsem, koniom wyraźnie podobał się teren, który tu, w pobliżu Sosnowej Góry, się zmienił. Świerkowy las stał gęsty i nietknięty wyrębem na stromych zboczach; wjechaliśmy ścieżką na szczyt wzgórza i na chwilę zatrzymaliśmy się w najwyższym punkcie, kazaliśmy koniom się odwrócić, żeby móc spojrzeć na dolinę: wśród skoszonych łąk wiła się rzeka, matowosrebrzysta na tle wierzchołków drzew, a chmury wisiały nad wzgórzem po drugiej stronie doliny. To był piękny widok, ładniejszy niż na fiord w Oslo. Właściwie fiord mnie nie obchodził, w tym tkwiła cała rzecz, a tu po raz ostatni na długi czas spoglądałem na tę dolinę w taki sposób, dobrze o tym wiedziałem, lecz wcale mnie to nie zasmucało, jak ktoś mógłby przypuszczać, tylko wprowadzało w poirytowanie, w lekką złość. Chciałem jechać dalej. Uważałem, że mój ojciec z twarzą skierowaną na zachód stoi tu dłużej niż to konieczne, odwróciłem więc konia zadem do doliny i powiedziałem:

– Nie możemy tak tutaj stać beczynnienie.

Ojciec spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął, potem i on zawrócił i ruszył prosto na wschód, tam, gdzie, jak wiedziałem, była Szwecja. Gdy tam dojedziemy, wszystko będzie wyglądać dokładnie tak, jak po tej stronie granicy, ale miałem pewność, że czuć będę inaczej, bo nigdy wcześniej nie byłem w Szwecji. Jeśli w ogóle tam się kierowaliśmy. Ojciec nic o tym nie wspominał. Po prostu tak założyłem.

I nie pomyliłem się. Zjechaliśmy ze wzgórza drugą stroną, wąskim wąwozem o marnej widoczności, konie stąpały ostrożnie, bo ziemię pokrywał żwir i luźne kamienie, no i było stromo. Odchyliłem się więc w tył w siodle na sztywnych nogach, ze stopami mocno wciśniętymi w strzemiona, żeby nie przelecieć koniowi przez łeb i nie spaść w urwisko, uderzenia podków odbijały się od skał po obu stronach, dodatkowo niosąc się echem, trudno więc powiedzieć, byśmy poruszali się w ciszy. Ale to nie było takie groźne, pomyślałem, bo nikt nie podążał za nami, żadna policja graniczna z psami tropiącymi, żaden chudy, zacięty US Marshall na równie chudym koniu nie śledził nas od świtu do zmroku, przez cały czas utrzymując taką samą odległość, ani się nie zbliżając, ani nie oddalając, tylko cierpliwie wyczekując na właściwy moment, gdy nasze nerwy będą już zdarte na strzępy i na chwilę stracimy czujność. Wtedy mógł uderzyć. Bez wahania. Bez litości.

Obróciłem się delikatnie w siodle i obejrzałem za siebie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście go nie ma na tej siwej chudej szkapie, wsłuchiwałem się z całych sił, ale odgłosy naszych własnych koni w wąskim wąwozie były zbyt głośne, by usłyszeć cokolwiek innego.

Na dole wjechaliśmy na równinę. W cieniu wzgórza, ze słońcem w plecy, konie

ruszyły odprężone lekkim klusem, a mój ojciec wskazał na pagórek, na którego szczycie rosła samotna wykrzywiona sosna, wyglądająca niczym rzeźba, i zawołał:

– Widzisz tę sosnę na górze?

Akurat w tym miejscu niewiele było innych rzeczy, na których można by zawiesić wzrok, więc odkrzyknąłem:

– Oczywiście, że widzę!

– Tam się zaczyna Szwecja! – Wciąż wskazywał sosnę, jak gdyby trudno ją było zauważyć.

– Aha! Wobec tego ścigamy się do niej! – Wbiłem piętę w boki konia, który natychmiast zmienił tempo i rzucił się do przodu, a ja od tego gwałtownego szarpnięcia puściłem cugle i wyleciałem z siodła niemal w linii prostej do tyłu, stoczyłem się z końskiego zadu i spadłem na ziemię. Za mną ojciec krzyczał:

– Fantastycznie! Jeszcze raz! *Da capo!* – A potem ruszył, minął mnie, głośno się śmiejąc, i pogalopował za spłoszonym koniem. Po kilkuset metrach go dopędził, wychylił się, w biegu pochwycił wodze, objechał równinę wielkim półkolem i wrócił stępą, pokazując całemu światu, że to również potrafi. Ale cały świat nie był tu obecny, tylko ja leżałem w wysokiej trawie, ciśnięty na ziemię jak pusty worek, i widziałem, jak on się zbliża z dwoma końmi, akurat wtedy nigdzie mnie za bardzo nie bolało, lecz mimo wszystko nie wstawałem. Ojciec zsiadł ze swojego konia, podszedł do mnie, przykucnął i powiedział:

– Przepraszam, że się śmiałem, ale to wyglądało tak komicznie jak w jakimś cyrku. Wiem, że dla ciebie to nie było zabawne. Głupio się zachowałem. Coś cię boli?

– Właściwie to nie – odparłem.

– Tylko trochę w duszy?

– Trochę tak.

– Niech to przejdzie, Trond – powiedział. – Nie rozdrapuj tego. I tak do niczego ci się nie przyda.

Podał mi rękę, żeby pomóc mi wstać, a ja ją przyjąłem, ścisnął moją dłoń tak mocno, że prawie zaboląło, ale nie podniósł mnie w górę. Zamiast tego nagle osunął się na kolana, objął mnie i przygarnął do piersi. Nie wiedziałem, do diabła, co mam powiedzieć, naprawdę mnie zaskoczył. Byliśmy przecież dobrymi przyjaciółmi, przynajmniej wcześniej, i z pewnością znów byśmy się zaprzyjaźnili. On był tym dorosłym mężczyzną, którego wciąż podziwiałem najbardziej ze wszystkich, a nasz pakt trwał nadal, co do tego nie miałem wątpliwości, ale na ogół się nie ściskaliśmy. Czasami walczyliśmy na niby i wtedy się obejmowaliśmy, turlając się jak dwaj wariaci po trawie na tyłach chaty, gdzie było dość

miejsca na taką dziecinadę, ale teraz się nie biliśmy. Przeciwnie. Odkąd pamiętałem, on nigdy nie zrobił czegoś podobnego i wydawało mi się to nie na miejscu. Ale pozwoliłem mu na to, chociaż nie wiedziałem, co mam zrobić z rękami, bo nie chciałem go odepchnąć, a nie mogłem go objąć tak, jak on obejmował mnie, i przez to ręce po prostu zwiesiłem. Ale nie musiałem długo się nad tym zastanawiać, bo on zaraz mnie puścił, wstał, znów podał mi rękę i tym razem pociągnął w górę do pozycji stojącej. Uśmiechał się, ale nie wiedziałem, czy do mnie, i nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Podał mi tylko wodze mojego konia, delikatnie otrzepał kurz z przodu mojej koszuli i znów był taki jak zawsze.

– No, wjedźmy wreszcie do tej Szwecji – powiedział – zanim cały ten kraj się zapadnie i zostanie jedynie Zatoka Botnicka i Finlandia po drugiej stronie, a Finlandia teraz nie za bardzo nam się przyda.

Nie rozumiałem nic z tego, co mówił, ale zobaczyłem, że wsuwa stopę w strzemię i dosiada konia, więc zrobiłem to samo. Nawet nie próbowałem wyglądać elegancko, bo cały byłem obolały i sztywny, ale w końcu, jadąc stępa, zbliżyliśmy się do garbatej sosny przypominającej rzeźbę i przekroczyliśmy granicę ze Szwecją. Okazało się, że miałem rację, czułem, że jest inaczej, chociaż wszystko wyglądało tak samo.

Tej nocy spaliśmy pod występem skalnym, gdzie już wcześniej ktoś przygotował miejsce na ognisko. Były tam resztki dwóch posłań ze świerkowych gałęzi, ale igły zbrązowiały i opadły z nich już dawno temu, usunęliśmy więc stare i przynieśliśmy nowe gałęzie, ucięte siekierką, z której niedawno z takim zapalem korzystałem, i ułożyliśmy z nich dwa miękkie łóżka pod skałą, pachniały mocno i przyjemnie, gdy wtuliło się w nie twarz. Rozłożyliśmy nasze koce i rozpaliliśmy ognisko w kamiennym kręgu, a potem usiedliśmy po dwóch stronach płomieni, żeby coś zjeść. Liny związaliśmy w jedną długą i ogrodziliśmy nią cztery świerki rosnące w dostatecznej odległości od siebie, tam puściliśmy konie wolno. Słyszeć je było przy ognisku, gdy poruszały się po miękkim leśnym podszyciu, a jeszcze wyraźniej, gdy kopyta od czasu do czasu natrafiały na kamień; konie porozumiewały się miękkimi gardłowymi dźwiękami, ale niezbyt dobrze było je widać, bo nastał już sierpień i ciemniejsze wieczory. Płomienie rzucały poświatę na skalny dach nad moją głową, barwiły sen i przydawały głębi marzeniom sennym, a kiedy się obudziłem w nocy, w pierwszej chwili nie pamiętałem, ani gdzie jestem, ani dlaczego. Ale ogień i żar z ogniska, a także wstający dzień zapewniał dość światła, żeby wstać, ostrożnie zejść do koni i powoli odzyskać pamięć; korzenie i drobne kamyki kłuły w podeszwy stóp, a ja cicho rozmawiałem z końmi ponad liną o cichych sprawach, o których zapomniałem w tej samej chwili, gdy o nich powiedziałem, i

gładziłem dłońmi ich mocne szyje. Na palcach pozostał mi ich zapach, a w piersi poczułem spokój, zanim odszedłem za wielki głaz i zrobiłem to, po co się obudziłem. Wracając, byłem tak senny, że kilka razy się potknąłem, pod występem skalnym czym prędzej naciągnąłem na siebie pled i od razu zasnąłem.

Te dni były ostatnie. Teraz, gdy siedzę tutaj, w kuchni starego domu, do którego się przeprowadziłem, żeby przygotować sobie miejsce nadające się do życia przez ostatnie lata, jakie jeszcze mi zostały, a moja córka odjechała po niespodziewanej wizycie, zabierając ze sobą swój głos, papierosy i żółte światło reflektorów samochodowych omiatające drogę, i patrzę wstecz, to widzę, że każde najdrobniejsze poruszenie w tamtejszym krajobrazie zabarwiało się tym, co nastąpiło później, i nie można tego od siebie oddzielić. Niektórzy mówią, że przeszłość to obca kraina, że wszystko tam robi się inaczej, ja chyba też tak czułem przez większość życia, ponieważ musiałem, ale teraz już nie muszę. Jeśli tylko się skupię, mogę wejść do magazynu pamięci i odnaleźć właściwą półkę z właściwym filmem, zniknąć w nim i całym ciałem czuć tamtą podróż z moim ojcem przez las, wysoko ponad rzeką wzdłuż grzbietu wzgórze i drugą stroną w dół przez granicę ze Szwecją, i w głąb obcego przynajmniej dla mnie kraju. Mogę się wygodnie oprzeć i znaleźć przy ognisku pod skalną ścianą, tak jak tamtej nocy, kiedy się ledwie obudziłem po raz drugi i zobaczyłem, że ojciec leży z otwartymi oczami, wpatrzony w skałę nad sobą, całkowicie nieruchomy z rękami pod głową, z czerwoną poświatą ognia na czole i zarośniętym policzku, ale chociaż bardzo chciałem, to nie zdążyłem zobaczyć, czy zamknął oczy przed nadejściem świtu. Tak czy owak, wstał na długo przede mną, napił konie, wyszczotkował oba zgrzebłem i nie mógł się doczekać, kiedy pojedziemy dalej. Miał gorączkowe ruchy, ale w jego głosie nie wychwytywałem żadnej ostrości. Spakowaliśmy się więc, osiodłaliśmy konie i wyruszyliśmy w drogę, jeszcze zanim sny całkiem wywietrzały mi z głowy, zanim byłem zdolny do myśli innych niż najprostsze.

Najpierw usłyszałem rzekę, a dopiero potem ją zobaczyłem; objechaliśmy pagórek i wtedy pojawiła się między drzewami prawie biała, coś zmieniło się też w powietrzu i łatwiej było oddychać. Od razu zauważyłem, że to nasza rzeka, tyle że bardziej na południe i już w głębi Szwecji, i chociaż niemożliwe jest rozpoznanie wody po sposobie, w jaki płynie, ja ją rozpoznałem.

Zjechaliśmy nad rzekę i ruszyliśmy stępą wzdłuż brzegu na tyle, na ile się dało, kierując się na południe, ojciec rozglądał się na wszystkie strony, najpierw zobaczyliśmy

tylko pojedynczy bal, który zatrzymał się w trzcinach, ale dalej było ich więcej, utknęły na płyciźnie. Ojciec wyjął siekierę i z dwóch niedużych sosenek wyciosał mocne kołki, weszliśmy do wody w butach, ja w swoich tenisówkach, a ojciec w cięższych, sznurowanych, użyliśmy tych kijów jak bosaków i wypchnęliśmy bale, żeby popłynęły z prądem. Widziałem jednak teraz, że ojciec się zaniepokoił, bo poziom wody niczym nie zachwycał, nie nadawał się do splawiania drewna, ojciec postanowił więc natychmiast jechać dalej wzdłuż rzeki. Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy, trzymając w rękach długie kije, sterczące jak lance; pewnie tak wyglądali Ivanhoe i jego giermek w drodze na turniej lub decydującą bitwę przeciwko zdrazieckim Normanom w dawnej Anglii. Starłem się utrzymać wyobraźnię na wodzy, ale nie było to łatwe, gdy na koniu przedzierałem się przez krzaki rosnące wzdłuż brzegu, gdzie przecież wróg mógł objawić się w każdej chwili. Dotarliśmy do zakola rzeki, za którym było dość szerokie bystrze, tam jeden bal zaklinował się pośrodku między dwoma dużymi kamieniami, które nagie i suche sterczały z opadającej wody, a kolejne bale napłynęły, piętrząc się na tym jednym. Zaklinowały się na amen. Nie to chciał zobaczyć mój ojciec. Trochę zmałał w siodle, a mnie zrobiło się przykro na ten widok, zaniepokoiłem się, więc zeskoczyłem z konia, pobiegłem nad wodę, popatrzyłem na zbite kłody, popędziłem w jedną stronę wzdłuż brzegu, wciąż wpatrując się w rzekę, potem zawróciłem i przeszedłem jeszcze kawałek, dreptałem, nie mogłem ustać w miejscu, przyglądałem się spiętrzonemu balom ze wszystkich stron. W końcu zawołałem do ojca:

– Jeśli uda nam się zarzucić linę na ten bal – wskazałem ten, który stanowił klucz do problemu – i odciągniemy go tylko odrobinę od kamienia, to poluzuje się i reszta też powinna popłynąć.

– Nielatwo będzie się tam dostać – stwierdził ojciec, głos miał teraz płaski, pozbawiony żaru. – A poza tym nie damy rady ruszyć tego bala nawet o milimetr.

– My nie! – odkrzyknąłem. – Ale konie.

– Okej – powiedział, a ja poczułem, jak bardzo mi ulżyło. Pobiegłem do swojego konia, odpiąłem linę od siodła, a ojciec wziął swoją, znów związaliśmy je razem, a na jednym końcu zrobiliśmy dużą pętlę, którą zarzuciłem na siebie, przesunąłem przez nią rękę i zacisnąłem na piersi, węzeł umieszczając na plecach.

– Pilnuj drugiego końca! – zawołałem, ale nie odwróciłem się, żeby sprawdzić, jak ojciec zareagował na takie bezpośrednie polecenie, potem pobiegłem jeszcze kawałek wzdłuż brzegu do momentu, gdy uznałem, że wystarczy, i rzuciłem się wprost do wody, żeby mieć ten szok jak najprędzej za sobą. Najpierw czołgałem się prawie po dnie, potem nagle przede mną otwarła się głębia i zacząłem płynąć na środek rzeki. Prąd nie był tu zbyt silny, ale mimo

wszystko mnie ciągnął, w końcu dopłynąłem na środek i tam od razu wszystko poszło szybciej. Pozwoliłem wodzie się unosić aż do chwili, gdy dotknąłem dłońmi pierwszego bala, sprawdziłem, czy wytrzyma, i podciągnąłem się w górę, podeszwy tenisówek nie ślizgały się po pniu. Stałem na balu, pohuśtałem się, kontrolując, czy wszystko w porządku, a potem, podtrzymując linę jedną ręką, zacząłem przeskakiwać z bala na bal, w górę i w dół, po spiętrzonych kłodach na drugą stronę i z powrotem, zrobiłem kilka skoków zupełnie zbędnych, żeby poczuć rytm w nogach, sprawdzić, czy go mam tak jak wcześniej, niektóre bale obracały się, gdy na nie wchodziłem i zmieniały pozycję, ale ja wtedy byłem już dalej i nie traciłem równowagi.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał z brzegu ojciec.

– Fruwam!

– Kiedy się tego nauczyłeś?

– Wtedy, kiedy ty nie patrzyłeś – odpowiedziałem ze śmiechem i pobiegłem na sam przód do tego kłopotliwego bala, tam zobaczyłem, że koniec, wokół którego miałem zarzucić pętlę, tkwi dość głęboko pod powierzchnią.

– Muszę wejść do wody! – krzyknąłem i zanim ojciec zdążył cokolwiek powiedzieć, znów wskoczyłem do rzeki i opadłem na dół, aż stanąłem na dnie. Tam poczułem, jak nurt uderza mnie w plecy i ciągnie za ręce, otworzyłem oczy i ujrzałem koniec bala tuż przed sobą, ściągnąłem pętlę przez głowę i założyłem ją tam, gdzie miała być. Wszystko poszło bardzo sprawnie, czułem, że mógłbym tak stać długo, prawie nieważki, i tylko wstrzymywać oddech z rękami przyłożonymi do tego bala. Puściłem go jednak i wynurzyłem się na powierzchnię. Ojciec naprężył linę i teraz musiałem jedynie wyciągnąć się po niej na brzeg. Stałem na płyciźnie, ociekając wodą, a ojciec stwierdził:

– To było, do cholery, niezłe.

A potem uśmiechnął się, połączył linę z uprzężą i prowizorycznym wyciągiem, który przygotował, kiedy ja byłem w rzece, chwycił wodze i idąc przed koniem zawołał: „Ciągnij”, a koń szarpnął z całej siły, ale nic się nie stało. Ojciec powtórzył komendę i wtedy usłyszeliśmy jakiś zgrzyt, coś pękło i cała sterta runęła w przód. Bal za balem walił się do wody i płynął porwany prądem bystrza. Mój ojciec wyglądał na prawie szczęśliwego, a ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, poznałem, że ja też tak wyglądam.

CZĘŚĆ III

To było tak, jakby spadła kurtyna i zasłoniła wszystko, o czym kiedykolwiek wiedziałem. To było jak zaczynanie życia od nowa. Kolory były inne, zapachy były inne, wrażenia, jakie rzeczy wywoływały w głębi mnie, były inne. Nie była to jedynie różnica między gorącym a zimnem, między światłem a ciemnością, fioletem i szarością, tylko różnica w sposobie, w jaki odczuwałem strach i w jaki odczuwałem radość.

I rzeczywiście czasami czułem radość, nawet w pierwszych tygodniach po wyjeździe z letniej zagrody. Z radością i pełen nadziei wsiadałem na rower i zjeżdżałem ze stromego zbocza Nielsenbakken, mijałem stację Ljan i dojeżdżałem do Mosseveien, żeby pedałować siedem kilometrów do centrum Oslo, lecz jednocześnie byłem niespokojny, potrafiłem wybuchnąć śmiechem w głos bez powodu, z trudem się koncentrowałem. Wszystko, co widziałem wzdłuż drogi i fiordu, było znajome, ale nic nie było takie samo. Ani cypel Nesodden, ani Bunnefjorden przy plaży Ingierstrand, ani dom Roalda Amundsena, ani też wyspa Ulvøya połączona ze stałym lądem pięknym mostem przez wąską cieśninę, ani Malmøya tuż za nią, ani silos zbożowy na Vippetangen, ani szare mury twierdzy po drugiej stronie basenu portowego, gdzie cumował statek do Ameryki. Ani późnosierpniowe niebo nad miastem.

Widzę samego siebie, jak w niemal białym świetle słońca jadę rowerem całą drogę aż do Dworca Wschodniego, w szarych krótkich spodniach i rozpiętej koszuli, jak przemykam przez Bekkelaget; linię kolejową mam w tym miejscu po lewej, fiord też po lewej, a po prawej tuż obok skały i wzgórze Ekeberg, krzyki mew, zapach lepkich od kreozotu podkładów kolejowych i ostra woń słonej wody w drgającym powietrzu. Pod koniec sierpnia było jeszcze gorąco; chociaż lato właściwie już się skończyło, przyszła niemal fala upałów i mogłem jechać tak prędko, ile tylko sił mi starczało, a parzące powietrze owiewało mi gołą pierś, po której spływał pot, albo po prostu sunąć jak żaglówka w blasku słońca; czasami sam słyszałem, że śpiewam.

Rower dostałem od ojca rok wcześniej, kiedy w całym kraju zdobycie bodaj jednego

nowego roweru było niemożliwe. Ten rower należał do niego od wielu lat, ale przez długi czas stał w piwnicy, ponieważ ojca prawie nigdy nie było w domu, w końcu stwierdził, że już go nie potrzebuje, mówił, że nadeszły nowe czasy, z nowymi planami, a rower nie stanowił części tych nowych planów. Na pewno tak tylko powiedział, ale cieszyłem się, że go dostałem, i dbałem o niego. Zapewniał mi swobodę i wolność, z której nie chciałem zrezygnować. Kilka razy go rozbierałem i z powrotem skręcałem, tak jak ojciec mi pokazywał. Rower był czyszczony, polerowany i smarowany na wszystkich złączach i przekładniach, a łańcuch obracał się wręcz bezszelestnie, od osi pedałów po oś tylnego koła i gdy z powrotem chował się pod wyczyszczone do połysku osłone, i to od momentu, gdy wsiadałem i zaczynałem toczyć się w dół zbocza przy domu, do chwili, gdy równie bezszelestnie skręcałem w okolice Dworca Wschodniego od strony morza, gdzie parkowałem przy stojakach dla rowerów; jeszcze raz z ostrego blasku słońca wchodziłem przez wysokie drzwi w mroczne, przesycone kurzem powietrze w hali dworcowej, żeby studiować rozkłady jazdy przyjeżdżających pociągów. Szedłem wzdłuż barier wraz z wieloma innymi i patrzyłem na tablice przed peronami, gdzie brudny, szklany, łukowato wygięty dach wznosił się wysoko ponad ludźmi i wagonami kolejowymi, ale chyba jako jedyny ciągnąłem za ramię konduktora w mundurze i szczegółowo wypytywałem o każdy pociąg przyjeżdżający do Oslo przez Elverum. On długo na mnie patrzył, znał mnie już, zadawałem mu te pytania wcześniej, i to nie raz, a w odpowiedzi wskazywał tylko na tablice, które już widziałem. Nie było dostępu do żadnej tajnej informacji, nie istniała żadna zapomniana tablica.

Jak zwykle przyszedłem za wcześnie. Stałem przy kolumnie, żeby czekać w tym dziwnym półświetle wielkiej hali dworca, identycznym o każdej porze doby, a jednocześnie nieodpowiednim dla żadnej z nich, ani dla dnia, ani dla wieczora, ani dla poranka, ani też dla nocy; słychać było echo ludzkich butów i ludzkich głosów, ale przede wszystkim wielką ciszę, wysoko pod dachem, gdzie w długich rzędach siedziały gołębie, szare, białe, łaciate, i spoglądały na mnie. Miały gniazda wśród żelaznych belek i mieszkały tam całe życie.

Ale on nie przyjechał.

Nie wiem, ile razy w ciągu tej jesieni roku 1948 wyprawiałem się, żeby czekać na pociąg z Elverum. Za każdym razem byłem równie spięty i pełen nadziei, ba, wręcz uradowany, kiedy wsiadałem na rower i zjeżdżałem w dół Nielsenbakken, żeby tam stać i czekać.

Ale on nie przyjechał.

Wreszcie spadł deszcz, na który wszyscy czekali, a ja dalej jeździłem do Oslo, niemal co drugi dzień, żeby sprawdzić, czy akurat tego dnia nie będzie go w pociągu z Elverum.

Miałem zydwestkę i sztormiak, wyglądałem jak rybak z Lofotów w tym żółtym stroju i w kaloszach, a woda spod kół roweru pryskała na obie strony, lała się ze skały pod wzgórzem Ekeberg na tory kolejowe po prawej stronie drogi, dopóki nie zniknęły w tunelu i nie pojawiły się po lewej stronie kawałek dalej, a wszystkie domy i budynki były bardziej szare niż kiedykolwiek i znikwały w deszczu, nie miały oczu, nie miały uszu ani głosów, nic mi już nie mówiły. W końcu przestałem jeździć. Pewnego dnia nie pojechałem, następnego też nie i jeszcze kolejnego. Tak jakby zapadła kurtyna. To było jak zaczynanie życia od nowa. Kolory były inne, zapachy były inne, wrażenia, jakie rzeczy wywoływały w głębi mnie, były inne. Nie była to jedynie różnica między gorącym a zimnym, między światłem a ciemnością, fioletem i szarością, tylko różnica w sposobie, w jaki odczuwałem strach i w jaki odczuwałem radość.

Jesienią przyszedł list. Stempel pocztowy miał z Elverum, a na kopercie widniało nazwisko mojej matki i adres na Nielsenbakken, ale list w środku skierowany był do nas trojga, z wymienieniem imion i nazwisk także, chociaż wszyscy nosiliśmy takie samo. Dziwnie to wyglądało. List był krótki. On dziękował nam za czas spędzony razem, wspominał go z przyjemnością, ale teraz nadszedł inny czas, i na to nic się nie dało poradzić. Nie zamierzał wracać do domu. W pewnym banku w Karlstad, w Szwecji, leżały pieniądze za drewno, które ścięliśmy latem i spławiliśmy rzeką. Napisał już do tego banku, a do listu dołączył pełnomocnictwo, aby matka mogła pojechać do Karlstad i po wylegitymowaniu się podjąć pieniądze. Niech wam się dobrze wiedzie. Koniec. Żadnych specjalnych pozdrowień dla mnie. Nie wiem. Właściwie uważałem, że na nie zasłużyłem.

– Drewno? – To było jedyne słowo, jakie wypowiedziała moja matka. Jej ciało już nabrało tej ociążałości, która miała jej towarzyszyć do końca życia, nie tylko ciężkości w rękach, biodrach i ruchach, lecz również w głosie i w całej mimice, nawet jej powieki zrobiły się ciężkie, jak gdyby zasypiała i nie bardzo wiedziała, o co chodzi, a rzecz w tym, że ani słowem nie wspomniałem jej, co się przydarzyło mnie i mojemu ojcu tego lata. Ani słowem. Powiedziałem tylko, że on wróci do domu, gdy będzie to możliwe, kiedy zostanie uporządkowane to, co należy uporządkować.

Matka pożyczyła pieniądze od brata, tego, który nie został zastrzelony przez gestapo podczas ucieczki z posterunku policji w Sørlandet w 1943. Mówiliśmy do niego wujek Amund. Wujek Arne to ten, którego zastrzelili. Byli bliźniakami. We wszystkim trzymali się razem, razem chodzili do szkoły, razem biegali na nartach, razem polowali, ale teraz wujek

Amund został samotnym myśliwym. Mieszkał w mieszkaniu w dzielnicy Vålerenga, które wcześniej dzielił z Arnem, i nie był żonaty. Nie mógł mieć wtedy więcej niż trzydzieści parę lat, ale w mieszkaniu pachniało starym człowiekiem, a przynajmniej mnie tak się wydawało, gdy chodziłem w odwiedziny na Smålensgata.

Za pożyczone pieniądze matka kupiła bilet do Karlstad na pociąg sztokholmski. Przystudiowałem tę trasę: wyjazd wcześniej rano z Dworca Wschodniego w Oslo, na północ wzdłuż Glommy do Kongsvinger, potem gwałtowny skręt na południe przez granicę do Szwecji, do Charlottenberg, i dalej do Arvika nad Glafsforden, a potem w tym samym kierunku w stronę Karlstad, stolicy okręgu Värmland, nad wielkim jeziorem Wener, tak wielkim, że Karlstad właściwie stało się miastem portowym. Powrót tego samego dnia po południu. Matka chciała, żebym z nią pojechał, natomiast moja siostra miała zostać w domu. Jak zwykle, powiedziała, nie bez racji, ale to, do cholery, nie była moja sprawa.

Tym razem na Dworzec Wschodni nie pojechałem rowerem wzdłuż Mosseveien, tylko kolejką ze stacji Ljan trasą nad fiordem, a na fiordzie nie było już lata, tylko niskie szare niebo, które prawie dotykało szczytów fal, i gwałtowny wiatr ubijający wodę między wypami w białe koronki. Stałem na peronie i patrzyłem, jak damski kapelusz fruwa wysoko nad torami, a olbrzymie sosny, których rosło tak dużo tam, gdzie mieszkaliśmy, kołysały się na wietrze i gięły paskudnie przy najgorszych podmuchach wiatru. Ale się nie przewracały. W dzieciństwie, kiedy stałem w oknie na piętrze, nerwowo spoglądając na żółtoczerwone pnie, szarpane wiatrem między domami na zboczach schodzących do fiordu, byłem pewien, że zaraz padną z korzeniami sterczącymi z ziemi, ale one zginały się mocno, lecz się nie przewracały.

Wiedziałem, na które perony Dworca Wschodniego przyjeżdżają jakie pociągi, wiedziałem też, kiedy odjeżdżają, i od razu zaprowadziłem matkę na właściwy peron, znalazłem właściwy wagon, witałem się z wieloma ludźmi, z którymi wcześniej rozmawiałem, z bagażowymi i konduktorami, z panią z kiosku i dwoma mężczyznami, którzy tam stali tylko po to, by z jednej butelki wypić jakieś nieopisane paskudztwo, codziennie ich stąd przepędzano, a oni codziennie wracali z taką samą oczywistością.

W przedziale usiadłem przy oknie, tyłem do kierunku jazdy, bo matka nie mogła tak podróżować, ponieważ od razu robiło jej się niedobrze, tak powiedziała, wiele osób miało ten problem, ale mnie to nie przeszkadzało w najmniejszym stopniu. Pociąg jechał wzdłuż Glommy, a za oknem migały słupy przy stacji Blaker i przy Årnes, szu, szu, szu, koła uderzały w złączenia szyn, du-dum, du-dum, du-dum, zasnąłem na siedząco z migoczącym światłem na powiekach, ale to nie było słońce, tylko szarobiały blask z nieba nad rzeką, i

śniło mi się, że jadę do letniej zagrody, że siedzę w autobusie.

Obudziłem się i zmrużonymi oczyma popatrzyłem na Glommę, poczułem, że wciąż mam to w sobie, że przyjaźnię się z wodą, z płynącą wodą, to było jak wołanie wielkiej rzeki, która toczyła wody w przeciwnym kierunku niż ten, w którym my jechaliśmy, bo my zmierzaliśmy na północ, a rzeka płynęła na południe w stronę miast nad morzem, ciężka i szeroka, jak zawsze wielkie rzeki.

Przeniosłem spojrzenie z Glommy na matkę siedzącą naprzeciwko mnie i na jej twarz, na której światło pojawiało się i znikало wraz z masztami i słupami wzdłuż linii kolejowej, małymi mostkami i drzewami. Oczy miała zamknięte, ciężkie powieki opierały się o zaokrąglone policzki, jak gdyby jedynym naturalnym stanem tej twarzy był wyłącznie sen, a ja pomyślałem: cholera, on po prostu zniknął i zostawił mnie samego z nią.

Kochałem swoją matkę, nie zaprzeczę, ale przyszłość, jaką mogłem wyczytać z twarzy, którą miałem przed sobą, nie była tym, co sobie wymarzyłem. Już samo patrzeć na tę twarz dłużej niż przez trzy minuty sprawiało, że świat naciskał na barki z obu stron. Od razu skracał mi się oddech. Nie zdołałem usiedzieć spokojnie. Podniosłem się ze swojego miejsca, odsunąłem drzwi i stanąłem na korytarzu przy oknie, za szybą przemykały pola, żółte, puste, brunatnożółte w słabym jesiennym świetle. Jakiś mężczyzna obserwował krajobraz. Było coś dziwnego w jego plecach. Palił papierosa i wydawało się, że jest gdzieś daleko. Kiedy stanąłem przy oknie, odwrócił się niemal rozmarzony, życzliwie skinął mi głową i się uśmiechnął. W ogóle nie był podobny do mojego ojca. Ruszyłem korytarzem wzdłuż drzwi do przedziałów aż na koniec wagonu, zawróciłem przy wielkiej butli z wodą na tylnej ścianie i poszedłem z powrotem, patrząc w podłogę, minąłem mężczyznę palącego papierosa, dotarłem na drugi koniec i tam znalazłem pusty przedział. Wszedłem do niego, zamknąłem drzwi, siadłem przy oknie twarzą do kierunku jazdy i patrzyłem na rzekę, która płynęła teraz naprzeciw mnie i znikąла za moimi plecami, możliwe, że trochę sobie popłakałem z twarzą przyciśniętą do szyby. Potem zamknąłem oczy i zasnąłem jak kamień, dopóki konduktor z hukiem nie szarpnął drzwiami i nie powiedział, że dojechaliśmy do Karlstad.

Ramię przy ramieniu staliśmy na peronie. Pociąg na torach za naszymi plecami był teraz cichy, ale wkrótce znów miał ruszyć dalej do Sztokholmu. Usłyszeliśmy syk powietrza uchodzącego przez wentyl i wiatr szumiący w kablach rozpiętych między słupami wzdłuż stacji, a jakiś mężczyzna na peronie krzychał po szwedzku „Chodź, do cholery” do swojej żony, ale ona nie chciała zostawić bagażu. Moja matka sprawiała wrażenie zagubionej, twarz

miała zapuchniętą od snu. Nigdy wcześniej nie była za granicą. Tylko ja byłem, ale w lesie. Karlstad zupełnie nie przypominało Oslo. Inaczej tu mówili, zorientowaliśmy się od razu, i nie chodziło tylko o słowa, przede wszystkim o ten dziwny akcent. Ze stacji miasto wydawało się bardziej przejrzyste niż Oslo i wcale nie wyglądało na zniszczone. Nie wiedzieliśmy jednak, dokąd mamy iść. Zabraliśmy ze sobą tylko jedną torbę, bo nie planowaliśmy tu nocować ani robić żadnych poważniejszych wycieczek. Właściwie zamierzaliśmy jedynie iść do banku – Wärmelandsbanken, tak się nazywał i znajdował się gdzieś w centrum tego miasta – no i pewnie jeszcze coś zjeść. Uważaliśmy, że stać nas na to, by po wizycie w banku i wypłaceniu pieniędzy od ojca wyjątkowo zjeść coś w restauracji, ale wiedziałem, że matka na wszelki wypadek przygotowała kanapki i włożyła je do torby.

Przeszliśmy przez budynek dworca po wykładanej kafelkami podłodze, potem wyszliśmy i skierowaliśmy się na drugą stronę drogi biegnącej wzdłuż torów. Do centrum dotarliśmy Järnvägsgatan. Po drodze przyglądaliśmy się domom po obu stronach ulicy w poszukiwaniu szyldu tego banku, do którego w torbie mieliśmy list, ale szyldu nigdzie nie było widać i co chwila zadawaliśmy sobie nawzajem pytanie: „Widzisz go?”, i na zmianę odpowiadaliśmy: „Nie”.

To ja niosłem torbę pod pachą przez całą drogę, dopóki nie zatrzymaliśmy się, zmuszeni do tego, ponieważ ulica kończyła się tuż przy rzece Klar, płynącej z północy, z tamtejszych wielkich lasów, a tu rozdwajała się wokół cypla. Na tym cyplu teraz staliśmy, rzeka płynęła przez Karlstad po obu jego stronach, dzieląc miasto na trzy części, a w końcu deltą wpadała do wielkiego jeziora Wener.

– Ależ tu pięknie – powiedziała matka, może i nie bez racji, ale było też zimno, od rzeki ciągnęło lodem. Przemarłem, śpiąc w pociągu, a potem wychodząc prosto na jesienną pogodę i na wiatr, a teraz chciałem mieć już za sobą wszystko to, po co przyjechaliśmy, żeby raz na zawsze można było rozliczyć rachunki i dwiema kreskami zaznaczyć odpowiedź: Tyle miałeś. Tyle oddałeś. Tyle ci zostało.

Zawróciliśmy i oddaliliśmy się od rzeki inną ulicą, równoległą do tej, którą przyszliliśmy.

– Zimno ci? – spytała matka. – W torbie jest szalik, możesz go włożyć. To nie jest damski szalik, więc nie będziesz się wstydzić.

– Nie, nie zimno – odpowiedziałem, słysząc, że w moim głosie brzmi ton zniecierpliwienia i irytacji. Później w życiu byłem za to krytykowany, zwłaszcza przez kobiety, a to dlatego, że wykorzystywałem ten ton przeciwko nim, przyznaję. Chwilę później wyciągnąłem wełniany szalik z torby. Należał do mojego ojca, ale ja po prostu owinąłem nim

szyję i zawiązałem go pod brodą, a dwa długie końce ułożyłem płasko pod kurtką, tak że zasłaniały mi prawie całą pierś. Od razu poczułem się lepiej i oświadczyłem zdecydowanie:

– Musimy kogoś spytać. Nie możemy tak krążyć po ulicach.

– E, na pewno trafimy – odparła matka.

– W końcu pewnie tak, ale to głupota tracić na to tyle czasu.

Wiedziałem, że matka się boi, że jej nie zrozumieją, gdy o coś spyta, że to ją zdenerwuje i przez to wyda się sobie bezradna jak wieśniaczka w dużym mieście, raz kiedyś tak powiedziała, a chciała tego za wszelką cenę uniknąć. Dla mojej matki wieśniacy stanowili niedorozwiniętą część społeczeństwa.

– Ja kogoś spytam – zdecydowałem.

– Jak chcesz, to pytaj, a jak nie, to na pewno sami trafimy. To musi być gdzieś tutaj w pobliżu.

Bla, bla, bla, pomyślałem, podszedłem do pierwszego lepszego przechodnia idącego chodnikiem i spytałem, czy mógłby nam pomóc w znalezieniu Wärmlandsbanken. Wyglądał normalnie, nie na żadnego pijaka, bo był elegancko ubrany, a płaszcz miał całkiem nowy. Jestem pewien, że mówiłem wyraźnie i jasno, właściwie dobrałem słowa i prawidłowo je zaakcentowałem, ale on tylko spojrzał na mnie, jakbym był z Chin, nosił trójkątny kapelusz i miał skośne oczy, albo może tylko jedno oko tuż nad nosem, jak cyklopi, o których czytałem. Nagle poczułem gniew wzbierający w piersi niczym płonąca kolumna, gorąco napływające do twarzy, w gardle zaczęło mnie drapać. Spytałem:

– Głuchy pan jest?

– Co? – zabrzmiało to jak szczeknięcie psa.

– Głuchy pan jest? – powtórzyłem. – Nie słyszy pan, kiedy ludzie do pana mówią? Coś nie tak z uszami? Może nam pan powiedzieć, gdzie jest Wärmlandsbanken? Musimy go znaleźć, nie rozumie pan?

Nie rozumiał. W ogóle nie rozumiał, co mówiłem. To było idiotyczne, gapił się tylko na mnie, kręcąc głową na boki, z nerwowym wyrazem w oczach, jak gdyby człowiek, którego miał przed sobą, był debilem zbiegłym z domu wariatów, a teraz chodziło jedynie o przeciągnięcie rozmowy na tyle, by mogli po niego przyjść strażnicy i zaciągnąć go tam z powrotem, zanim zdąży wyrządzić komuś krzywdę.

– Chcesz w mordę? – spytałem. Skoro nie rozumiał, co mówię, to mogłem mówić wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy, w dodatku byłem tego samego wzrostu co on i w dobrej formie po lecie, bo gimnastykowałem mięśnie przy różnych czynnościach wymagających szybkiego tempa. Rozciągałem je i wyginałem się we wszystkie strony,

podnosiłem olbrzymie ciężary, szarpałem i ciągnąłem kamienie i drewno, wiosłowałem po rzece z prądem i pod prąd, a jesienią niezliczoną liczbę razy przejechałem na rowerze trasę między Nielsenbakken a Dworcem Wschodnim. Czułem się teraz silny i w niezwykle sposób niewyciężony, a mężczyzna przede mną nie wyglądał mi na atletę, możliwe jednak, że to ostatnie zdanie zrozumiał lepiej niż pierwsze, bo oczy zrobiły mu się okrągłe i nabrał czujności. Powtórzyłem propozycję:

– Jak chcesz w mordę, to możesz dostać od razu, bo mam na to wielką ochotę.

Wystarczy powiedzieć.

– Nie – odparł.

– Co?

– Nie. Nie mam ochoty dostać w mordę, a jeśli mnie uderzysz, wezwę policję – mówił bardzo wyraźnie, jak aktor. Strasznie mnie to zirykowało.

– Zaraz się przekonamy, czy tak będzie – oświadczyłem, czując, że dłoń automatycznie zaciska mi się w pięść. Wydawała się dziwna, ciepła i napięta we wszystkich stawach, nie wiedziałem, skąd mi się biorą wszystkie te zdania, które wypowiadałem. Nigdy nikomu nie mówiłem takich rzeczy, nawet znajomym, a co dopiero ludziom, których nie znałem. Uświadomiłem sobie wtedy, że od małego kawałeczka bruku, na którym stoję, rozchodzą się w różne strony linie, jak starannie wyrysowany diagram, na którego środku znajdowałem się ja, a dzisiaj, ponad pięćdziesiąt lat później, potrafię zamknąć oczy i wyraźnie zobaczyć te linie, niczym jaśniejące strzałki, i chociaż nie mogłem ich widzieć z równą wyrazistością w tamten jesienny dzień w Karlstad, to jednak wiedziałem, że są, jestem o tym przekonany. Te linie były drogami, którymi mogłem pójść, a gdybym już wybrał jedną z nich, zakratowana brama opadłaby z hukiem, ktoś podniósłby zwodzony most i uruchomiłaby się reakcja łańcuchowa, której nikt nie zdołałby powstrzymać, a zawrócenie po własnych śladach byłoby niemożliwe. Jedno jest pewne: gdybym uderzył mężczyznę stojącego przede mną, dokonałbym wyboru.

– Przeklęty idiota – powiedziałem i natychmiast zrozumiałem, że mimo wszystko postanowiłem zostawić go w spokoju. Moja prawa pięść z bólem się otworzyła, a po twarzy przebiegł mi wyraźny skurcz rozczarowania. On pewnie najchętniej wezwałby policję z powodów, których nie rozumiałem, ale w tym samym momencie usłyszałem głos matki dobiegający z pewnego oddalenia:

– Trond! Trond! Już go widzę, jest tutaj! Wärmlandsbanken jest tutaj! – wołała nieco głośniejszym głosem, niżbym chciał.

Na szczęście nie zauważyła, co się działo z moim życiem na moim końcu ulicy, a ja

wystąpiłem z tego kręgu, jaśniejące strzałki przestały świecić, diagram i linie zlały się ze sobą, spłynęły wzdłuż krawędzi chodnika cienkim szarym strumieniem i zniknęły pod najbliższą pokrywą kanalizacji. We wnętrzu prawej dłoni miałem odcisnięte czerwone ślady po paznokciach, ale wybór został dokonany. Gdybym uderzył tego mężczyznę w Karlstad, moje życie stałoby się innym życiem, a ja innym człowiekiem. Głupio byłoby twierdzić, chociaż niejeden tak sądzi, że skończyłoby się tak samo. Wcale by tak nie było. Miałem szczęście. Mówiłem to już wcześniej. Ale to prawda.

Do banku nie chciałem wchodzić, więc zostałem na zewnątrz między oknami, jednym ramieniem oparty o szary mur, w szaliku ojca na szyi, z paździenikiem na twarzy, z wyraźnym poczuciem bliskości rzeki Klar gdzieś za plecami i wszystkiego tego, co ze sobą niosła, i drzeniem w żołądku, jak po długim biegu, kiedy oddech dawno już wraca, lecz wysiłek wciąż jeszcze tkwi w ciele. Jak lampa, którą ktoś zapomniał zgasić.

Matka weszła sama z pełnomocnictwem od ojca w rękę, zbuntowana i nastawiona na załatwienie sprawy, lecz również przytłoczona językową niepewnością. Nie wychodziła przez blisko pół godziny. Cholera, na ulicy było tak zimno, wiedziałem na pewno, że się rozchoruję. Kiedy matka wreszcie wyszła, ze zdumionym, prawie rozmarzonym wyrazem twarzy, miałem takie uczucie, jakby chłód od rzeki spowił moje ciało cienką błoną z nieznannej substancji i sprawił, że nieco bardziej się zdystansowałem, że skóra zrobiła się odrobinę grubsza niż wcześniej. Podniosłem głowę i spytałem:

– Żle ci poszło? Nie rozumieli, co mówisz, czy nie chcieli ci wydać pieniędzy? A może żadnego konta nie było?

– Nie, wszystko poszło dobrze – odparła. – Było konto i wypłacili mi z niego te pieniądze. – Zaśmiała się nerwowo i ciągnęła: – Ale to tylko sto pięćdziesiąt koron. Nie wiem, ale czy tobie się nie wydaje, że to bardzo mało? Nie mam o tym pojęcia, ale ile właściwie można zarobić na takim drewnie?

W wieku piętnastu lat nie byłem ekspertem, ale z pewnością powinno być dziesięć razy tyle. Franz nigdy nie krył, że spławianie drewna nie odbywa się w taki sposób, jak chciał to zrealizować mój ojciec, że uważał ten projekt za desperacki i pomagał jedynie dlatego, że byli przyjaciółmi i znał powody, dla których mój ojciec jest tak zdesperowany. I chociaż we dwóch z ojcem uwolniliśmy jedną blokadę przy bystrzu, zanim musieliśmy zawrócić i jechać do domu, to nie wystarczyło. Rzeka nieubłaganie stawiała hamulce, po ulewach poziom wody szybko osiągnął stan normalny dla lipca i drewno z pewnością zbiło się, skłębilo gdzieś przy brzegu, tworząc wielkie zapory, które poluzować mógł jedynie dynamit podłożony w

odpowiednim czasie, bale powbijały się w kamieniste brzegi albo żałośnie utknęły na dnie, w płytkiej wodzie, nie dawały się ruszyć z miejsca i tylko jedna dziesiąta dotarła do tartaku. Miała wartość zaledwie stu pięćdziesięciu szwedzkich koron.

– Nie wiem – powiedziałem. – Nie wiem, ile można zarobić na drewnie. Nie mam pojęcia.

Staliśmy na chodniku przed Wärmlandsbanken i patrzyliśmy na siebie, ja z pewnością zniechęcony i odpychający, jak często się wobec niej zachowywałem, a ona zmieszana i bezradna, lecz tego dnia nie była rozgoryczona. Przygryzła wargę, uśmiechnęła się nagle i powiedziała:

– No cóż, przynajmniej zrobiliśmy sobie razem wycieczkę, a to nie zdarza się co dzień, prawda? – Potem się roześmiała. – A wiesz, co jest najzabawniejsze?

– A czy coś w ogóle jest zabawne?

– Musimy te pieniądze wydać tutaj. Nie wolno nam ot, tak po prostu zabrać ich do Norwegii. – Teraz śmiała się głośno. – Są jakieś restrykcje dotyczące wywozu waluty, o których z pewnością powinnam wiedzieć. Obawiam się, że niezbyt dokładnie to przestudiowałam. Od tej pory będę musiała bardziej uważać.

To jej się nigdy nie udało. Miała zbyt marzycielski charakter, na ogół zbyt głęboko tonęła we własnych myślach, ale tego dnia zrobiła się nagle bardzo przytomna. Znów się głośno zaśmiała, ujęła mnie za ramię i powiedziała:

– Chodź. Pokażę ci coś, co widziałam po drodze.

Poszliśmy razem ulicą w stronę dworca. Nie było mi już tak zimno. Nogi mi zdrętwiały od tak długiego stania bez ruchu i ciało miałem dość sztywne, ale to minęło, kiedy zaczęliśmy iść.

Zatrzymaliśmy się przed sklepem z odzieżą.

– To tutaj – oświadczyła, popychając mnie pierwszego przez drzwi. Z pomieszczenia za ladą wyszedł mężczyzna, uklonił się i był cały do usług. Matka z uśmiechem powiedziała wyraźnie:

– Chcemy garnitur dla tego młodego człowieka.

Ale garnitur po szwedzku oczywiście nie nazywał się garnitur, tylko zupełnie inaczej, jak – nie mieliśmy możliwości odgadnąć, matka jednak poradziła sobie z tym całkiem po prostu i bez najmniejszego zażenowania; w przypiływie elegancji jej obcasy zastukały po podłodze, gdy podchodziła do miejsca, w którym wisały garnitury, wyjęła jeden z rzędu, obróciła go na wieszaku, rozłożyła go sobie na lewej ręce, skinęła głową na mnie i powiedziała:

– Taki jak ten, dla niego. – Wciąż z uśmiechem odwiesiła garnitur, a mężczyzna, też uśmiechnięty, kiwnął głową, zmierzył mnie w pasie i od krocza w dół, spytał, jaki numer koszuli noszę, nad czym ja się nigdy nie zastanawiałem, ale matka wiedziała. Potem podszedł do wieszaka i wyciągnął granatowy garnitur, który, jego zdaniem, mógł pasować, i pokazał przymierzalnię na tyłach lokalu, nawet na chwilę nie przestając się uśmiechać. Wszedłem do przymierzalni, powiesiłem garnitur i zacząłem się rozbierać. W środku wisiało wysokie lustro i stał taboret. W sklepie było tak gorąco, że zaczęła mnie swędzieć skóra na brzuchu i ramionach. Zaszumiało mi i zakręciło się w głowie, usiadłem więc na taborecie, położyłem dłonie na kolanach, a głowę między dłońmi. Miałem na sobie jedynie niebieską koszulę i slipy i mógłbym z powodzeniem tam zasnąć, gdyby matka nie zawołała:

– Wszystko w porządku, Trond?

– Tak, tak! – odrzyknąłem, wstałem i zacząłem wkładać garnitur, najpierw spodnie, a potem marynarkę na niebieską koszulę. Leżał jak ulały. Długo przeglądałem się w lustrze. Nachyliłem się, włożyłem buty, wyprostowałem się i znów się przejrzałem. Wyglądałem jak ktoś inny. Zapiąłem dwa górne guziki marynarki. Wierzchem dłoni przetarłem oczy, a spodem policzki, palcami mocno przeciągnąłem kilka razy przez włosy, odgarnąłem na bok grzywkę, a na skroniach założyłem włosy mocno za uszy. Usta potarłem czubkami palców, w wargach mi pulsowało, a krew tętniła w skórze, kilka razy uderzyłem się w twarz. Potem znów przejrzałem się w lustrze. Zaciśnąłem usta, zmrużyłem oczy. Obróciłem się w jedną stronę, patrząc w lustro przez ramię, a potem tak samo w drugą stronę. Wyglądałem na zupełnie inną osobę niż ta, którą byłem do tego dnia. W ogóle nie wyglądałem jak chłopak. Jeszcze kilka razy przeczesalem włosy, zanim wyszedłem z przymierzalni, i przysięgam, że na mój widok matka się zaczerwieniła. Przygryzła wargę i podeszła, znów bardzo energicznie, do ekspedienta, który wrócił na swoje miejsce za ladą.

– Chcemy go kupić – powiedziała.

– To będzie kosztowało równo dziewięćdziesiąt osiem koron – odparł i teraz uśmiechnął się szeroko. Stałem przed przymierzalnią. Widziałem plecy matki schylonej nad torebką, słyszałem dźwięk kasy i głos mężczyzny:

– Bardzo pani dziękuję.

– Mogę w nim zostać? – spytałem głośno, a oni odwrócili się oboje, popatrzyli na mnie i jednocześnie skinęli głowami.

Swoje stare ubranie zapakowałem do papierowej torby, którą zwinąłem i niosłem pod pachą. Kiedy wyszliśmy na chodnik i ruszyliśmy dalej w stronę dworca i być może restauracji, gdzie mieliśmy coś zjeść, matka wsunęła mi rękę pod drugą pachę i tak szliśmy

pod rękę jak para, lekkim krokiem, pasując do siebie wzrostem, a ona tego dnia stuknęła obcasami, aż echo odbijało się od ścian domów po obu stronach ulicy. Było tak, jak gdyby część prawa ciężenia przestała obowiązywać. To niemal jak taniec, pomyślałem, chociaż nigdy w życiu nie tańczyłem.

Już nigdy nie szliśmy razem w taki sposób. Po powrocie do Oslo matka zapadła się z powrotem pod swoim ciężarem i taka już pozostała do końca życia. Ale tamtego dnia w Karlstad szliśmy razem ulicą pod rękę. Nowy garnitur był taki lekki i swobodnie towarzyszył mi przy każdym kroku. Wiatr od rzeki wciąż wpadał między domami niczym lód, moja dłoń była spuchnięta i obolała w miejscach, gdzie paznokcie przebiły skórę, gdy tak mocno ją zacisnąłem, a mimo to w tym momencie wszystko wydawało się takie przyjemne; garnitur był przyjemny, miastem przyjemnie się szło po brukowanej ulicy, no i przecież sami decydujemy, kiedy ma boleć.